



Opiekę R/W0038



WYDAWNICTWO

Tomasz Bukowski

Obiekt R/W0036



Spośród legendarnych stworów barbarzyńskiego wschodu ten jeden wzbudza zarazem największą trwogę i najszczerzy szacunek - regulus. Persowie przysięgają, iż istota ta ma tak nikczemną naturę, że sam jej wzrok obraca w popiół wszelkie życie. Jad tego gada jest tak silny, iż jego krople przepalają najprzedniejsze pancerze, docierając do ciała wojów i zadając rany jak od ognia, a nierzadko śmierć okrutną. Przeto już w okresie młodości Egiptu groty strzał moczono w jego ślinie mocno rozcieńczonej wodą. Skóra regulusa jest twarda niczym gład. Nie przebije jej ni miecz, ni strzała. Jeno ciężka włócznia rzucona krzepkim ramieniem z małej odległości jest w stanie go zranić, lecz nigdy zabić, o czym niejeden nasz legionista przekonał się w zimnych górach Macedonii dwa stulecia temu. Zaiste nie bez powodu nazywają go „małym królem wszelkich zwierząt”.

Gaius Plinius Secundus

„Historia naturalis”

(fragment zaginionej księgi XXXVIII)

Warszawa, Roku Pańskiego 1582, okolice rynku miejskiego

Słaby blask pochodni w nikłym stopniu rozświetlał mroki podziemnej komnaty. Kacper Hauzenplatz przetarł spocone czoło i rozejrzał się wokół. Jego uwagę przykuły dziwne czarne plamy i zacieki wyraźnie widoczne na pobielonej ścianie piwnicy. Przechodząc obok, przyjrzał się im dokładniej. Ze zgrozą zrozumiał, że są to ślady krwi. Pobladł gwałtownie.

Wyteżył wzrok i słuch. Wyobraźnia podsuwała mu coraz to nowe obrazy i dźwięki. Każdy tańczący na ścianach cień mógł być ostatnim, który zobaczy. Każdy najlżejszy nawet szmer mógł zwiastować koniec jego żywota.

Były najemnik saski z wojsk zaciężnych wojewody krakowskiego Jana Zamoyskiego po raz kolejny przeklął swój los. Jutro miał dać głowę pod topór za zabicie po pijanemu jakiegoś polskiego szlachetki, którego nazwiska nawet nie był w stanie wymówić. Dla sędziego grodzkiego jego wina była bezsporna, tak jak i oczekująca go kara. Zabił, więc sam też zginie. Na nic zdały się tłumaczenia, że to Polak go zaczepił. Trup to trup.

Kacper pożegnał się już z życiem, gdy całkiem niespodziewanie odwiedziła go w celi delegacja włodarzy tego zapyziałego grodu. W zamian za zamienienie kary śmierci na banicję miał pokonać jakąś przekłątą bestię gnębiącą mieszczan.

Jak każdy luteranin, Hauzenplatz wyśmiał w skrytości duszy zabobony katolików, zarazem z tego też względu z radością podjął się misji. Zahartowany w bojach wojak niejedno już widział i nabrał przekonania, że najdziksze potwory zazwyczaj rodzą się w ludzkiej wyobraźni. Jednak gdy stanął przed tą ponurą kamienicą nieopodal warszawskiego rynku, nie był już tak pewny siebie. Poważne miny rajców, księży i strażników miejskich mocno nadszarpnęły jego pewność siebie. Wszyscy patrzyli na niego ze współczuciem zmieszonym z iskrą nadziei. Wchodząc w mrok podziemia, czuł, jak powoli udziela mu się nastrój strachu i niepokoju ludzi zgromadzonych przed kamienicą. Miał wrażenie, jakby wszystkie ich lęki skupiły się w okolicy jego żołądka.

Kacper jeszcze raz ostrożnie oświetlił pierwszą komorę piwnicy. Poza plamami krwi wszystko wydawało się w porządku. I wtedy w nozdrza uderzył go ten charakterystyczny zapach. Znał go bardzo dobrze. Od zawsze towarzyszył jego profesji. Smród rozkładających się zwłok zalegający każde pole bitwy. Gęsty, ciężki, a jednocześnie słodki zapach śmierci.

Spojrzał tęsknie w kierunku drewnianej drabiny prowadzącej na górę. Z trudem zwalczył w sobie pokusę ucieczki i wolno ruszył w głąb piwnicy. Mimo że przeszedł dopiero kilka kroków, pot lał się z niego strumieniami. Płócienna biała koszula nieprzyjemnie przylegała do mokrych pleców. Konopny sznurek, na którym wisiało ogromne lustro, przy każdym ruchu wrzynał się boleśnie w szyję. I jeszcze ten okropny smród.

Najemnik sapnął ze zdenerwowania. Lewą ręką, w której trzymał pochodnię, złapał za prowizoryczną drewnianą ramę lustra, by przestało się bujać. Płomień okopcił trochę szkło, jednocześnie rzucając niesamowity poblask na przeciwległą ścianę. Kacper przez moment zastanawiał się, czy w ogóle jest sens dźwigać to przeklęte lustro.

Ogromne, kryształowe zwierciadło miało być najważniejszym orężem w walce z piekielnym, który załagł się w tej piwnicy. Tak przynajmniej twierdzili warszawscy rajcowie i klechy. Najemnik od razu, jeszcze w ratuszu, w krótkich żołnierskich słowach dał im znać, że ma odmienne zdanie w tej kwestii.

- Przecież to rzecz oczywista, że szkło nigdy nie zastąpi kawałka porządnej stali - rzucił wówczas szaraczkom prosto w twarz.

Starosta co prawda zdecydowanie oznajmił, co myśli o daniu prawdziwej broni skazańcowi, ale Kacper był uparty. Trzymając w ręce szablę, czuł się znacznie pewniej. Po namyśle postanowił również nie zrezygnować ze „szklanej zbroi”, którą mu ufundowała rada miasta.

Tak na wszelki wypadek.

Ostrożnie, aby nie rozbić lustra, szedł głębiej w mrok przeklętej piwnicy. Cuchnęło coraz bardziej, ale przestał zwracać na to uwagę. Zafrasowało go co innego. O ile w pierwszej komnacie ściany pokrywały duże liczne plamy posoki, to tutaj dosłownie były w niej skąpane. Grozy sytuacji dopełniała podłoga lśniąca czerwienią. Co dziwne, nie widział dotychczas żadnych ciał. Jedyнным śladem walki, który zauważył, były trzy długie rysy na ścianie przy wejściu do sąsiedniej komnaty.

Szybkim, nerwowym ruchem skreślił kciukiem prawej ręki znak krzyża na spoconym czole, a szabla zakreśliła w powietrzu łuk, rzucając krótkie błyski na ściany. Rozejrzał się ostrożnie dookoła. Poza kilkoma beczkami oraz jedną starą skrzynią komnata sprawiała wrażenie pustej. Niezdecydowany zatrzymał się.

- I co teraz?

Nagle usłyszał niepokojący dźwięk. Coś jakby mlaskanie przechodzące w urywany syk.

W panice rozglądał się wokół, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby wydawać z siebie te dźwięki. Oczekując najgorszego, Kacper cofnął się pod ścianę i zamarł w bezruchu, uważnie nasłuchując.

Odgłosy nasilały się i dochodziły... jakby spod ziemi. Jeszcze raz rozejrzał się uważnie i tym razem w słabym blasku pochodni zobaczył w kącie piwnicy dziurę w podłodze. Poczł ostry zapach piekielnej siarki.

Przystanął na moment i przetań kaniem koszuli zroszone potem czoło. Co za diabelstwo siedzi w tej dziurze? - pomyślał, zaciskając zęby ze zdenerwowania. Mieszczanie oczekiwali od niego pokonania bestii, ale nie wspomnieli, jak ma to zrobić. Czy powinien zejść do jej leża? A może raczej powinien tutaj poczekać na przeciwnika i palnąć go ostrzem w czerep, gdy będzie wychodził na powierzchnię? Powoli docierało do niego, że są na świecie gorsze rzeczy niż katowski pieniek.

Głęboko westchnął i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku dziury. Nie zdążył zrobić nawet dwóch kroków, gdy w otworze ukazał się łeb. Stwór rozejrzał się uważnie i widząc człowieka, bezgłośnie wyszczerzył kły. Kacper momentalnie znieruchomiał.

Bestia szybko wspięła się do środka piwnicy i wyprężyła. Ostre pazury zazgrzytały na kamiennej posadzce. W blasku pochodni zabłyszczały wyszczerzone kły. Kacper pobladł, patrząc na to monstrum, i bezwiednie cofnął się parę kroków. Czuł, jak krople potu strumieniem spływają mu po twarzy. Oparł się o ścianę niezdecydowany.

Podjąć walkę, czy też uciekać? Chyba po raz pierwszy w życiu Kacper Hauzenplatz nie wiedział, co robić.

Potwór nie rzucił się na najemnika, zdawał się za to bardziej zainteresowany lustrem zawieszonym na jego szyi niż nim samym. Upiór jak z najgorszego koszmaru sennego zaczął wolno iść w kierunku swego lustrzanego wizerunku, co chwila przechylając łeb, a migotliwie czerwone ślepia jakby powiększały się z każdą chwilą.

Tuż przed Kacprem bestia zatrzymała się i syknęła w stronę swojego niewyraźnego odbicia w lustrze. Korzystając z tego, żołnierz zamierzył się szablą prosto w czerep bestii. W świetle pochodni błysnęła stal. Jakby wyczuwając intencje człowieka, potwór podniósł łeb i utkwiał wzrok w Kacprze, który zamarł z uniesioną ręką. Oczy bestii zdawały się teraz płonąć.

Nagle najemnik z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie odwrócić wzroku i przestać się wpatrywać w stwora. Jakiś cichutki głos w głowie Kacpra nawoływał do ucieczki. Na próżno.

Ślepią potwora wbijające się w przerażonego człowieka zdawały się hipnotyzować. Krępując jego wolę, bestia zmuszała go do stania w miejscu. Grube krople pojawiły się na czole Kacpra i ściekały na posadzkę. Wytężał całe swoje siły, próbując wyrwać się spod wpływu demona.

- Zostaw mnie! - wrzasnął w udręce.

Jego głos, odbijający się od ścian małej piwnicy, na moment zdekoncentrował bestię. Zamrugła czerwonymi ślepiami i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu potencjalnego zagrożenia.

Niewidzialna siła paraliżująca wolę natychmiast zniknęła i Hauzenplatz zaatakował w desperackiej próbie. Stwór wyprzedził ten ruch, skacząc na przeciwnika. Opadające ostrze ześlizgnęło się po grzbiecie. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, gdy pysk potwora uderzył w pierś najemnika osłoniętą lustrem. Kacper padł zamroczony na podłogę. Zanim zdążył oprzytomnieć, bestia dopadła go, wbijając ogromne zęby w jego ciało. Piwnica wypełniła się wrzaskiem rozszarpywanego człowieka.

Słyszając to, stojący na zewnątrz mieszkańcy przeżegnali się. Jakiś ksiądz zaczął recytować:

- Ojcze nasz, któryś...

Pozostali szybko do niego dołączyli z głośnie modlitwą, jakby chcieli zagłuszyć w ten sposób przerażające krzyki dobiegające z czeluści piwnicy. Zresztą po chwili słychać już było tylko upiorny bulgot, który szybko przeszedł w głośnie mlaskanie.

Jedynie dwaj bogato ubrani rajcy miejscy nie przyłączyli się do zbiorowej modlitwy, tylko popatrzyli na siebie znacząco.

„Trzeba inaczej pozbyć się piekielnego pomiotu” - zdawały się mówić ich spojrzenia. Jeden z nich skinął na stojących nieopodal kamieniarzy. Opasły majster splunął obficie przed siebie, po czym chwycił wiklinowy kosz pełen kamieni. Czeladnicy poszli w jego ślady. Mamrocząc pod nosem modlitwę do świętej Barbary z Nikomedii, patronki cechu, weszli do przeklętej kamienicy.

Długi pochód zatrzymał się przy zejściu do piwnicy, z której dobiegały właśnie odgłosy makabrycznej uczty. Nagle powietrzem wstrząsnął agonalny krzyk pożeranego żywcem żołnierza. Majster przełknął ślinę. Nie czekał już ani chwili, tylko z rozmachem cisnął ładunek do środka. Drabina, trafiona koszem, złamała się z suchym trzaskiem, przerywając odgłosy piekielnej biesiady.

Z wnętrza dobiegł wściekły ryk, jakby bestia właśnie zorientowała się w planach intruzów. Kolejne kosze lądowały z łoskotem w piwnicy, zasypując stopniowo całą pierwszą komorę. Kamieniarze uwijali się jak w ukropie, starając się nie zwracać uwagi na wściekłe ryki grzebanej żywcem bestii. Już został tylko mały luźnik, gdy spomiędzy kamieni wystrzelił w ich stronę jakiś gałgan. Majster pochylił się, chcąc przyjrzeć się temu, co wyleciało z piwnicy.

- Matko Boska! - wrzasnął, gdy rozpoznał głowę najemnika.

Twarz Niemca była potwornie zmasakrowana. W oczodołach pozostało tylko jedno oko wpatrujące się w majstra z niemym przerażeniem. Kamieniarz zbladł i z trudem przełknął ślinę.

- Szybciej, na Boga - popędzał czeladników, wskazując poszarpane ludzkie szczątki - albo wszyscy skończymy jak on.

15 sierpnia 1944 r., Warszawa, Powiśle

Przed każdą burzą jest moment absolutnej ciszy. Natura zamiera w oczekiwaniu na pandemonium. Zupełnie jak przed walką.

Taka właśnie, prawie namacalna cisza zaległa na rogu ulic Lipowej i Dobrej w sierpniowe południe. W jednej z kamienic na skrzyżowaniu tych ulic na poddaszu stał w ciemnym pokoju wysoki, może trzydziestoletni szczupły blondyn w niemieckiej panterce z biało-czerwoną opaską na lewym ramieniu. Cały mundur był przykurzony i nosił ślady kilkudniowych walk. Jedynym wyjątkiem były buty. Przedwojenne oficerki lśniły tak, że można się było w nich przejrzeć. Żołnierz na głowie miał zawadiacko przekrzywiony beret z białym orzełkiem.

Stojąc w pewnym oddaleniu od okna, w skupieniu przyglądał się przez lornetkę wysokiej trzypiętrowej kamienicy po drugiej stronie ulicy Lipowej. Fasada obserwowanego budynku była mocno zryta śladami po kulach. Gdzieś tam pociski zerwały całe płyty tynku, odsłaniając równy rząd białych cegieł. Ściany dolnych pięter, choć były mocno osmalone, wyglądały na nieuszkodzone. Wszystkie szyby w oknach wybito jeszcze w pierwszym dniu Powstania, przez co dom sprawiał wrażenie zapuszczonej rudery. Wrażenie to pogłębiał widok zabitych deskami okien na parterze. Wzrok powstańca skierował się ku wejściu do budynku. Wyraźnie było widać, iż drzwi do kamienicy ponownie solidnie zabarykadowano. Żołnierz zmełł w ustach przekleństwo. Sadza na ścianach była niestety jedynym widocznym efektem wczorajszych walk z użyciem domowej roboty miotaczy ognia. Powstaniec skierował wzrok na ulicę przed kamienicą i zazgrzytał zębami z wściekłości. Dookoła budynku leżało dużo trupów, zarówno w mundurach, jak i w cywilnych ubraniach. Wszyscy zabici mieli na ramionach biało-czerwone opaski.

- Niech to szlag trafi - zaklął.

Niemcy konsekwentnie od początku walk odmawiali choćby krótkiego zawieszenia broni, aby można było zabrać zabitych i rannych.

- Panie poruczniku? - rozległo się na korytarzu. - Gdzie pan jest?

Porucznik Andrzej Nowakowski, nie odrywając oczu od lornetki, krótko rzucił zmęczonym głosem:

- Tutaj!

Drzwi zaskrzypiały cichutko i na poddasze wszedł niski, krępy mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce w niemieckim hełmie z białą-czerwoną opaską.

- Słucham, kapralu? - Nowakowski w końcu opuścił lornetkę i spojrzał spod przymrużonych powiek na podoficera.

- Kapitan Słaby chce wiedzieć, czy pana pluton jest już gotowy. Nacieramy za piętnaście minut.

Porucznik westchnął głęboko i znowu spojrzał przez lornetkę na sąsiednią kamienicę.

- Powiedzcie kapitanowi, że jesteśmy gotowi. Sygnał, jak się umówiliśmy, punktualnie za piętnaście pierwsza.

Kapral skinął głową i zasalutował. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, odwrócił się i zbiegł po schodach.

Nowakowski jeszcze raz przyjrzał się wrogiej kamienicy, jakby chciał wryć w pamięć każdy szczegół niemieckich pozycji. Od dwóch tygodni powstańcy atakowali niemieckie pozycje na Powiślu, systematycznie wypierając ich z centrum dzielnicy. W końcu został tylko ten dom. Jak to określił kapral Adamczyk: „Stara, dobra, carska kamienica, niech ją jasna cholera”. Pluton porucznika Nowakowskiego trzy dni temu zluźował całkowicie wykrwawione oddziały kapitana Słabego, a potem nastąpiły dwa dni koszmarnych szturmów bez żadnych widocznych efektów.

Dopiero trzecia porażka uświadomiła komuś na górze, że grupa potrzebuje wzmocnienia, a przede wszystkim amunicji. Do tego jednak czasu oddział Nowakowskiego stracił czternastu ludzi.

Po utracie pierwszych pięciu żołnierzy porucznik popadł w dziwne odrętwienie. Niektórzy mówili, że to otrząskanie się z ogniem. On sam w przyływie melancholii stwierdził, że po prostu zobojętniał na śmierć. Miał przed sobą tylko cel ataku i tylko to się liczyło.

- Przeklęty dom. - Ze złości przygryzł wargę do krwi.

Po raz kolejny jego jasnozielone oczy starannie zlustrowały zamaskowane stanowiska niemieckich karabinów maszynowych. Twarz wykrzywił mściwy uśmiezek. Tym razem mieli

szansę zaskoczyć tych bydlaków. Odłożył lornetkę na stół i wziął do ręki stena. Już czas. Nie oglądając się za siebie, wyszedł na klatkę i sprężystym krokiem ruszył na dół. Jego miarowy krok załomotał na schodach. W ciemnym korytarzu czekali na niego żołnierze.

- Bacność! - krzyknął słuźbiście kapral Adamczyk na jego widok.

- Spocznij - zakomenderował porucznik, zanim jeszcze żołnierze zdążyli zareagować na okrzyk kaprala. - Przygotować broń. Wy dwaj, granaty w pogotowiu. - Wskazał lufą stena dwóch żołnierzy, dla których zabrakło karabinów. - Zaraz zaczynamy - rzucił krótko.

Nie musiał nic więcej mówić. Wszyscy wiedzieli, co mają robić i co ich czeka.

Wyważony ton porucznika podziałał uspokajająco na większość żołnierzy, kilku nawet uśmiechnęło się na myśl o zbliżającej się walce. Niektórzy ukradkiem przeżegnali się. W ciemności zabłysła broń. Visy, steny, błyskawice, szmajsery, a nawet przedwojenne lub zdobyczne mauzery.

Czekali w milczeniu.

Zaniepokojony porucznik spojrział na zegarek. Fosforyzująca wskazówka minutowa właśnie przeskoczyła na cyfrę 9.

Nagle, gdzieś nad nimi, rozległ się przeciągły ryk. Zanim ucichł, rozległ się następny, po nim jeszcze jeden. Zaraz potem usłyszeli trzy głośne eksplozje zlewające się w jeden wielki huk.

- Teraz! - krzyknął porucznik nie swoim głosem.

Sierżant Wileński z impetem otworzył wielkie drzwi wejściowe. Korytarz zalały promienie słońca. Żołnierze wybiegli z wraskiem na ulicę. Nowakowski ruszył jako jeden z pierwszych. Nie chciał, by jego ludzie pomyśleli, że chowa się za rangą lub za ich plecami. Gdy tylko przyzwyczał oczy do światła słonecznego, zauważył kłęby dymu wydostające się z dwóch okien zajętego przez Niemców domu.

Przystanął na moment, fachowo ocenił efekty ostrzału ze zdobycznych pancerfaustów i mruknął z uznaniem. Dwa strzały trafiły dokładnie w wykryte rano pozycje niemieckich karabinów maszynowych. Kapitan Słaby był zdania, że Niemcom zajmie co najmniej minutę otrząśnięcie się z zaskoczenia i uporządkowanie obrony. Porucznik był zdecydowany nie dawać im tej minuty.

Trzeci strzał z pancerfausta rozbił zabarykadowane duże dwuskrzydłowe drzwi wejściowe kamienicy. Akowcy już szarpali się z ich szczątkami, aby dostać się do środka. Jednocześnie za rogiem zaczynał się pozorowany atak resztek kompanii kapitana Słabego. Żołnierze ostro ostrzeliwali okna niemieckiego budynku. Tym razem uznano, że nie warto oszczędzać amunicji. Nie na ten cel, który kosztował już tyle krwi.

W momencie rozpoczęcia szturm przez żołnierzy Nowakowskiego, obrońcy rozpoczęli lekki, nieskoordynowany jeszcze ostrzał z okien kamienicy. Dookoła atakujących zagwizdały przelatujące pociski. Jeden z akowców złapał się za brzuch i przewrócił na plecy, głośno wyjąc. Inny, trafiony w głowę, padł na bruk jak kukielka, której przecięto nagle wszystkie sznurki. Tuż obok niego runął trzeci żołnierz, trzymając się za rozerwane pociskiem gardło. Słychać było wyraźnie, jak rżęząc, stara się rozpaczliwie zaczerpnąć powietrza.

Ostrzał nie był w stanie powstrzymać nacierających. Sierżant Wileński, krzycząc głośno, jako jeden z pierwszych dobiegł do zdemolowanych drzwi wejściowych, przywarł do ściany i wrzucił do środka granat.

- Kryć się! - wrzasnął.

Pozostali żołnierze również przywarli do ścian kamienicy. Rozległa się ogłuszająca eksplozja i z wnętrza budynku wyleciała na ulicę chmura pyłu.

- Bić psubratów! - ryknął Adamczyk, wywijając kolbą powstańczego stena. Odrzucił fragment zawadzających mu drzwi i wpadł do środka, nie czekając, aż opadnie kurz. Zaraz za nim wbiegli szeregowy Michalski oraz sierżant Wileński. Adamczyk przeskoczył próg i wystrzelił długą serię w, jak się okazało, próżnię. Za to na środku korytarza leżały zwłoki dwóch niemieckich żołnierzy zabitych eksplozją. Ciężko było poznać, czy załatwił ich pancerfaust, czy granat. Cała trójka powstańców wbiegła na klatkę schodową.

W tym samym czasie porucznik Nowakowski z resztą oddziału nadal tkwił pod ścianą na zewnątrz budynku. Coraz silniejszy ostrzał z okien utrudniał wbiegnięcie do budynku. Jeden z żołnierzy odbezpieczył granat trzonowy i wrzucił go przez okno do mieszkania na parterze. Najpierw rozległ się brzdęk tłuczonego szkła, a potem paniczne krzyki Niemców. Nastąpiła głośna eksplozja i na głowy powstańców posypały się fragmenty mebli oraz tynku.

W oknie na drugim piętrze pojawiła się sylwetka jakiegoś Niemca, który najwyraźniej próbował im odpłacić tym samym. Nie zdążył nawet odbezpieczyć granatu, gdy jego głowa

ekspłodowała po trafieniu przez polskiego snajpera. Żołnierz zleciał na bruk, omal nie spadając na Nowakowskiego. Z martwej ręki wypadł i potoczył się po bruku zabezpieczony granat. Porucznik przełknął głośno ślinę i jeszcze raz pogratulował sobie pomysłu, aby zmusić sierżanta Ruczka do niebrania udziału w szturmie i pilnowania okien niemieckiej kamienicy.

Czas jednak płynął nieubłaganie, a niemiecki ostrzał nasilał się. Kończyła się pierwsza minuta ataku. Zgodnie z przewidywaniami kapitana Słabego, obrona stawała się coraz skuteczniejsza. Padali kolejni ranni i zabici. Porucznik wydał z siebie coś na kształt warknięcia. Wiedział, że dalsze zwlekanie oznaczać może jedynie pewną śmierć.

- Naprzód, do środka! - Wykrzykując głośno rozkazy, zaczął popędzać swoich ludzi. Sam też postanowił dać im przykład i nie zważając na lecące wokół pociski, wbiegł do kamienicy. Na korytarzu zderzył się z kapralem Adamczykiem, który wracał ze zdemolowanego granatem mieszkania na parterze. Obaj, klnąc na czym świat stoi, potoczyli się po podłodze.

Tymczasem sierżant Wileński wraz z Michalskim, nie czekając na rozkazy czy resztę oddziału, skoczyli w stronę klatki schodowej. Niemal równocześnie strzelili do niemieckiego kaprała zbiegającego po schodach. Padające ciało wpadło na Wileńskiego, podcinając mu nogi. Przewrócił się i wyrznął brodą w kamienny stopień. Zamroczony podświadomie złapał się barierek, dzięki czemu nie stoczył się ze schodów wraz ze szwabskim trupem.

W przedsiionku było coraz więcej akowców. Porucznik, podnosząc się z podłogi, błyskawicznie ocenił sytuację.

- Was trzech - wskazał żołnierzy przy wyjściu - przeszukać parter, reszta na górę. Prowadzi Wileński.

Sierżant co prawda również zdążył się już podnieść i doprowadzić do porządku, jednak w szarży na górę wyprzedził go Adamczyk. Przysadzisty kapral, mimo swojej tuszy, błyskawicznie wbiegł na pierwsze piętro i zatrzymał się obok skulonego Michalskiego, zwanego przez wszystkich Farciarzem, a to z powodu jego legendarnego już szczęścia. Z otwartych drzwi do dwóch mieszkań Niemcy prowadzili zawzięty ogień. Co gorsza, na górce klatki schodowej odezwał się pistolet maszynowy, całkiem przygważdżając Polaków.

- Niezły bajzel, co, panie kapral? - mruknął Farciarz.

Zanim zagadnięty podoficer zdążył odpowiedzieć, młody szeregowiec zerwał się i pobiegł do mieszkania na lewo.

- Głupi to ma jednak szczęście - wycharczał Adamczyk, widząc, że akurat w tym momencie wszyscy Niemcy zmieniali magazynki. Michalski jak burza wpadł do jednego z mieszkań, gdzie bronili się dwaj wehrmachtowcy. Zdążył jeszcze zastrzelić mocującego się z zapasowym magazynkiem podchorążego, gdy osławione szczęście go opuściło. Drugi z broniących się przeładował broń i władował w niego z całą serią. Poszatkowane pociskami ciało Farciarza uderzyło o ścianę, pozostawiając na niej krwawy ślad.

Jego poświęcenie wykorzystali jednak inni. Dwóch żołnierzy poderwało się za sierżantem Wileńskim. Cała trójka, dodając sobie odwagi wrzaskiem, wbiegła do mieszkania. Niemiec nie zdążył ponownie przeładować broni, gdy dosięgły go kule szarżujących powstańców. Zwalił się na podłogę z twarzą wykrzywioną nienawiścią i bólem.

W momencie, gdy ginął Michalski, kapral Adamczyk z dwoma innymi żołnierzami był mocno zajęty oczyszczaniem sąsiedniego mieszkania. Tu walka była znacznie trudniejsza i bardziej zacięta. Dwóch Niemców, osłaniając się nawzajem, ostrzeliwało się krótkimi seriami z salonu. Pierwszy do mieszkania wpadł zasapany szeregowy Lisiecki. Wbiegając do pokoju, potknął się jednak o podwinięty dywan. Jego głośne „O kurwa!” usłyszeli nawet koledzy walczący jeszcze na klatce schodowej. Lisiecki przez moment próbował złapać równowagę, młóćąc wściekle rękami w powietrzu, po czym padł jak długi na podłogę, uderzając na dodatek czołem w poręcz starej sofy. Kula, przeznaczona dla niego, z przeciągłym gwizdem przeleciała mu nad głową i trafiła w twarz biegnącego za nim żołnierza. Nieszczęśnik złapał się za poszarpany policzek i z jękiem upadł na próbującego się podnieść Lisieckiego. Obaj z głośnym łoskotem poturlali się po podłodze, zatrzymując się pod ścianą. Zanim Niemcy zdążyli zareagować na to nieoczekiwane zniknięcie przeciwników, z przedpokoju poleciała w ich stronę seria ze stena Adamczyka. Głośny jazgot brytyjskiego pistoletu maszynowego całkowicie zagłuszył wrzask grubego niemieckiego szeregowca, gdy dwie kule trafiły go w brzuch i udo. Padł na ścianę i powoli osunął się po niej, patrząc dookoła błędnym wzrokiem. Upuścił broń i trzymając się za krwawiący brzuch, zaczął wołać pomocy.

Jego kolega miał więcej szczęścia. Jedna z kul zaledwie drasnęła go w lewe ramię w momencie, gdy chował się za winkel. Z kuchni dobiegł Lisieckiego głośny stek niemieckich przekleństw. Akowiec delikatnie odepchnął rannego kolegę pod ścianę i wystawił lufę karabinu znad oparcia sofy. Wciąż kręciło mu się w głowie po uderzeniu w sofę. Rękawem

przetarł krew spływającą wolnym strumyczkiem z rozcięcia na czole, obiecując sobie w myślach, że następnym razem założy jednak hełm. Bardziej wyczuł niż zobaczył ruch po prawej i krótką serią niemal przeciął na pół próbującego wstać rannego grubasa. Niemiec krzyknął i ponownie upadł na zakrwawioną podłogę. Zwijając się z bólu, potrącił nogami kredens. Mebel zakołysał się mocno, po czym przewrócił się wprost na niego. Rozległ się przerażający łoskot, gdy kryształowe i porcelanowe naczynia rozbijały się o podłogę.

Korzystając z zamieszania, drugi Niemiec wychylił się zza winkla i błyskawicznie oddał trzy strzały w kierunku Polaków. Szybko jednak znowu się schował, gdy przemknęła mu tuż obok twarzy seria ostrzeliwującego się z przedpokoju Adamczyka.

Kapral wślizgnął się do pokoju i skinął Lisieckiemu lufą stena w stronę kuchni. Szeregowiec wrzuszył ramionami z niezrozumieniem. Adamczyk westchnął głęboko, po czym wskazał granaty przyłączone do paska Lisieckiego. Szeregowy pokiwał głową, odłożył karabin i drżącymi rękami wyciągnął konspiracyjnej produkcji granat. Nie zdążył go jednak odbezpieczyć, gdy z kuchni wypadł jakiś przedmiot prosto pod jego nogi. Przestraszony odskoczył, zanim rozpoznał niemieckiego lugera. Jednocześnie zza ściany rozległ się głos:

- Nicht schießen. Ich ergebe, nicht schießen.

Słyszając to, Adamczyk wyprostował się i spokojnym krokiem przeszedł na środek pokoju. Mimo wszystko cały czas mierzył ze stena w stronę kuchni, rozglądając się uważnie dookoła.

- Wyłazić.

W drzwiach pojawił się mocno wystraszony, na oko dwudziestoletni żołnierz z podniesionymi rękami. Przerazone błękitne oczy wpatrywały się w kaprala z nadzieją.

- Lisiecki, przeszukajcie go, czy nie ma jakiejś broni, i zwiążcie.

Żołnierz szybko doskoczył do Niemca i pchnął go na ścianę. Mruczając przekleństwa, zrewidował jeńca, wyciągając mu z kieszeni dwa zapasowe magazynki do pistoletu.

Rozglądając się uważnie, Adamczyk podszedł wolnym krokiem do siedzącego za sofą rannego powstańca i spojrzał na niego ze współczuciem zmieszonym z ulgą. Rana, choć mocno krwawiła, nie wyglądała na groźną. Nie zważając na protesty żołnierza, kapral delikatnie obejrzał brzozy rany. Na szczęście kula minęła kość o kilka milimetrów. Adamczyk przelotnie

rozejrzał się jeszcze w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia. Nie zauważywszy niczego godnego uwagi, wybiegł z mieszkania.

Nagle tuż obok rozległ się ogłuszający jazgot szmajsera.

- Co robisz, baranie? - dobiegł Lisieckiego głośny wrzask.

Zdziwiony wychylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje na korytarzu. Pierwsze, co mu się rzuciło w oczy, to kapral Adamczyk przyklejony do ściany i miotający przekleństwa do kogoś na zewnątrz mieszkania. Wyglądało na to, że seria z broni jakiegoś wystraszonego powstańca omal nie odstrzeliła Adamczykowi głowy, kiedy ten zniecał wypadł na klatkę schodową.

Kapral przetarł spocone czoło i jeszcze raz popatrzył na dziury po kulach. Zazgrzytał zębami i solennie sobie obiecał dłuższą rozmowę z niezdara, który omal nie wyprawił go na tamten świat.

Dwaj inni żołnierze pod dowództwem Nowakowskiego, nie zważając na toczącą się walkę w mieszkaniach na pierwszym piętrze, zawzięcie ostrzeliwali niemieckie stanowisko na trzecim piętrze. Korzystając z tego, że udało im się przyblokować Niemców, porucznik popędzał pozostałych do szturm na drugie piętro. Znowu rozległy się strzały i krzyki zarówno po polsku, jak i po niemiecku.

Rozgrzany poprzednią walką Wileński bez wahania wpadł do mieszkania na drugim piętrze. Pojawił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak jakiś akowiec wraz z niemieckim sierżantem tarzają się po podłodze i okładają pięściami. Dwóch innych Niemców, podziurawionych kulami, leżało przy oknie. Obok nich umierał w milczeniu młody powstaniec z paskudną raną brzucha.

Niemiec zaczął brać zdecydowanie górę w szarpaninie, przyparł Polaka do podłogi i zaczął go dusić. Wileński zdecydowanym krokiem podszedł do walczących, przyłożył Niemcowi pistolet do skroni i nacisnął spust. Krew i kawałki mózgu chlusnęły na leżącego na podłodze powstańca.

- Jasna cholera, sierżancie - ochryłym głosem wykrztusił uratowany, zmazując z twarzy krew.

- Wolę zwyczajne „dziękuję”, szeregowy Borek. A teraz ruszcie dupę. Walka jeszcze się nie skończyła.

Ledwie żywy żołnierz powoli podniósł się na kolana, cały czas rozmasowując obolałe gardło. Nadal czuł się tak, jakby ręce Niemca zaciskały się na jego gardle.

- Prawie mnie zadusił, sukinkot - wyjęczał - a wyglądał na taką chudzinę.

Zaintrygowany sierżant pochylił się nad trupem w nietypowym mundurze. Przewrócił zwłoki na bok i przyjrzał się emblematowi na ramieniu Niemca.

- Niech mnie. Szarotka - powiedział zaskoczony. - Możecie się czuć wyróżnieni, Borek. To prawdziwa elita, ichniejsze wojska górskie. - Sierżant przeładował pistolet, schował go do kabury i pognął dalej na klatkę.

Ciężko oddychając, Borek wstał, zrobił dwa kroki w kierunku drzwi, po czym zachwiał się zamroczony. Drżącą ręką chwycił się krawędzi stołu i usiadł na krześle. Uznał, że na razie ma dość wojny. Spojrzał smętnie na swojego niedoszłego zabójcę.

- Przy moim zasranym szczęściu to pewnie jedyny taki Niemiec w Warszawie - wychrypiął cicho, w dalszym ciągu rozmasowując gardło.

Na klatce schodowej sierżant Wileński wpadł na szeregowego Ostrzyckiego, który ostrzeliwał długimi seriami ze stena górę klatki schodowej. Na szczycie schodów widać było fragment niemieckiego hełmu podziurawionego kulami. Korzystając z chwili wytchnienia, porucznik Nowakowski wpadł do drugiego mieszkania na tym piętrze. Wszędzie panował całkowity nieład. To właśnie tu trafił jeden z powstańczych pancerników, zabijając niemiecką obsadę MG-42 i przy okazji demolując doszczętnie salon. Nowakowski rozejrzał się po pokoju i zwymiotował. Wszędzie wałały się ludzkie szczątki. Tuż przy drzwiach leżał trup wehrmachtowca. Jakimś cudem eksplozja urwała mu pół głowy. Jedyne oko wpatrywało się oskarżycielsko w Nowakowskiego. Porucznik zacisnął zęby i pobiegł dalej. Z poddasza dobiegł go okrzyk:

- *Nicht schießen, Kameraden!*

- Ja ci dam, kanalio, *Kameraden!* - wychrypiął mściwie Ostrzycki, który był już w połowie schodów na trzecie piętro.

Jednym susem dopadł starego Niemca, kaprała, który klęczał przy szczycie schodów. Obok niego leżało bez ruchu dwóch innych żołnierzy niemieckich. Krew wąskim strumieniem ściekała na schody. Ostrzycki z rozmachu uderzył kolbą w twarz poddającego się żołnierza,

który zachwiał się i z wrzaskiem poleciał na barierkę. Drewniana balustrada pękła z trzaskiem i Niemiec z przeciagłym wyciem spadł trzy piętra niżej.

- *Auf Wiedersehen, Kameraden* - krzyknął za nim Ostrzycki.

Ciało niemieckiego żołnierza z nieprzyjemnym mlaśnięciem uderzyło o kamienną posadzkę. Z rozbitej czaszki zaczęła wypływać krew zmieszana z kawałkami mózgu.

Zdyszany porucznik w pędzie minął miotającego przekleństwa Ostrzyckiego i wraz z sierżantem Wileńskim wpadł na poddasze. Tu też pancerfaust poczynił nieliczne spustoszenie. Przy rozbitym oknie leżały zwłoki dwóch niemieckich żołnierzy oraz poskręcane szczątki karabinu maszynowego.

Pod ścianą siedział ciężko ranny niemiecki kapitan. Na widok Polaków wrzasnął coś niezrozumiałego i przyłożył pistolet do skroni.

- *Nein.* - Nowakowski wyciągnął rękę w uspokajającym geście.

Niemiec coś odwarknął i pociągnął za spust. Bok jego głowy eksplodował w fontannie krwi, a ciało wolno zjechało po ścianie.

I właśnie w tym momencie skończyła się mordercza walka w kamienicy. Wszędzie zrobiło się niesamowicie cicho.

Wileński, nie widząc żadnego zagrożenia, przewiesił szmajsera przez ramię.

- Zwycięstwo - wychrypiał cicho.

Nowakowski spojrział tępo na trupa niemieckiego oficera i westchnął.

- Ta... zwycięstwo. Kapralu Adamczyk - rzucił do właśnie wchodzącego na poddasze podoficera - sprawdźcie stan plutonu. Zobaczymy, ile nas to zwycięstwo kosztowało.

Adamczyk odwrócił się bez słowa i zszedł na dół. Po drodze, jak przystało na prawdziwego podoficera, zaczął opieprzać każdego, kto mu się nawinął pod ręką: za nieregulaminowe umundurowanie, nieczyszczoną broń czy niechlujne krwawienie z ran. Szczególną radość poczuł na widok szeregowego Piaskowskiego, który zaczął się tłumaczyć z niefortunnego ostrzału.

Słyszając wrzaski kaprala, porucznik uśmiechnął się pod nosem. No cóż, każdy radził sobie ze stresem, jak umiał. Podeszedł wolno do rozbitego okna i czubkiem buta przesunął na bok zwłoki niemieckiego cekaemisty. Z westchnieniem ulgi wyjął z kieszeni munduru srebrną papierośnicę i drżącymi rękami wyciągnął z niej papierosa. Z namaszczeniem włożył go do ust. Zapalił.

Wileński roześmiał się cicho na ten widok. Pamiętał, że porucznik trzy dni temu poprzysiął sobie, że nie zapali papierosa, dopóki nie zdobędą tej kamienicy. Nie ma to jak dodatkowa motywacja. W takich chwilach jak ta dawało jeszcze się rozpoznać w poruczniku arystokratę, przedstawiciela odchodzącej w przeszłość klasy kojarzonej zazwyczaj z bankietami i pojedynkami na szable.

Nowakowski wolno palił papierosa, rozkoszując się rozsiewaną dookoła wonią tytoniu. Opierając się nonszalancko o framugę rozbitego okna, spojrzął na rozciągającą się przed nim panoramę miasta.

Nad Warszawą kłębiły się dymy. Co chwila powietrzem wstrząsały eksplozje pocisków artyleryjskich. W oddali słychać było nieustający terkot karabinów maszynowych. W całym mieście trwała zażarta walka, ale przynajmniej tu, w tym domu, Polacy odnieśli swoje drobne zwycięstwo. Nowakowski pozwolił sobie na przeciągłe westchnienie, po czym zerknął przelotnie na trupa niemieckiego oficera.

- W sumie szkoda, że sobie palnął w łeb. - Jego twarz wykrzywił grymas. - Chciałem z nim porozmawiać na temat używania naszych rannych jako tarcz strzelniczych... - Przerwał nagle, gdy powietrzem targnął straszliwy huk.

Wileński podeszedł wolno do okna.

- Szwaby znowu ostrzeliwują Starówkę. - Skinął palcem w kierunku dużego słupa dymu. - Przyznam, panie poruczniku, że te ich „szafy” robią wrażenie. Już same dźwięki, które wydają z siebie, są dość przerażające, a co dopiero ich siła rażenia.

Nowakowski wyciągnął z ust papierosa i uważniej przyjrzał się skutkom dalekiej eksplozji.

- Przerażające - potwierdził zmęczonym głosem. - Z tym, że tym razem to nie była „szafa”. Nie ten dźwięk, no i tamte wałęsami. To coś nowego, większego - ponownie

zaciągnął się dymem - i jak znam życie i szwabów, coś znacznie bardziej złowieszczego -
dokończył filozoficznie.

 Nie wiedział jeszcze, jak przewrotnie prorocze okażą się jego słowa.

15 sierpnia, Stare Miasto

Agata zatrzymała się na moment, gdy pył zaczął mocniej sypać się jej na głowę. Kanonada na powierzchni wznosiła się. Już ponad dwa tygodnie trwały walki w mieście i nie było widać końca tego szaleństwa. Tu, na dole, w warszawskich kanałach, eksplozje niemieckich pocisków i bomb zdawały się przytłumione i odległe, a przez to zwodniczo mniej zabójcze.

Przyglądając się uważnie sufitowi tunelu, odruchowo wyprostowywała fałdy na spódniczce. Miała siedemnaście lat i z dumą służyła w powstańczym zgrupowaniu rotmistrza Bończy^[3]. Była smukłą, długonogą blondynką, za którą oglądali się chłopcy z całej kompanii. Mimo fatalnych czasów, w których przyszło jej żyć, na drobnej twarzy ciągle promieniała radość życia. Szczególnie teraz, gdy po pięciu latach życia pod niemieckim butem nadchodził czas rewanzu.

Wszystkie jej rówieśniczki pracowały jako sanitariuszki, tylko nie ona. Ku jej rozpaczy okazało się bowiem, że nie mogła znieść widoku krwi obficie lejącej się z ran. Ilekroć przychodziło jej bandażować któregoś z żołnierzy, mdlała lub wymiotowała. Wreszcie porucznik Andrzej Dembowski ulitował się nad nią i namówił do zmiany zajęcia. Oczywiście, nie mogła w tej sytuacji walczyć, więc z radością podjęła się funkcji łączniczki. Dzięki zwinnej i szczupłej sylwetce mogła przedzierać się przez rumowiska czy kanały znacznie łatwiej niż inni żołnierze.

Tak oto znalazła się w starych, dziewiętnastowiecznych kanałach pod Starym Miastem z plikiem meldunków i rozkazów. Brodząc po kostki w płytkiej, cuchnącej wodzie, wolno skręciła w kolejną odnogę. Dno tego kanału lekko opadało, dzięki czemu korytarz był wyższy niż ten, którym szła dotychczas. Z westchnieniem ulgi wyprostowała się, bo od ciągłego zginania bolały ją plecy. Co ważniejsze, mimo że korytarz znajdował się niżej niż większość kanałów, poziom wody był dość niski. Po wybuchu Powstania Niemcy częściowo wstrzymali pracę wodociągów, co znacznie osuszyło warszawską sieć kanałów.

Dziewczyna oświetliła latarką drogę przed sobą i wzdrygnęła się na widok dwóch szczurów, które z piskiem uciekły przed światłem. Mocniej owinęła twarz chustką i ruszyła wolno przed siebie. Podłoga korytarza była śliska, więc Agata co chwila musiała przytrzymywać się wilgotnych, brudnych ścian.

No cóż. Funkcja łącznika w Warszawie miała też swoje złe strony. Trzeba było włóczyć się po miejscach, gdzie nikt normalny by nie wszedł, jak choćby walące się domy czy rozpadające się barykady. Najgorsze były jednak mroczne i cuchnące kanały, jakże często pozamieniane przez Niemców w pułapki. Zwykła płatanina drutu kolczastego, mina czy gaz bojowy wpuszczany przez włazy, mogły zamienić wilgotny korytarz w anonimowy grób. Strach przed takim losem towarzyszył Agacie od ponad tygodnia. Wystarczająco długo, by się z nim oswoiła, ale zbyt krótko, by go stłumić. Bywały jednak dni, kiedy zadania okazywały się szczególnie uciążliwe, jak na przykład dziś. Z grymasem na twarzy zatrzymała się na chwilę i złapała za podbrzusze.

- Akurat teraz - wyszeptała, przygryzając wargi.

Drugi dzień zawsze był szczególnie bolesny. Oparła się o wilgotną ścianę i próbowała uspokoić. W ogarniętej walkami Warszawie środki przeciwbólowe były zbyt wielkim luksusem, aby można było sobie na nie pozwolić. Kilka razy odetchnęła głęboko, co w cuchnącym kanale nie było zbyt przyjemne. Odrzuciła z czoła przyklejony kosmyk i starła pot spływający po twarzy. Ból stopniowo zanikał, by po paru minutach pojawić się na nowo. Nie powinna była w takim stanie iść na akcję, ale zameldowanie dowódcy o "niedyspozycji" byłoby dla niej zbyt upokarzające. Oczami wyobraźni widziała, jak melduje swojemu sierżantowi, staremu kawalerowi i zawodowemu podoficerowi, że dziś nie może zanieść rozkazów, bo właśnie krwawi. Mimo niewesołej sytuacji uśmiechnęła się do swoich myśli. Biedny poczciwy sierżant Stawicki pewnie w pierwszym odruchu chciałby ją zabandażować, nie rozumiejąc, o co chodzi...

Nagle rozległ się przeciągły świst i potężna eksplozja zakotłosała kanałem. Kilkanaście metrów dalej w ulicę trafiło coś wielkiego, ryjąc głęboką wyrwę w ziemi. Gwałtownie wyrwana z rozmyślań, Agata gwałtownie przykucnęła i zasłoniła oczy rękami. Przez chwilę było słychać przerażający łoskot walących się ścian, wokół unosiła się chmura pyłu. Mój Boże, tylko tego brakowało, aby tunel się zawalił, przemknęło jej przez głowę.

Doświadczenie nabyte podczas kilku dni walki podpowiadało Agacie, że to nie była zwykła artyleria. Nie były to nawet mrozące krew w żyłach niemieckie „krowy”. Wyglądało na to, że tym razem pogłoski miały się sprawdzić i hitlerowcy rzeczywiście ściągnęli do Warszawy jakąś nową straszną broń.

Gdy opadł pył, Agata ostrożnie wstała i oświetliła latarką rumowisko powstałe po eksplozji. Wyglądało na to, że zawaliła się ściana kanału, choć sam korytarz na szczęście nie został zatarasowany.

Podeszła bliżej i przyjrzała się uważnie rumowisku. Właściwie wyglądało to tak, jakby ściana zawaliła się... na zewnątrz tunelu. Otrzeptała z pyłu bluzkę i nerwowym ruchem wygładziła fałdy krótkiej spódnicy. Jeden z wcześniej zauważonych przez nią szczurów również zatrzymał się przy uszkodzonej ścianie kanału. Zwierzę przez moment obwąchiwało świeżo powstałą szczelinę, po czym z przeraźliwym piskiem uciekło w głąb kanału. Agata nie zwróciła uwagi na dziwne zachowanie gryzonia, tylko ostrożnie podeszła do rumowiska. Tak jak podejrzewała, pod wpływem wstrząsu stary ceglany mur zawalił się do sąsiedniego kanału. Zbliżyła się do szczeliny i zaświeciła do środka.

- Co to jest? - szepnęła zaskoczona.

Za rozbitą ścianą nie znajdował się inny kanał, ale jakaś komora czy grot. Agata spojrzała niezdecydowana na tunel przed sobą i widoczne w oddali światło słoneczne sączące się przez szczeliny wjazdu tuż przy starym rynku.

- Wojna może chwilę poczekać - zdecydowała w końcu.

Kobieca ciekawość magnetycznie pchała ją ku dopiero co odkrytemu pomieszczeniu. Ból, który jeszcze przez chwilę odczuwała, znikł, podobnie jak lęk przed pogrzebaniem żywcem. Ostrożnie przecisnęła się przez powstałą szczelinę i rozejrzała się dookoła. W nozdrza uderzył ją zapach stęchłego powietrza. Nikły promień latarki oświetlił wnętrze tajemniczego pomieszczenia. Ze zdumieniem zobaczyła, że ściany i podłoga są zrobione z nierówno ociosanych białych kamieni, mocno kontrastujących z czerwienią cegieł kanałów. Rozejrzała się dookoła zaciekawiona i westchnęła z ulgą. Pierwszy strach przed nieznanym minął. Była już kiedyś w podobnym pomieszczeniu, jeszcze przed wojną, razem ze swoim ojcem.

Wyglądało na to, że znalazła się w starej, zapomnianej piwnicy którejś z kamienic rynku. W świetle latarki dojrzała kilka spróchniałych skrzyń i beczek. Ogarnęła ją gorączka złota.

Może są tu jakieś zapomniane skarby? - pomyślała, rozglądając się ciekawie.

Dudnienie eksplozji na górze było prawie niesłyszalne. W piwnicy panowały spokój i przyjemny chłód.

Zrobiła kilka następnych kroków, gdy nagle promień latarki zatrzymał się na... ludzkim szkielecie. Podeszła bliżej i przyjrzała się znalezisku. Kościotrup był bardzo stary i pożółkły. Nigdzie nie zauważyła czaszki. Przelotnie spojrzała na połamane kości i żebra.

Jak zginąłeś? Czemu pozostawiono cię tu, a nie pochowano na cmentarzu? I co, na Boga stało się z twoją głową? - kłębiły jej się w głowie pytania.

Dookoła ludzkich szczątków leżało pełno szklanych odłamków. Podniosła jeden z nich i przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał na kawałek bardzo starego lustra.

Pewnie nikt tu nie zaglądał od wieków, pomyślała z nabożnym lękiem. Inaczej zabraliby zwłoki, by je pochować.

Ruszyła dalej wzdłuż ściany, by po paru krokach dojść do rumowiska kamieni. Wyglądało na to, że ta część piwnicy została zasypana jakiś czas temu. Zawiedziona cofnęła się wolno, próbując oświetlić całość rumowiska.

Nic z tego, nie da się tego oczyścić, pomyślała z żalem i postanowiła wracać.

Przy samym wyjściu do kanałów zauważyła kwadratową dziurę w podłodze.

- Najwyraźniej jest drugi poziom - powiedziała głośno, by dodać sobie odwagi.

W podziemiach było tak cicho i spokojnie... Można było zapomnieć o całym tym zewnętrznym świecie, wojnie, Powstaniu, śmierci. Położyła się przy krawędzi i spojrzała w głąb. Na dolnym poziomie naprzeciwko niej nie było już ściany z kamieni, lecz postrzępiona, szara skała. Zaciekawiona zajrzała głębiej do otworu. Latarka dawała słabe światło, ale wyglądało na to, że podłoga drugiego poziomu była bardzo blisko. Na tyle blisko, że można było tam zejść bez obawy, że nie będzie można się wspiąć z powrotem.

Uważając, by nie rozbić latarki, ześlizgnęła się w dół.

Bezpiecznie wylądowała na nierównej powierzchni. Rozejrzała się ciekawie dookoła, oświetlając ściany i podłogę. Wszędzie zamiast białych poukładanych kamieni była naga, nierówna szara skała. Agata ze zdziwieniem zorientowała się, że wcale nie jest na drugim poziomie średniowiecznej piwnicy, tylko w korytarzu pieczary.

Jeszcze raz oświetliła otwór, przez który się tu dostała. Miał kształt regularnego kwadratu, więc musiał być dziełem człowieka. Najwyraźniej murarze, rozbudowując piwnicę, którą odkryła, dokopali się do prehistorycznej grotty. Na próbę wspięła się z powrotem do piwnicy. Nie było z tym problemów, więc postanowiła poświęcić trochę czasu na zbadanie tajemniczej pieczary.

Najpierw poszła korytarzem w górę. Ta część jaskini kończyła się jednak po kilkunastu metrach ślepą ścianą. Agata zawróciła więc i ruszyła w dół. W pewnym momencie zatrzymała się zaskoczona, bo z oddali dobiegł ją cichy szum wody. Podziemny strumień? W Warszawie? Zaiskrzyły jej się oczy. To dopiero byłoby odkrycie. Przeszła jeszcze kilkadziesiąt metrów, podziwiając podziemny świat. Latarka dawała bardzo mało światła, więc Agata starała się iść wzdłuż lewej ściany, żeby się nie zgubić. Po pewnym czasie korytarz rozszerzył się znacznie, przechodząc w ogromną pieczarę. Zatrzymała się niezdecydowana. W półmroku zobaczyła przed sobą rumowisko skał. Wiedziona ciekawością, podeszła tam.

- Co to jest? - zaszeleścił w ciemnościach spanikowany szept.

Znalezisko okazało się stosem starych poźółkłych kości. I to najwyraźniej ludzkich kości, stwierdziła z przerażeniem Agata, patrząc na leżące dookoła czaszki. Widok był tak odrażający, że postanowiła jak najszybciej wyjść z tej budzącej grozę grotty. Nie mogła jednak oderwać wzroku od góry ludzkich szczątków. Cicho zaczęła się wycofywać w stronę korytarza.

Jej serce zaczęło tak mocno bić, że zdawało jej się, iż ten dźwięk wypełnia całą grotę. Agata odwróciła się gwałtownie, chcąc jak najszybciej wybiec z tego przeklętego miejsca, wpadła jednak na wystającą skałę i przewróciła się. Odgłos toczącej się po kamieniach latarki zadudnił w pieczarze. Rozległ się brzdęk tłuczonego szkła i grotta pogrążyła się w absolutnej ciemności.

Szepecząc cicho zasłyszane od kolegów przekleństwa, Agata próbowała się podnieść z ziemi. Syknęła z bólu, gdy dotknęła obolałego kolana. Oparła się o skałę, o którą się wcześniej potknęła. Nagle zdała sobie sprawę, że jej plecy dotykają czegoś miękkiego, a jednocześnie śliskiego. Zdziwiona i zarazem przerażona, zaczęła po omacku badać tę dziwną skałę. Pod palcami wyczuła łuski jak u ryb lub węży, które często widywała w warszawskim zoo. Po plecach przebiegły jej ciarki, kiedy zorientowała się, że upadła na jakieś duże zwierzę. Stworzenie było bardzo zimne w dotyku, więc z pewnością od dawna już nie żyło. Jeszcze raz dotknęła stwora, mocniej przyciskając dłoń do skóry. Nie była pewna, lecz wydawało jej się, że

wyczuła bicie serca. Powolne, ale zawsze. Wyglądało na to, że zwierzę nie jest martwe, tylko pogrążone w letargu. Z obrzydzeniem odskoczyła od znaleziska. W ciemności nie mogła zorientować się, jak gad wygląda, ale wyobraźnia podsuwała jej coraz to bardziej przerażające kształty.

Ostrożnie, błędząc po omacku w ciemnościach groty, ruszyła w kierunku szczeliny, jednak nie zdążyła zrobić nawet dwóch kroków, gdy z tyłu dobiegł ją cichy syk. Przeżrana wolno odwróciła się i zamarła. Nieprzeniknione ciemności spotęgowały grozę sytuacji.

Ciepły dotyk dziewczyny wyrwał stwora z kilkusetletniej drzemki wymuszonej uwięzieniem przez ludzi. Wolno rozciągnął ciało, napawając się obecnością innej istoty. Głośno wciągnął powietrze przez nozdrza, delektując się słodkim zapachem krwi ludzkiej samicy. Zapachem, którego zwierz nie czuł od tak dawna. Krew zaczęła w nim szybciej pulsować, pobudzając do działania zdrętwiałe od długiego snu cielsko. Wszystkie zmysły istoty mówiły jej, że tuż obok jest coś świeżego. Z paszczy bestii wydobyło się krótkie mlaśnięcie. Oblizwała zęby...

Agata próbowała zmusić swoje ciało do jakiegoś ruchu, ale przerażenie nie pozwalało jej ruszyć się z miejsca. Wyraźnie słyszała skradającego się w jej kierunku stwora. Gniewne posykiwanie istoty przyprawiało ją o gęsią skórę. Zaczęła spazmatycznie oddychać, co tylko ośmielało bestię. Dziewczyna wyciągnęła rękę w kierunku ciemności, cały czas obracając się w kierunku, z którego słyszała posykiwanie. W obronnym geście drugą ręką przyciskała do piersi torbę z dokumentami.

Nagle coś śliskiego otarło się o jej nogę. Krzyknęła ze strachu. Brak innej reakcji obronnej upewniał istotę, że ofiara jest całkowicie bezbronna i co ważniejsze - zupełnie jej nie widzi. Stwór zaczął powoli krążyć wokół przerażonej dziewczyny. Coraz bliżej i śmielej przebiegał obok niej. Zapach jej ciała, a przede wszystkim krwi, pobudzał istotę do działania. Była głodna, bardzo głodna... Głośno wciągnęła powietrze. Zapach ludzkiej krwi wprost oszałamiał.

Agata za każdym razem, gdy niewidoczny stwór dotykał jej nogi, krzyczała ze strachu i obrzydzenia. Wyraźnie wyczuwała emanujące z ukrytego w mroku przeciwnika uczucie zadowolenia i złośliwej radości. Zaczęła się wolno cofać. Stwór nie biegał już wokół niej. Zamiast tego szybko doskakiwał, dotykając szorstkim jęzorem skóry, i natychmiast

odskakiwał, wydając z siebie warknięcia i parsknięcia. Zupełnie jakby próbował smaku jej ciała i krwi.

W pewnym momencie stwór cicho mruknął i zatrzymał się. Rozległ się głośny krótki syk zwiastujący podjęcie decyzji. Zwierz szybkim ruchem ogona podciął Agacie nogi. Upadła się na plecy, uderzając się w głowę. Poczowała lekki ból w czaszce. Torebka wypadła jej z dłoni. Na twarzy poczuła chrapliwy oddech, w nozdrza uderzyła ją intensywna woń. Zaszlochała przeciągle, gdy ślina stwora zaczęła skapywać jej na twarz.

I wtedy właśnie ślepie stwora zaczęły się jarzyć. Świdrujące, głodne spojrzenie zdawało się wwierać w jej oczy. Początkowo ślepie bestii rzucały słaby czerwony blask, który pulsując, potężniał. W blasku czerwonej poświaty Agata zobaczyła tuż przy swojej twarzy wielki, tępy pysk pełen ostrych, żółtych zębów.

Stwór stanął nad swoją ofiarą, uniemożliwiając jej podniesienie się. Dziewczyna próbowała wyczołgać się, ale bestia była szybsza. Przednią łapą nacisnęła na lewe ramię Agaty, przygważdżając ją do ziemi. Stęknęła z bólu, gdy tylna łapa nadepnęła na brzuch. Z pyska bestii ponownie wysunął się jęzor i znów wolno przesunął się po twarzy Agaty. Zakwiliła cicho ze strachu. Stwór nie spieszył się z jej zabiciem, lecz delectował się całą sytuacją. Rozsmakowywał się w bólu i przerażeniu ofiary.

Agata zdołała wymacać w ciemności brodę bestii. Wyteżyła wszystkie siły, usiłując odepchnąć ohydny łeb od swojej twarzy. Niestety bestia była zbyt silna. Dziewczyna nabrała powietrza, by wołać o pomoc, i wtedy stwór wbił głęboko jęzor w jej otwarte do krzyku usta. Zaskoczona Agata zakrzuszyła się i szarpnęła w przerażeniu. Potwór jednak nie ustępował i mocniej przycisnął łapami swoją ofiarę do ziemi.

Próbowała ugryźć szorstki jęzor wbijający się w gardło. Bestia mocniej nacisnęła na jej klatkę piersiową, zwiększając nacisk na płuca. Agata poczuła, że się dusi. Szarpnęła głową do tyłu, usiłując zaczerpnąć powietrza, lecz jęzor bestii zagłębił się w poszerzoną krtani. Dziewczyna, bliska już obłędu, zaczęła wierzgać nogami, lecz ślizgały się jedynie po gładkiej skórze stwora. Prawa ręka zsunęła się z brody bestii. Oczy Agaty zaczęły łzawić, a twarz stawała się purpurowa. Zwierz mocniej zaczął ją przyciskać cielskiem do ziemi, przez cały czas wbijając w Agatę płonący wzrok. W ostatnim odruchu rozpaczony szarpnęła się mocno, prawie zrzucając z siebie stwora. W jej przerażonym umyśle kołatała się bez przerwy tylko ta jedna myśl:

„To się nie dzieje, to się nie dzieje...”.

Zwierz jednak nie zamierzał kończyć zabawy. Z rozwartych szczęk wydobyło się głośnie chrząknięcie. Mocniej wepchnął jęzor w gardło, raniąc krtań dziewczyny. Ból stawał się nie do wytrzymania. Jednocześnie łapy potwora miażdżyły brzuch łączniczki. Agata rozpaczliwie walczyła o oddech, krztusząc się i dławiąc. Wolną ręką zaczęła bić gada po pokrytej łuskami głowie. Jej nogi w agonalnym skurczu objęły korpus istoty w przerażającej parodii miłosnego uścisku.

Szarpnęła się mocno po raz ostatni, gdy stwór mocniej wsunął jęzor w jej tchawicę, raniąc kłami wargi. Po twarzy dziewczyny zaczęły płynąć małe strumyki krwi z pokaleczonych ust i gardła. Nagle do męki duszenia doszła nowa tortura. Jęzor potwora zdawał się palić od środka żywym ogniem. Agata chciała wykrzyknąć cały swój ból, lecz zamiast tego z zablokowanych ust wydobyło się głośnie rżenie. Twarz dziewczyny, jeszcze przed chwilą czerwona, zaczęła szarzeć. Jej ciałem wstrząsnął spazm, po czym znieruchomiała.

Walka była skończona.

Stwór wolno zszedł ze swojej ofiary, delektując się zwycięstwem nad człowiekiem, po czym krótko parsknął w kierunku zwłok. Zabicie dziewczyny sprawiło mu dawno nieodczuwaną przyjemność. Mlasnął dwa razy językiem, smakując krew, po czym nachylił się nad ciałem, rozwierając szeroko szczęki. Jednocześnie pazurami zaczął niecierpliwie szarpać ubranie, by jak najszybciej dostać się do ludzkiego mięsa.

W tym momencie z korytarza, którym przyszła dziewczyna, zaczęły docierać odgłosy świata zewnętrznego. Po raz pierwszy od bardzo dawna bestia poczuła świeże powietrze. Zatrzymała się niezdecydowana, kręcąc nerwowo długim ogonem.

Z jednej strony była bardzo głodna i osłabiona. Z pyska ciekła wąskim strumyczkiem ślina na sam widok leżących tuż przed nią ludzkich zwłok. Z drugiej jednak strony niepokromiona natura pchała ją ku dawno utraconej wolności. Ryzyko, że znowu zostanie zamknięta, zdawało się przesądzać. Istota uznała w końcu, że na zewnątrz będzie wiele okazji, aby najeść się do syta.

Stwór wydał z siebie parsknięcie w kierunku martwej dziewczyny i pognął tam, skąd napływało świeże powietrze. Wspinając się po ścianie, dotarł do opuszczonej starej piwnicy,

którą tak dobrze pamiętał z poprzedniej pobudki. Jego spojrzenie skierowało się na szczelinę w murze, wystarczająco dużą, aby mógł swobodnie przez nią przechodzić. Ryknął tryumfalnie.

Idący kilkadziesiąt metrów dalej kanałami niemiecki szturmowiec przystanął zdziwiony. Przed momentem walki na powierzchni chwilowo ucichły, więc wydawało mu się, że usłyszał przed sobą coś jakby ryk.

- Dziwne... - Szeregowy Libgott poprawił pas z amunicją i dla polepszenia samopoczucia przeładował szmajsera.

Zatrzymał się niezdecydowany. W końcu to, co słyszał, nie przypominało w niczym odgłosów wydawanych przez wrogi oddział. Wahał się, czy zignorować dziwne źródło dźwięków, jednak doświadczenie mówiło mu, że lekceważenie takich sygnałów może się zemścić w przyszłości. Wzruszył ramionami i ruszył przed siebie. Ostatecznie reszta oddziału nie była zbyt daleko. Poza tym, jak stwierdził z nutą ironii, tchórze nie żyją zbyt długo w jednostce karnej SS-Oberführera Dirlewangera. Wyłączył latarkę, żeby przyzwyczaić oczy do ciemności. Wstrzymał oddech i wolno zagłębił się w mrok kanałów.

Brodząc w płytkiej wodzie, Libgott dotarł do ceglanego rumowiska. Zdziwiony przystanął i rozejrzał się niezdecydowany. Włączył latarkę. W ścianie przed sobą zobaczył dziwną szczelinę. W kanałach było już cicho, więc postanowił sprawdzić, co jest po drugiej stronie pękniętego muru.

W tym momencie dostrzegł kątem oka jakiś duży cień skaczący na niego. Nie zdążył użyć broni, kiedy wielkie cielsko pchnęło go na cuchnącą, wilgotną ścianę kanału. Latarka potoczyła się w płytką wodę ścieku i zgasła. Ogromne kły zabłyśły w ciemnościach. Hełm uchronił głowę przed zębami górnej szczęki, ale pod brodę Niemca wbiły się zębiska z dolnej szczęki stwora. Libgott zawył bardziej z przerażenia niż z bólu. W nozdrza uderzył go niesamowity smród. W panice puścił pistolet maszynowy. Oboma rękami złapał za dolną szczękę stwora, usiłując ją rozewrzeć. Kalecząc dłonie o kły, przez moment siłował się z przerażającym przeciwnikiem.

Panika wywołana niesamowitą sytuacją dodała Libgottowi nadludzkiej siły. Szczęki bestii zaczęły się powoli rozwierać. Przez moment w jego umyśle zaświtała nadzieja, że wygra w tych upiornych zmaganiach.

Bestia nie zamierzała jednak tak łatwo rezygnować. Krew z ran na dłoniach oraz na brodzie Niemca spływała powoli do gardła, podsycając furię. Stwór wyczuł, że jest jeszcze zbyt osłabiony, aby zwyciężyć samą brutalną siłą. Zacharczał głośno i szarpnął mocno łbem w bok. Zęby zazgrzytały na hełmie esesmana, pozostawiając głębokie rysy. Jednocześnie przednimi łapami potwór zaczął drapać na oślep szarpiącego się z nim człowieka. Raz po raz szpony przejeżdżały po klatce piersiowej Libgotta, rozrywając mundur oraz pozostawiając na ciele krwawe ślady. Niemiec znał jednak stawkę w tych zmaganiach. Przez jego twarz przebiegł skurcz bólu, a z gardła wydobyło się ciche jęknięcie, gdy jeden z ciosów złamał mu żebro. Nie przestawał jednak walczyć. Jego oczy zdawały się wychodzić z oczodołów z powodu nadludzkiego wysiłku.

Nagle jedna z łap trafiła go w lewe ramię, rozrywając mięśnie i ścięgna. Z ust Niemca wydobyło się głośne westchnienie, po czym szczęki gada zacisnęły się z donośnym trzaskiem, kończąc walkę. Ciało esesmana zwiotczało. Stwór przez moment ścisnął jeszcze zmiażdżoną głowę w szczękach, po czym puścił martwego przeciwnika. Ciało esesmana z głośnym chlupotem upadło w płytką zakrwawioną wodę. W kanale zaległa złowroga cisza przerywana jedynie odgłosami chrupania i mlaskania.

Po setkach lat spędzonych pod ziemią, terror wy dostał się na zewnątrz.

16 sierpnia, Powiśle

Dwóch powstańców z trudem odsunęło ciężki wąż do kanałów. Natychmiast buchnął niesamowity smród. Obaj odwrócili się ze wstrętem.

- Gotowe, panie poruczniku - wysapał Adamczyk, przyciskając do nosa kawałek szmaty nasączonej naftą, aby zabić paskudną woń kanałów.

Stojący nieopodal porucznik Nowakowski ostatni raz zaciągnął się papierosem, po czym zgasił go na krawężniku. Resztki schował do papierośnicy i włożył do kieszeni munduru. Ech, wojna. Zaklął jeszcze cicho pod nosem i podszedł do cuchnącego otworu. Nie miał najmniejszej ochoty schodzić na dół, ale w ciągu ostatnich szesnastu godzin gdzieś tam zaginęły dwie łączniczki oraz trzyosobowy patrol harcerzy. Spojrzał smętnie na swoje wiecznie błyszczące oficerki. W normalnych warunkach pewnie by przebrał się w jakieś stare buty, ale niestety nie miał żadnych innych. A zamieniać się z kimś, choćby na kilka godzin, nie miał ochoty.

- Kapralu Adamczyk, sprawdźcie, czy droga wolna - mruknął z wyraźną niechęcią.

Adamczyk splunął przed siebie, poprawił na głowie zdobyczną panterkę, oddał dowódcy błyskawicę i wyjął z kabury przedwojennego visa. Porucznik wręczył mu wojskową latarkę. Kapral ostrożnie zajrzał do kanału.

- Czysto! - krzyknął.

Porucznik uśmiechnął się, słysząc takie określenie kanałów. Gdzieś w oddali, od strony Woli, rozległy się odgłosy krótkiej strzelaniny. Od trzech dni powstańcy byli systematycznie wypierani z tamtej dzielnicy. Zaczynał się właśnie kolejny dzień morderczych walk.

Nowakowski podszedł do wjazdu i poklepał przyjacielsko kaprała po ramieniu.

- No to z Bogiem. Właźcie pierwsi, Adamczyk. - Oddał mu karabin maszynowy.

Kapral podniósł się, przewiesił błyskawicę przez ramię i zaczął wolno schodzić. Gdy tylko znikł w kanale, porucznik, klnąc cicho pod nosem, ruszył za nim. Powoli pokonując kolejne szczeble, zagłębił się w cuchnących czeluściach korytarza ściekowego. Nie zdążył jeszcze zejść do połowy drabinki, gdy dobiegł go szept Adamczyka:

- Panie poruczniku, chyba coś tu się zbliża. - Nowakowski oświetlił kaprała, który stał po kolana w wodzie. - Z tamtej strony - dodał Adamczyk, wskazując promieniem latarki północny korytarz.

Gdy porucznik skierował światło we wskazanym kierunku, obaj zamarli, wyczekująco wpatrując się w mrok. Na razie nie było jeszcze nic widać, ale wyraźnie dało się słyszeć odgłos rozchlapywanej wody. Wyglądało na to, że ktoś szybko idzie w ich kierunku.

- Co tam się dzieje? - dobiegło z góry głośne pytanie sierżanta Wileńskiego, który właśnie szykował się do zejścia.

- Cicho - syknęli zarówno Nowakowski, jak i Adamczyk.

Ktokolwiek się zbliżał, robił to wyjątkowo głośno, posapując przy tym co chwila. Jeszcze dziwniejsze było to, że ten ktoś szedł całkiem po ciemku. Zahartowanego w bojach porucznika ogarnął bliski paniki strach. Przełknął ślinę, przełożył latarkę do lewej ręki, którą zawiesił się na drabince, a prawą wyjął zdobycznego lugera. Adamczyk również przygotował się do walki. Zdjął z pleców karabin i przeładował go.

- Stój, kto idzie? - krzyknął porucznik w ciemność.

Odgłosy kroków ustały.

- Stój, kto idzie? - powtórzył komendę Adamczyk.

W odpowiedzi usłyszeli potężny, zwierzęcy ryk z wielokrotnioną przez wąską przestrzeń tunelu. Było to tak niesamowite i jednocześnie tak bardzo budzące grozę, że obaj natychmiast oblali się zimnym potem. Cokolwiek to było, ruszyło ponownie w ich kierunku. I to bardzo szybko.

- Jasna cholera, wracamy! - Głos porucznika zdradzał panikę.

Upuścił pistolet i ruszył ku zbawczej górze. Adamczyk też dopadł drabiny. Zadudniły buty na metalowych szczeblach. Nowakowski wystawił głowę z włazu i poczuł, jak ktoś łapie go za ramiona i unosi. Dwaj akowcy pośpieszyli na pomoc swojemu dowódcy, wyciągając go z kanału. Z dołu dobiegł ich mrożący krew w żyłach krzyk kaprała.

- Święta Panienko! - krzyknął rozpaczliwie.

Nowakowski razem z Wileńskim rzucili się ku włazowi. Widać było już głowę Adamczyka i prawą rękę wysuniętą na powierzchnię. Sierżant złapał za dłoń, porucznik za kurtkę mundurową i pociągnęli razem ku górze. Nagle rozległ się chrzęst i spazm wstrząsnął ciałem Adamczyka. Zaczął głośno wrzeszczeć z bólu oraz gwałtownie szamotać, jakby utknął we włazie. Nie można było go wydobyć z kanału. Wyglądało to tak, jakby coś na dole go trzymało mocno i teraz zaczęło ciągnąć ku sobie.

- Błagam, ratujcie! - wrzeszczał.

Do mocujących się z Adamczykiem żołnierzy dobiegł następny i złapał go za wolną rękę. Przez chwilę wszyscy trzej siłowali się, aż rozległ się kolejny chrzęst połączony z trzaskiem łamanych kości. Adamczyk szarpnął się mocno, z jego ust poleciał strumień ciemnej krwi prosto w twarz sierżanta, i nagle zwiotczał. Jednocześnie siła ciągnąca go do kanału znikła. Trzech powstańców poleciało na plecy wraz z tym, co pozostało z Adamczyka. Korpus kończył się na wysokości pasa poszarpanymi wnętrznościami i fragmentami kręgosłupa. Trup jeszcze mrugał i bezgłośnie otwierał usta...

Pierwszy poderwał się Wileński.

- Matko Święta, co mu się stało? - Przeżegnał się. - Gdzie są jego nogi? - wybełkotał w szoku.

Porucznik nic nie odpowiedział, tylko rzucił się z latarką do włazu. Zdążył zobaczyć jeszcze ciemny kształt znikający ze swoją zdobyczą w czeluściach kanału. Jego uwagę przykuła niezwykła sylwetka stwora. Wyglądał na jakiegoś gada, ale nie przypominał znanych porucznikowi krokodyli czy aligatorów. Ten zwierz był szczuplejszy i wyższy niż tamte gady. Ponadto na grzbiecie miał wystrzępiony grzebień. Wyglądał raczej jak te smoki z wysp Galapagos, które pokazywano mu na rycinach w czasie wykładów kulturoznawstwa na uniwersytecie. Zwierz był jednak większy i masywniejszy, niż tamte jaszczury na obrazkach.

Twarz porucznika zrobiła się blada.

- Co to, kurwa mać, było? - wyszeptał cicho bardziej do siebie niż do pozostałych żołnierzy. - Nowa niemiecka tajna broń?

16 sierpnia, południowe Śródmieście

W mroku kanałów toczyła się zażarta walka wręcz. Czteroosobowy oddział powstańców wpadł na trzech zwiadowców z dywizji pancerno-spadochronowej „Herman Göring”. W ciasnych korytarzach zwykle karabiny były nieprzydatne, dlatego żaden z walczących nawet nie sięgnął po nie. W ruch poszły pistolety, bagnety, saperki, noże, a w końcu również pięści.

Jeden z Polaków cięty bagnetem przez gardło złapał się za szyję i zwałił na plecy w płytkiej wodzie obok innego powstańca zastrzelonego na początku walki. Walczący z nim niemiecki spadochroniarz oparł się o ścianę kanału i próbował powstrzymać krwawienie z brzucha, gdzie dostał saperką. Dwaj inni przeciwnicy już dawno porzucili broń i spleceni w uścisku, okładali się nawzajem pięściami. Ogarnięci furją potoczyli się do wschodniej odnogi tunelu, gdzie wpadli do głębokiej, cuchnącej wody. Żaden już nie wypłynął.

Spadochroniarz przetarł oczy ze zmęczenia. Pozostali dwaj oddalali się od niego. W mroku kanałów widział tylko migające światła latarek. Nagle obok siebie usłyszał jakiś syk. Nadal opierając się plecami o ścianę, obrócił się z bagnetem przygotowanym do walki.

To, co zobaczył, spowodowało, że padł na kolana. Sycząca ciemność skoczyła na niego, spychając do płytkiej wody. Szczęki zacisnęły się na gardle Niemca, a szpony przednich łap zawadziły o ranę na brzuchu. Szarpnął się, chlapiąc dookoła wodą, i z furją wbił bagnet w grzbiet jaszczura. Na gadzie nie wywarło to większego wrażenia, poprawił tylko chwyt szczęk, a oczy rozjarzyły mu się na czerwono. Rozległ się krótki trzask zamykającej się gwałtownie paszczy i Niemiec znieruchomiał.

Nieświadomy tego dramatu, kapral Hoffe nadal walczył. Zatoczył w powietrzu łuk bagnetem i zablokował cięcie Polaka, a potem zrewanżował się zwodem i uderzeniem od góry. Powstaniec jednak przyjął uderzenie na swój nóż i podbił rękę Hoffego. Ostrze bagnetu zazgrzytało o strop niskiego korytarza. Spadochroniarz z półobrotu uderzył przeciwnika w twarz trzymaną w lewym ręku latarką. Rozległ się trzask i nos Polaka eksplodował krwią.

Latarka Hoffego przygasła, lecz po chwili rozjarzyła się ponownie, dając lekką czerwoną poświatę. Zdziwiony kapral spojrział na nią przelotnie. Szybka nie stukła się, ale była pokryta cienką warstwą krwi.

Walczący żołnierze odskoczyli na moment i zaczęli wokół siebie krążyć, brodząc w wodzie po kolana. Niemiec przyjrzał się przeciwnikowi uzbrojonemu podobnie jak on - w nóż i latarkę. Niewysoki żylasty brunet w skórzanej kurtce z opaską na prawym ramieniu. Początkowo spadochroniarz sądził, że na opasce są inicjały WP jak u wszystkich powstańców. Teraz jednak w nikłym świetle dostrzegł, napis AL. Zmrużył oczy.

- Pieprzony komunista - wysyczał przez zęby.

- Zastrany faszysta - zrewanżował się Polak w znośnym niemieckim.

Nadal krążyli wokół siebie, czujnie wypatrując oznak słabości u przeciwnika. Nagle Niemiec zatrzymał się. Zdawało mu się, że za plecami Polaka dostrzegł ruch i jakieś czerwone światełka. Przynajmniej wydawało mu się, że te światełka są czerwone, bo jego latarka nadal dawała purpurową poświatę.

Korzystając z tego, że spadochroniarz na niego nie patrzy, powstaniec rzucił się do przodu z nożem skierowanym w podbrzusze Niemca. W połowie skoku coś złapało go za prawy bark i porwało do tyłu w głąb tunelu. Obrócił głowę i spojrzał prosto w czerwone ślepią gada, który ciągnął go coraz dalej w głębszą wodę. Polak zawył w przerażeniu i zaczął się szarpać, bijąc stwora po pysku latarką. Jaszczur wciągnął go w wodę, która szybko zabarwiła się na czerwono.

Kapral Hoffe stał jak skamieniały, oglądając ten krwawy spektakl. Ocknął się, dopiero gdy potwór znikł z Polakiem pod wodą. Po chwili na powierzchni pokazały się bąbelki, widomy znak dramatu rozgrywającego się pod powierzchnią. Spadochroniarz obrócił się szybko na pięcie i pognał przed siebie, jakby goniło go całe piekło. Patrol niemieckiej żandarmerii złapał go dopiero dwie godziny później, gdy bez broni usiłował uciec z Warszawy.

16 sierpnia, Powązki

Rotmistrz Bolesław „Kostucha” Mierosławski krytycznym wzrokiem rozejrzał się po barykadzie. Kilka spalonych samochodów, jeden zrujnowany wagon tramwajowy, mnóstwo mebli i trochę gruzu z dwóch zniszczonych kamienic. Nic takiego, co mogłoby zatrzymać ciężki czołg. W przeciwieństwie do podkomendnych, nie żywił nadziei na wygranie walki z tygrysem czy panterą, a o takich czołgach meldował wywiad. Nie dopuszczał jednak do upadku morale powstańców. Major Wojnicki niemal błagał go na kolanach, aby utrzymał tę barykadę. Za wszelką cenę.

Rozejrzał się dookoła. Pięćdziesięcioro straceńców przeciwko niemieckiej nawale. Przed dowództwem rotmistrz nie ukrywał, jak bardzo był dumny ze swoich ludzi. Dwa tygodnie ciężkich walk, a oni nadal mieli w oczach tę samą pasję, z którą na początku Powstania ruszyli na znenawidzonego wroga. Żadnego wahania, żalu czy strachu. Wszyscy za to sprawnie wykonywali rozkazy bez słowa protestu. Niemalże jak rasowe wojsko.

Większość jego oddziału była umundurowana w niemieckie panterki z przejętego magazynu Waffen SS, oznaczone na ramionach biało-czerwonymi opaskami. Dawało to ludziom poczucie, że są pełnowartościowymi żołnierzami, stanowiącymi część prawdziwego wojska polskiego. Z tego powodu reszta starała się ubrać w ciuchy choć trochę przypominające mundury. Rotmistrz z żalem pomyślał, że niewielu z jego żołnierzy miało hełmy, o broni już nie wspominając.

Porozstawiał większość ludzi na barykadzie. Pozostali pochowali się w kamienicach po obu stronach barykady, aby mogli razić z góry atakujących Niemców. Dookoła krążyły młodziutkie sanitariuszki i harcerze. Wszystkie twarze wyrażały upór i determinację. Póki trwali, tu była wolna Polska.

- Przygotować się. Nadchodzą - rozległ się nad ulicą krzyk porucznika Tomaszewskiego.

Choć rotmistrz nie chciał się do tego przyznać, wojna była jego żywiołem, a pole walki domem. Bitewny harmider traktował jak koncert smyczkowy, w którym ze znanostwem identyfikował nowe nuty.

Zmarszczył czoło. Zza rogu kamienicy słychać było już przeciągły zgrzyt i jęk metalu trącego o metal. Wyglądało na to, że Niemcy rzucają tu jednak sprzęt pancerny. I to w dodatku na jego barykadę. Co za pech.

Przyłożył rękę do brukowanej ulicy, na której, jak podejrzewał, pewnie zaraz przyjdzie mu polegnąć. Nie wyczuł jednak wielkich drgań czy wstrząsów. Westchnął z wyraźną ulgą. Tym razem to nie będzie ciężki czołg. Jest szansa.

- Na pozycje! Butelki z benzyną pod tamtą bramę. Jurczyk, ofiaro, chowaj głowę - z zimną krwią wydawał polecenia. - Gdzie są pancerfausty?

Zanim ktoś mu odpowiedział, stalowy potwór wynurzył się zza budynków i z ogłuszającym rykiem silnika ruszył w stronę barykady. Z pewnym zdziwieniem rotmistrz zauważył, że ich przeciwnikiem nie jest czołg, ale działo samobieżne Sturmhaubitze 42. Zanim jednak zdążył sobie pogratulować, za działem samobieżnym pojawił się drugi pojazd. Tym razem to był czołg.

- Panzer III. Wczesna wersja, słaby pancierz, mały kaliber głównego działa - natychmiast ocenił okiem fachowca.

Po bokach Stuh42 biegła niemiecka piechota. Żołnierze uważnie rozglądali się na boki. Byli co najmniej w sile plutonu, choć w większości zostali wyposażeni w zwykłe karabiny piechoty, a nie broń maszynową. Najwyraźniej byli nowi i nie mieli jeszcze zbyt dużego doświadczenia bojowego.

Przyglądając się przeciwnikom, rotmistrz uznał, że Niemcy nie mają konkretnego planu natarcia, oczywiście poza tradycyjnym „naprzód”. Najwyraźniej byli ufni w siłę sprzętu pancernego oraz przewagę w sile ognia nad tradycyjnie niedozbrojonymi powstańcami. I tu mieli się srodze zawieść...

Porykując silnikiem, kierowca czołgu zawzięcie próbował wyminąć działo samobieżne, aby mieć czyste pole do ostrzału, jednak Stuh42 uparcie trzymał się środka jezdni, blokując drogę. Kierowca Pzkw III bał się bardziej manewrować w obawie przed rozjechaniem któregoś z piechurów. Widać było, że załogi pojazdów nie mają doświadczenia w walce w mieście.

Padła głośna komenda, po której żołnierze zaczęli w biegu ostrzał polskich umocnień z broni ręcznej. Do ognia piechoty przyłączył się czołg, ale z powodu zasłoniętego celu

ograniczył się jedynie do ostrzelania kamienicy na lewo od polskich umocnień. Odpowiedział im sporadyczny powstańczy ogień z barykady i z okien sąsiednich kamienic. Dwóch Niemców padło, reszta rozbiegła się, szukając osłony przy ścianach i pojazdach pancernych.

Straty zaczęły się pojawiać również po polskiej stronie. Jeden z powstańców, trafiony w prawy bark, osunął się z barykady. Inny złapał się za zranioną twarz. Niemal natychmiast sanitariuszki zaczęły ściągać ich z barykady mimo intensywnego ostrzału. Miejsce rannych zajęli następni.

Działo samobieżne nagle zatrzymało się kilkadziesiąt metrów od barykady. Piechota niemiecka wyrwała do przodu z wrzaskiem. Rotmistrz błyskawicznie ocenił sytuację.

- Na boki! - wrzasnął, przekrzykując warkot silników. - Zaraz będzie walił w środek barykady...

Jakby na potwierdzenie jego słów, armata Stuh42 ryknęła. Pocisk z przeciągłym świstem trafił w środek barykady... po czym przez nią przeleciał i eksplodował kilkadziesiąt metrów dalej na ścianie domu. Rotmistrz nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Pocisk przestrzelił barykadę, idealnie trafiając w pustą przestrzeń barykady zasłoniętą blatem dużego stołu. Niemiecka piechota zwolniła zaskoczona. Z okna kamienicy po prawej stronie barykady odezwał się powstańczy karabin maszynowy. Ktoś równymi, oszczędnymi seriami kosił zaskoczonych Niemców.

Kiełc czuwa, pomyślał rotmistrz z uznaniem, widząc kolejnych dwóch Niemców padających w drgawkach na zakrwawiony bruk. Szybko jednak karabin przerwał ostrzał. Chwilę później w okno snajpera trafił pocisk z działa czołgu. Odłamki szkła i gruzu zasypały wszystkich walczących na dole. Rotmistrz wychylił się znad barykady i posłał serię z błyskawicy prosto w kierunku nadbiegającego niemieckiego sierżanta, który trafiony kilkoma pociskami, padł zakrwawiony na ulicę. W tym momencie Stuh42 wystrzelił kolejny pocisk, który tym razem trafił w barykadę.

Potężna eksplozja wstrząsnęła polską pozycją. Kostucha przewrócił się pod wpływem podmuchu eksplozji. Odłamki zadzwięczały na jego hełmie. Rozejrzał się dookoła błędnym wzrokiem, ale widok przysłaniała z wolna opadająca chmura szarego pyłu. Uszy świdrowała dziwna cisza. Gdy rotmistrzowi wrócił słuch, dotarły do niego rozbrzmiewające dookoła krzyki rannych wołających o pomoc. Wokół Kostuchy leżało też kilku zabitych powstańców. Do oficera podbiegł sierżant Kruszycki.

- Jezu, panie rotmistrzu. Nic panu nie jest? Jak przywaliło...

Kostucha obmacał się pobieżnie i z zaskoczeniem nie znalazł żadnej dodatkowej dziury w swoim ciele. Otrzepał kurtkę mundurową z pyłu i całkiem poważnie oznajmił sierżantowi, że jest nieśmiertelny. Obaj rzucili się na uszkodzoną barykadę.

Niemiecka piechota z nowym animuszem ruszyła do przodu. Jednocześnie Stuh42 z rykiem silnika zaczął pędzić w ich stronę. Po drodze pojazd przetoczył się z klekotem po leżącym na ulicy rannym żołnierzu. Niemiec zdążył tylko potężnie wrzasnąć, wyrzucając przed siebie ręce w błagalnym geście, zanim znikł pod gaśnicą. Bruk zrobił się czerwony. Kierowca Stuh42 nawet tego nie zauważył.

- Idiota. Myśli, że staranuje barykadę - parsknął sierżant, trafiając niemieckiego szeregowca prosto w brzuch.

Ranny Niemiec zwałił się na ziemię i zaczął głośno wyc, jednak koledzy minęli go bez słowa, nadal biegnąc do ataku. Posłali za to kilka niecelnych serii w kierunku Kostuchy. Słyszając gwizdzące dookoła pociski, rotmistrz wraz z sierżantem schował się za nieuszkodzoną częścią barykady.

Działo samobieżne wyprzedziło piechotę i z hukiem uderzyło w przeszkodę w miejscu, gdzie wcześniej trafił pocisk. Zazgrzytały gaśnice po bruku. Barykada zadrzała i zaczęła się rozpadać.

- Dawać butelki z benzyną! - przebił się ponad harmider ryk porucznika Tomaszewskiego, który jak zawsze trzymał nerwy na wodzy.

Do barykady podbiegło dwóch harcerzy trzymających w rękach palące się butelki. Porucznik posłał serię w niemieckiego kaprała, który usiłował powstrzymać Polaków przed podpaleniem pojazdu. Głowa Niemca trafiona dwoma pociskami eksplodowała, a jego ciało zsunęło się po rumowisku powstańczej fortalicji. Improvizowane pociski zatoczyły szeroki łuk nad barykadą i trafiły w działo szturmowe. Jedna butelka rozbiła się nieszkodliwie na błotniku, natomiast druga trafiła idealnie w wyloty silnika z tyłu pojazdu. Na ciemnym panczeru pojawiły się najpierw pojedyncze języki ognia, po czym pożar zaczął się błyskawicznie rozprzestrzeniać. Kierowca zauważył już nowe zagrożenie i rozpaczliwie próbował wycofać działo z bitwy. Silnik zawył na wysokich obrotach, ale Stuh42 najwyraźniej utknął w barykadzie na dobre. Czarny dym zaczął coraz bardziej zasnuwać pole walki.

- Naprzód! - krzyknął rotmistrz, pobudzając swoich żołnierzy do działania. - Bić hitlerowców.

Powstańcy z krzykiem uderzyli na Niemców wdzierających się na barykadę. W kierunku atakujących poleciały całe serie z karabinów, pojedyncze strzały czy nawet kamienie i puste butelki. Gdzieś dobiegło już do walki wręcz. Porucznik Tomaszewski złapał za gardło niemieckiego szeregowca. Żołnierz zrewanżował mu się tym samym. Przez chwilę mocowali się ze sobą bez efektu. Do walczących podbiegła młoda dziewczyna i zaczęła okładać Niemca kijem. Przebiegający obok niemiecki sierżant w podnieceniu ściął całą trójkę serią ze szmajsera i sam natychmiast padł trafiony w brzuch rzuconym przez sierżanta Kruszyckiego bagnetem. Załoga niemieckiego czołgu, nie mogąc pomóc piechocie, ograniczała się do puszczenia serii z karabinów nad głowami walczących.

Obie strony ogarniało coraz większe szaleństwo. Ludzie zaczęli przemieniać się w dzikie bestie, których jedynym celem egzystencji było rozszarpanie przeciwnika choćby gołymi rękami.

Jeden z Niemców, młodzieńcy rudzielec niemający jeszcze osiemnastu lat, nie wytrzymał nerwowo i zaczął uciekać. Jakby spod ziemi na jego drodze pojawił się kapitan, który wymachiwał pistoletem i groził śmiercią wszystkim tchórzom i dezerterom. Rudzielec zatrzymał się, niepewny co ma zrobić. Jego problem bardzo szybko sam się rozwiązał. Pojawienie się tak kuszącego celu jak oficer nie uszło uwadze Polaków. W stronę kapitana poleciały puste butelki i cegły, z których jedna trafiła go prosto w twarz. Nos Niemca eksplodował krwią, a on sam osunął się na bruk nieprzytomny. Rudy natychmiast zareagował. Przeskoczył ponad ciałem kapitana i pognął przed siebie, porzucając broń. Nie ubiegł nawet dziesięciu kroków, gdy trafiła go seria z karabinu czołgu. Umierający żołnierz nawet nie wiedział, czy śmiertelne strzały były przypadkowe, czy też pancerny strzelec chciał go ukarać.

Do ранego kapitana dobiegł łysy sierżant i zaczął wynosić dowódcę spod ostrzału. Widząc to, reszta Niemców zaczęła odwrót. Bitwa zbliżała się ku końcowi.

Jakby podkreślając niemiecką porażkę, z wnętrza Stuh42 buchnął ogromny kłęb dymu. Właz pojazdu otworzył się z hukiem, a ze środka wy dostał się jeden z czołgistów. Jego kombinezon palił się jasnym płomieniem. Kierowca Stuh42 z krzykiem zeskoczył na ulicę i zaczął się turlać po ziemi. W otwartym włazie pojawiła się jeszcze czyjaś głowa, ale po chwili

znikła w środku. Wrzask płonących ludzi zagłuszyła na krótko seria z karabinu maszynowego czołgu.

- Nie strzelać! - wrzasnął rotmistrz na powstańca, który mierzył do płonącego Niemca. - Oszczędzaj amunicję. A ten skurwiel niech się pali!

Niemiecki oddział, korzystając z osłony ostatniego pojazdu pancernego, powoli wycofywał się za róg ulicy. Karabiny czołgu skutecznie przygważdżały powstańców, uniemożliwiając pościg. Szeregowy Janik, krzycząc coś niezrozumiale, wskoczył na barykadę i wymierzył do uciekających żołnierzy. Nie zdążył nawet nacisnąć na spust, gdy trzy pociski z niemieckiego karabinu zrzuciły go z barykady w fontannie krwi. Rotmistrz zgryzł wargi ze złości. Wyglądało na pat.

Nagle na balkonie na prawo od barykady pojawił się kapral Kiełc. Wyprostowany jak struna spokojnie wycelowwał w czołg ze zdobycznego pancerfausta. Obok niego przemknęła seria, ale na kapralu nie wywarło to wrażenia. Nacisnął spust. Pancerna pięść z rykiem pognęła w stronę wrogiego pojazdu, zostawiając za sobą niewielką smugę dymu. Pancerfaust trafił czołg tuż pod wieżę i eksplodował z hukiem. Pojazd natychmiast znieruchomiał, a ze szczelin zaczął wydobywać się dym. Rotmistrz przyglądał się temu z fascynacją.

- Ech, mieć więcej takich zabawek... - rozmarzył się.

Nagle czołg znikł w kuli ognia i odłamków. Eksplodująca amunicja rozerwała go na strzępy. Walka ustawała. Dookoła było słychać już tylko pojedyncze strzały.

- Nie marnuj amunicji - raczej z przyzwyczajenia niż rzeczywistej potrzeby warknął rotmistrz na młodego akowca w niemieckiej panterce, który zawzięcie do kogoś strzelał.

Powoli zszedł z barykady. Czuł się bardzo zmęczony, ale i podniesiony na duchu zwycięstwem. Spojrzał do góry. Na balkonie stał Kiełc, trzymając w ręku dymiącą rurę pancerfausta. Twarz kaprała nadal wyrażała czujność. Niczym jastrzęb obserwował teren w poszukiwaniu kolejnego zagrożenia. Rotmistrz zatrzymał się i przekazał mu kciukiem znak zwycięstwa. Kapral bez słowa odwrócił się i znikł we wnętrzu kamienicy.

- Panie rotmistrzu - do Kostuchy podbiegła młoda łączniczka - jest rozkaz od majora Wojnickiego. Niemcy przebili się dwie ulice stąd i niedługo tu będą. Mamy się natychmiast wycofać na Starówkę.

Rotmistrz rozejrzał się błędnym wzrokiem po płonącej barykadzie, zwłokach leżących na ulicy i rannych siedzących pod ścianą kamienicy. Właśnie odniósł krwawe zwycięstwo, lecz wygląda na to, że wszystko na nic. Na ulicy coraz głośniejszy dawał się słyszeć jęk rannych. Jakaś dziewczyna klęczała przy zwłokach młodego akowca i trzymając jego zakrwawioną głowę, ryczała głośno. Wśród leżących zwłok, polskich i niemieckich, chodził ksiądz Wojciech, kapelan kompanii, i odmawiał modlitwy. Kostucha zaklął szpetnie i zaczął wydawać rozkazy o ewakuacji oddziału. Właśnie znikła ostatnia przeszkoda przed generalnym atakiem Niemców na Stare Miasto.

Noc z 16 na 17 sierpnia, południowe Śródmieście

Ciemności kanału rozświetlały słabe promienie latarek. Ich czterej właściciele tkwili po pas w mętnej, brudnej wodzie i kłócili się zawzięcie.

- Mówię wam, zgubiliśmy się. - Młody blondyn w mundurze szeregowca Luftwaffe szcząkał z zimna zębami. - Nigdy stąd nie wyjdziemy i to wszystko twoja wina, idioto.

Olbrzymi Niemiec w bluzie roboczej mechanika Luftwaffe z dystynkcjami kaprała poprawił szmajsera na ramieniu i splunął.

- Może trzeba było zostać na górze z Polaczkami, Kurt? Na pewno by się ucieszyli z możliwości pogadania z nami, zwłaszcza jak znaleźliby trupy tych dwóch zgwałconych kobiet. - Wykrzywił się z obrzydzeniem i nienawiścią. - Pieprzeni podniebni rycerze Göringa! Po prostu nie mogliście się powstrzymać, żeby nie zamoczyć waszych małych kusiek, co? - Znów splunął ze złością. - Banda zasranych gwałcicieli...

Między kłócących się wszedł starszy sierżant Gross, również z Luftwaffe.

- Zamknąć ryje, obaj - warknął głośno. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie mogliśmy zostać w tamtej kamienicy, a inaczej niż kanałami nie przejdziemy polskich pozycji. Zastanówmy się raczej, jak wyjść z tego gówna.

Niebiorący udziału w kłótni starszy szeregowy Lutz oświetlił latarką rozwidlenie kanału.

- Wydaje się, że nasi byli gdzieś na południe od naszej pozycji. - Wskazał ręką lewą odnogę kanału. - Powinniśmy więc iść tędy.

- A ciebie, przygłupie, kto zrobił przewodnikiem? - Mechanik nie krył pogardy. - Powinniśmy wyjść spoza rejonu walk, a to oznacza, że idziemy w prawo na zachód.

Sierżant bez ostrzeżenia uderzył mechanika w podbródek.

- Jürgen, jeszcze słówko, a sam cię pokroję bagnetem jak wczoraj tę polską dziwkę. Przysięgam na Führera, że to zrobię... - Zamilkł nagle.

Z oddali dobiegł ich jakiś plusk i chrobot.

- Słyszeliście? - Głos Kurta odbijał się od ścian kanału. - Idą po nas.

Sierżant uciął wszelką dyskusję.

- Idziemy w lewo - rzucił ostro i pchnął Lutza przed siebie.

Lewa odnoga po kilku metrach rozszerzała się na tyle, że mogli iść już swobodnie dwójkami, ale woda zaczęła im sięgać po pierś.

Pochód grupy zamykał Kurt, który co chwila panicznie oglądał się za siebie. Nagle potknął się i padł jak długi do cuchnącej wody. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wystrzelił wysoko nad powierzchnię i z przeraźliwym rykiem z powrotem runął do wody, jakby jakaś siła ciągnęła go do tyłu. Na powierzchnię wypłynęły bąble oraz coś, co wyglądało jak krew. Sierżant Gross zawrócił i zaczął rękami przeszukiwać wodę.

- Kurt, gdzie jesteś? - wrzasnął w przerażeniu.

Tuż przed nim wynurzył się jakiś kształt. W bladym świetle latarki niewiele dało się dostrzec. Nie był to jednak Kurt, ale coś, co przypominało łeb gada. Ślepia jarzyły się nieziemskim, czerwonym blaskiem.

- Krokodyl! - zadudnił w kanale krzyk sierżanta.

Gad na dźwięk ludzkiego głosu sprężył się i rzucił do przodu. Szczęki błyskawicznie zacisnęły się na głowie Grossa i zamknęły z suchym trzaskiem. Pozostali dwaj Niemcy zawyli ze zgrozy. Nie oglądając się za siebie, Jürgen skoczył ku ciemnościom tunelu. Lutz sparaliżowało przerażenie. Nie był w stanie zrobić kroku. Dopiero trzask łamanego kręgosłupa rozszarpywanego na strzępy Grossa pobudził go do działania, wyzwalaając z kleszczy obezwładniającego strachu.

Trzęsącymi się rękoma zdjął z ramienia pistolet maszynowy i wypuścił chaotyczną serię w kierunku potwora. Pociski w większości utkwily w martwym ciele sierżanta, jedynie dwa nieszkodliwie zraniły jaszczura, rozdrażniając go tylko. Nadal miażdżąc w zębach strzępy korpusu Grossa, jaszczur wygiął się mocno w bok. Szeregowy Lutz zdążył zobaczyć jeszcze długi i wąski ogon gada, który uderzył w niego z ogromną siłą, miażdżąc czaszkę.

Nieświadomy dramatu swoich przypadkowych kompanów, Jürgen zawzięcie brodził w mętnej i cuchnącej wodzie. Na przemian modląc się i klnąc, wyczerpał wszystkie siły, aby jak najszybciej wyjść z tego przeklętego miejsca. Dopiero po chwili uświadomił sobie

z przerażeniem, że odgłosy walki ucichły. Spanikowany obejrzał się za siebie, rozchlapując dookoła wodę. W nikłym świetle latarki niewiele mógł dojrzeć. Wydawało mu się tylko, że słyszy zbliżający się w jego kierunku plusk. Zmusił się do szybszego brodzenia w ścieku. Odgłosy chlupania nasilały się.

Jürgen, bliski paniki, rozejrzał się w poszukiwaniu ratunku przed ścigającym go koszmarem. Kilka metrów na prawo dostrzegł wystającą ze ściany na wysokości metra rurę odpływową. Błyskawicznie podjął decyzję. Trzęsącymi się rękoma łapał za krawędź rury i podciągnął się do góry. Zaskakująco szybko jak na swoją masę wślizgnął się do środka i zaczął pełzać. Dopiero po kilku metrach zawahał się, czy aby nie pcha się w pułapkę bez wyjścia. Ze strachem oświetlił przewód przed sobą i westchnął z ulgą. Wyglądało na to, że odpływ po kilku metrach łączy się z innym korytarzem. Z tyłu dobiegło go skrobanie i syczenie. Z trudem wykręcił się na bok i oświetlił wylot. W blasku latarki zobaczył tępy gadzi łeb i płonące na czerwono wściekłe oczy. Stwór, czymkolwiek był, nie był w stanie wcisnąć się do rury. Otwór był zbyt wąski i gad w furii drapał krawędzie. Sierżant zamarł z przerażenia. Bestia jeszcze raz przejechała z przeraźliwym zgrzytem pazurami po krawędzi otworu, rzuciła nienawistne spojrzenie i odeszła.

Jürgen skulił się i zaczął cicho kwilić. I w tej pozycji znalazł go godzinę później siedmioosobowy oddział Wehrmachtu uciekający kanałami na Mokotów.

17 sierpnia, Okęcie

Do gabinetu cicho wszedł SS-Hauptscharführer Karl Wolf, zatrzymał się przed biurkiem i zamarł w pozycji na baczność.

- Słucham, Wolf. - SS-Standartenführer Ernest Haydrich podniósł się na moment znad sterty dokumentów opisujących sytuację strategiczną w Warszawie.

Sierżant chrząknął.

- Kolejny meldunek o ataku w kanałach, herr Standartenführer.

Oficer SS westchnął głośno i odchylił się do tyłu na krześle. Energicznym ruchem zdjął z nosa okulary i zaczął się nimi bawić. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że była to oznaka wielkiej irytacji, szczególnie groźnej dla podkomendnych pułkownika.

- I co z tego, sierzancie? Jakbyście nie zauważyli, mamy tu masową rewoltę przeciwko Rzeszy i całe sterty takich meldunków. - Podniósł jedną z kartek i pomachał nią znacząco. - Właśnie powiadomiono nas o utracie łączności z naszym głównym gniazdem oporu w Śródmieściu w budynku Centrali Telefonicznej. Jest wielce prawdopodobne, że straciliśmy ten budynek, a naszych żołnierzy wybito do nogi. - Rzucił kartkę z powrotem na stos dokumentów i zaplótł ręce na piersi. - Sądzicie, że jakaś mała sieczka w warszawskiej kanalizacji jest w stanie przebić tę wiadomość? Dobrze wiem, że Polacy jak szczury kryją się w kanałach i trzeba będzie stracić wiele dobrej niemieckiej krwi, żeby ich stamtąd wykurzyć. Spodziewaliśmy się przecież takiej taktyki po tych podludziach, więc mi teraz z tego powodu nie jęczcie. Przekażcie to do komendantury polowej...

Sierżant lekko pobladł, ale nie ruszył się nawet o krok.

- Tu nie chodzi o Polaków. Mamy meldunek kaprała z Luftwaffe o krokodylu, który zaatakował i zabił w systemie ściekowym trzech innych żołnierzy Luftwaffe. - Sierżant położył raport na biurku. - Ponadto od trzech dni otrzymujemy informacje z rejonu Śródmieścia i Powiśla o pojawieniu się jakiegoś gada w kanałach... - Na biurko powędrowały kolejne kartki.

Standartenführer założył ponownie okulary i przejrzał papiery.

- No to co? - Machnął prowokacyjnie meldunkiem z pułku SS Dirlewangera. - Widocznie w czasie rebelii krokodyle uciekły z warszawskiego zoo i schroniły się w kanałach.

Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. A już na pewno nie jest to nic, czym mogłoby zająć się SS czy Wehrmacht. Zbierzcie to w całość jako raport i dajcie ad acta jako ciekawostkę wojenną. I nie marnujcie więcej mojego czasu głupotami.

Z zimną wściekłością Standartenführer niemal rzucił sierżantowi w twarz meldunki, po czym wrócił do studiowania sytuacji w mieście.

- Tak, upadek centrali telefonicznej to poważna klęska. W Berlinie znowu będą się pieklić. - Myślni wrócił do rozmowy z generałem Bachem, która zakończyła się zaledwie przed godziną.

Prawdę powiedziawszy, Haydrich denerwował się tym faktem wyłącznie na pokaz. Standartenführer miał bowiem pewien problem emocjonalny.

Mimo dwunastu lat spędzonych w SS, nie był w stanie wywołać u siebie poczucia nienawiści z przyczyn rasowych. Jak każdy człowiek szybkich i niezbyt legalnych interesów, niechęć i pogardę żywił wyłącznie w stosunku do ludzi biednych i uczciwych, bez względu na ich narodowość, rasę czy wyznanie. Zresztą do SS też wstąpił tylko z przyczyn czysto finansowych. Stanowisko, które dzięki temu zajmował, dawało mu właściwie nieograniczone możliwości robienia interesów wszędzie i z każdym. Jego lojalność wobec SS była odwrotnie proporcjonalna do otrzymywanej łapówki. Za odpowiednią ilość gotówki, kruszcu czy kamieni szlachetnych mógłby uciekającym Żydom z getta czy obozu załatwić pociąg pancerny z salonką, niemiecką obsługą i wolną drogą do samej Szwajcarii.

Kiedy drzwi zamknęły się za sierżantem, pułkownik spojrzał na mapę sytuacyjną Warszawy i uśmiechnął się do swoich myśli.

Nawet w tak trudnej sytuacji jak teraz, kiedy rebelia przecięła kontakty handlowe w Warszawie, był w stanie wyjść na swoje. Liczyły się szybkość i zdecydowanie. Naprędce zorganizował własną grupę bojową SS złożoną z największych ludzkich mend, jakie nosiły mundur SS w Warszawie, i nazwał ich szumnie „oddziałem szturmowym Haydrich”. Jego ludzie zajmowali się wyłącznie dokonywaniem rabunków na terenach, które zajęły już inne oddziały. Przez moment mocną konkurencję w rozbojach robił mu Kamiński, ale Haydrich zdołał przekonać generała Bacha do usunięcia Rosjanina.

Tak naprawdę to właśnie SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski i jego ostatni mały żarcik byli prawdziwą przyczyną złego nastroju Ernesta Haydricha. Tydzień temu

von dem Bach mianował go oficerem łącznikowym Korpsgruppe von dem Bach z dowództwem Wehrmachtu. Od tej pory pułkownik codziennie o siódmej rano musiał odbierać telefon od niewąsko wkurwionego generała Guderiana z kwatery głównej i wysłuchiwać jego marudzenia.

- Gdzie zaopatrzenie dla 9 armii? Oczyściliście już trasy kolejowe w Warszawie? Co wy tam, bando leniwych durni, tak się guzdrzecie z tą rebelią?

Haydrich zdawał sobie sprawę z tego, że po zamachu na Führera w zeszłym miesiącu, generał Guderian stał się pupilkiem Hitlera. Powoli jednak zaczynał mieć dość tej wielkopruskiej arogancji. W czasie ostatniej rozmowy z generałem, po serii kolejnych wyzwisk, które usłyszał pod swoim adresem i SS, omal nie powiedział temu pruskiemu oficerkowi, że może go pocałować w jego saksońską dupę. W ostatniej chwili ugryzł się w język i w bezsilnej złości wysłuchiwał kolejnej tyrady na temat nieumiejętności radzenia sobie przez SS z polską rebelią. Sprawa krokodyli w kanałach, na tle kłopotów z Guderianem, była tak mało znacząca, że od razu po wyjściu sierżanta Wolfa o niej zapomniał.

Nie wiedział, że jeszcze przed końcem dnia będzie z furią przekopywał góry papierów w poszukiwaniu zleconego właśnie raportu. I to z powodu jednego, bardzo enigmatycznego telefonu z Berlina.

17 sierpnia, Wola

Erik Braun po raz kolejny znacząco pociągnął nosem. Niesamowity smród rozkładających się nieopodal zwłok doprowadzał go do szału. Nie rozumiał sadomasochistycznej decyzji sierżanta Krugera, by obozować obok miejsca egzekucji polskich cywilów.

A może to nie sadyzm, tylko stary po prostu stracił węch i mu to nie przeszkadzało? Taka myśl od czasu do czasu przemykała przez głowę samotnego wartownika. Ze złością puknął się jednak w czoło. Już pomijając ten upiorny zapach, w ogóle pomyśl, by obozować w takim miejscu, uznawał za chore. Od samego widoku rozkładających się w upale sierpniowego słońca ciał robiło mu się niedobrze. Poprawił hełm i zrobił kilka kroków po zasnutej dymami ulicy. Nad Wolą powoli zaczynał się zmierzch, ale esesman z niecierpliwością czekał na noc. Chciał, aby całun mroku w końcu zakrył przed jego oczami tę przerażającą górę zwłok.

Wymruczał pod nosem przekleństwo i spróbował skoncentrować się na obowiązkach wartownika. Poprawił karabin na ramieniu. Pomogło mu to przez moment zająć się czymś innym niż ten obrzydliwy mdły zapach. Starał się przekonać sam siebie, że jest żołnierzem Führera na służbie i nie może ulegać słabościom, a już zwłaszcza wobec tych słowiańskich podludzi. Nagle kichnął potężnie i odruchowo wciągnął cuchnące powietrze. Mimo woli zachłysnął się i z najwyższym trudem powstrzymał odruch wymiotny.

- Jezu - z przyzwyczajenia wyrwało mu się z ust.

Spłoszony rozejrzał się dookoła. Na szczęście na ulicy nie było nikogo, kto mógłby usłużyć donieść przełożonym szeregowego Brauna o jego nagłym nawrocie pobożności. Podejrzliwie spojrzął na drzwi małego domku, w którym kwaterowała reszta oddziału. Dziś cała kompania świętowała zdobycie Woli i nikt nie zwracał uwagi na samotnego wartownika. W takich chwilach Erik pogrążał się w rozmyślaniach nad tym, co słyhać w jego rodzinnej Szwabii. Ojciec pewnie jak co wieczór zbiera krowy z pastwiska, a Mutti przygotowuje wyborną kolację, czyli kapustę ze skwarkami. Oparł się o ścianę i rozmarzył się na moment. Ech, dużo by dał za kęs matczynej kapusty. Przejadło mu się już to wojskowe żarcie.

Jego rozmyślenia przerwał jakiś szelest. Poderwał się do działania i rozejrzał uważnie dookoła. Nawet nie zauważył, kiedy na dworze zaczęła się szarówka. Ze zdumieniem

stwierdził, że jakieś dwadzieścia metrów od niego ktoś szedł wymarłą ulicą. Właściwie to nie tyle szedł, co powłóczył nogami.

Erik zmrużył oczy. Postać była jeszcze daleko, ale poznał, że miała na sobie mundur niemieckiego oficera. Wartownik na wszelki wypadek zdjął karabin z ramienia.

- Stój, kto idzie! - Przyłożył chłodną kolbę mauzera do policzka, celując w nadchodzącą postać.

Swój czy nie, regulamin wyraźnie wskazywał, jak należy się zachować w takiej sytuacji. Oficer najwyraźniej usłyszał go, bo na chwilę przystanął, po czym, mocno kulejąc, zaczął iść w jego kierunku.

- Zidentyfikuj się. Albo... - Zawiesił głos. Cholera, że też właśnie teraz musiał zapomnieć, co w takiej sytuacji nakazywał regulamin. Zgryzł wargi. - Stój, bo strzelam - jakoś wybrnął z krępującej sytuacji.

Oficer nadal się nie odzywał. Zamiast tego zaczął coraz wolniej iść w kierunku wartownika. Był jednak już na tyle blisko, że esesman mógł zauważyć owinięty wokół szyi zakrwawiony bandaż. Mundur nieznanego oficera był w tak opłakanym stanie, że z najwyższym trudem rozpoznał stopień. Płaszcz porucznika pokrywał biały pył, ponadto cały był poszarpany i zakrwawiony. Wyglądało to tak, jakby oficer dopiero co wyczołgał się spod budynku, który się na niego z hukiem zawalił.

Porucznik zatrzymał się i z cichym jękiem przewrócił na bruk. Z całą pewnością musiał być ciężko ranny, ale z powodu szarówki Erik nie dojrzał, co mu się właściwie stało. Najwyraźniej nie mógł już sam wstać, jedynie lekko unióśł się na klęczkach i wysunął błagalnie rękę w kierunku wartownika.

Szeregowiec rozejrzał się niezdecydowany. Regulamin nakazywał w takiej sytuacji powiadomić dowódcę oddziału przed zejściem z posterunku, ale przecież kilka kroków od niego umierał niemiecki oficer. Cóż z tego, że z innej formacji niż SS. Poza tym sierżant twierdził, że Polaków ostatecznie wyparto z tej dzielnicy. Od ich najbliższej pozycji dzieliło Brauna kilka niemieckich kompanii piechoty SS. Sprawę przeważała jednak świadomość, że wszyscy członkowie jego oddziału najpewniej leżą teraz pijani w sztok. Został sam na sam z umierającym. Szybko podbiegł do rannego, jednocześnie rozglądając się dookoła. Nie zauważywszy niczego podejrzanego, nachylił się nad oficerem.

- Panie poruczniku? Czy wszystko w porządku? - Delikatnie trącił go w ramię.

Ranny wymruczał coś w odpowiedzi i zakasłał krwią. Jego ręka zacisnęła się na ramieniu Erika, który też odruchowo złapał go za ramię i próbował postawić na nogi. Przez chwilę szarpał się z omdlewającym oficerem, jednocześnie usiłując nie wybić mu oka lufą karabinu przewieszzonego przez ramię. W chwili, gdy podniósł porucznika, przez sekundę spoglądał mu prosto w oczy. Jego twarz była umazana kurzem i krwią, ale oczy patrzyły całkiem przytomnie i przenikliwie. To ostre spojrzenie wyraźnie kontrastowało z wyglądem zewnętrznym. Zanim esesman zrozumiał, co się dzieje, poczuł rozdzierający ból w klatce piersiowej. Zaskoczony spojrzął w dół. W jego mostku sterczał wbity do połowy nóż myśliwski. Przerażony spojrzął na oficera, który jedną ręką trzymał go za bark, a drugą nadal wbijał nóż. Jego wzrok był przerażający, pełen zimnej nienawiści i pogardy. Esesman próbował coś powiedzieć, ale ból w klatce był zbyt duży. Z jego gardła wydobyło się ciche rzężenie, po czym zawisł martwy w ramionach zabójcy.

Kapral Kiełc ostrożnie położył ciało niemieckiego wartownika i rozejrzał się czujnie dookoła. Wyglądało na to, że nie było żadnych kłopotliwych świadków. Cicho zagwizdał w kierunku kamienicy, z której wyszedł. Z cienia poderwały się cztery sylwetki w niemieckich mundurach bez jakichkolwiek oznaczeń przynależności do polskich sił zbrojnych. Dla nieuwważnego obserwatora była to kolejna grupa niemieckich maruderów, których było pełno w podbitych dzielnicach Warszawy.

Takie rażące naruszenie zasad prowadzenia wojny odbyło się na wyraźne żądanie Kiełca ku pełnej dezaprobachie jego przełożonych i podwładnych. Kapral jednak twardo dał do zrozumienia wahającym się żołnierzom, co myśli o honorze i etyce walki, gdy ma się do czynienia z Niemcami. Oficerom wyjaśnił swój punkt widzenia jeszcze dosadniej.

Dwóch szeregowców złapało trupa Niemca i wciągnęło go na chodnik. Kiełc rozpiął płaszcz oficerski, który wczoraj zdjął ze zwłok jakiegoś pechowego niemieckiego porucznika, i wolno zaczął rozwijać okalający jego szyję bandaż ze sztuczną krwią. Jak zawsze kamuflaż okazał się zadziwiająco skuteczny. Wolnym krokiem podszedł do budynku, którego pilnował wartownik.

Już kilka kroków przed kamienicą w nozdrza uderzył go upiorny odór. Mimo że był żołnierzem w trzecim pokoleniu, to, co zobaczył za budynkiem, wstrząsnęło nim do głębi. Ujrzał bowiem górę ludzkich zwłok wysoką na dwa metry i długą na jakieś dziesięć.

Przynajmniej Kiełcowi się zdawało, że ta makabryczna góra ma tyle metrów długości, bo w zapadającym mroku nie widział tego dokładnie. Na przymie leżały zwłoki bestialsko pomordowanych mieszkańców Woli. Kobiety dzieci, starcy. Cywile, którzy nie brali udziału w walce, ale i tak zostali zabici przez hitlerowców z zemsty. Kiełc zdjął z głowy czapkę niemieckiego oficera i przetał spocone czoło.

- Jasna cholera. - Wierny tradycjom Podkarpacia, nawet w tak ekstremalnej sytuacji nie wzywał imienia Pana Boga swego nadaremno.

No cóż, dowództwo dotychczas tylko podejrzewało, że Niemcy dokonują masowych rzezi na Woli. Teraz będą mieć pewność.

Kapral oparł się o ścianę kamienicy i wolnym ruchem wsadził w usta wykałaczkę, zaciskając mocno zęby. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że nie jest to dobry objaw. W takich chwilach nie warto Kiełcowi wchodzić w drogę. Przekonał się już o tym pewien niemiecki dywersant pamiętnego pierwszego dnia września trzydziestego dziewiątego roku podczas walk pod Częstochową. Wtedy też padł nieoficjalny rekord Wojska Polskiego w długości przesłuchiwania z bagnetem w brzuchu. Kiełc, patrząc na górę ludzkich ciał, wyglądał, jakby miał właśnie ochotę pobić ten rekord.

Wolnym ruchem wytarł w rękaw zakrwawiony nóż myśliwski i cichutko wszedł do kamienicy, w której, jak podejrzewał, kwaterowała część oddziału, do której należał zabity wartownik. Znalazłszy sześciu pijanych w trupa esesmanów, szybko podjął decyzję. Pięciu z nich poderznął gardła tak cichutko, że żaden nawet nie jęknął. Opasłego sierżanta Krugera zostawił sobie na koniec. Nawet postanowił go „przed rozmową” obudzić.

Jeden z powstańców nerwowym krokiem podszedł do góry ciał, drżącymi rękami wyjął z chlebaka zdobyczny niemiecki aparat fotograficzny i zaczął robić zdjęcia makabrycznego odkrycia. Starał się podejść jak najbliżej, aby móc robić zdjęcia bez lampy błyskowej, bo światło mogłoby przyciągnąć uwagę wrogów. Drugi z żołnierzy założył na ramię broń zabitego Niemca i zaczął przechadzać się po ulicy, udając wartownika.

Ostatni z powstańców, ksiądz Wojtek, podszedł powoli do miejsca mordu. Zmęczonym ruchem zdjął z głowy pogięty niemiecki hełm i cisnął go precz. Padł na kolana i prawą ręką wykonał zamaszty znak krzyża, po czym w skupieniu odmówił modlitwę za zmarłych. Modły przerwał dopiero wtedy, gdy z kamienicy wyszedł, ciężko tupiąc, kapral Kiełc. Na jego niemieckiej bluzie mundurowej widać było nowe plamy krwi. Podobnie na rękach.

- Jeśli zrobiliście już zdjęcia, to zabierzcie zabitym broń - wskazał za siebie - i zwiijamy się z tego przeklętego miejsca.

Obaj żołnierze biegiem ruszyli do kamienicy, tylko cudem nie zderzając się ze sobą w drzwiach. Chwilę później wyszli stamtąd, niosąc pięć karabinów i jednego panczerfausta. Kieszenie kurtek mundurowych pęczniały od dodatkowych magazynków. Stanęli w gotowości, niecierpliwie czekając na rozkaz wymarszu. Widok, który mieli przed sobą, spowodował, że perspektywa powrotu przez kanały nie wydała im się już tak odrażająca.

- Nadal ksiądz uważa, że należy z nimi walczyć honorowo? - Kapral z wściekłością wskazał górę zwłok.

Kapelan wstał z klęczek, bez słowa ustawił się w szeregu i nadzwyczaj wymownym gestem przewiesił sobie przez ramię jeden ze zdobycznych karabinów.

Kiełc uśmiechnął się na ten widok samymi kącikami ust. Poklepał księdza po przyjacielsku i nakazał powrót do kanałów. Na chwilę zatrzymał się przy otwartym włazie, w którym znikli już jego podkomendni. Westchnął ciężko. Nie chciał przed nikim się z tym zdradzać, ale kanały napełniały go jakąś niepojętą trwogą. Gdy przebywał w nich dłużej, czasami czuł, jakby ściany zamykały się wokół niego i dusiły. Miał nadzieję, że dziś wieczorem nie będzie miał ataku paniki.

Rozejrzał się uważnie, po czym zdjął oficerski uniform i przebrał się w zdobyczną esesmańską kurtkę pozbawioną niemieckich emblematów. Zwinął mundur w rulon i odrzucił go z pogardą niczym zarobaczywioną szmatę. Choć powstańcom brakowało umundurowania, dla Kiełca ten niemiecki uniform był na wskroś przeżarty zapachem rozkładających się ciał pomordowanych mieszkańców Woli. Przeżegnał się szybko i znikł w czeluściach kanałów.

17 sierpnia, Powiśle

Stara górnicza lampka naftowa dawała coraz mniej światła. Marcin Grzeleń z niechęcią rozejrzał się dookoła. Piwnica kamienicy przy ulicy Browarnej, w której schronili się, nie wyglądała zbyt okazale. Pozbawiona okien i porządnego oświetlenia, była w dodatku mocno zaniedbana. Ściany zaszły wilgocią, którą wyczuwało się w powietrzu mimo sierpniowych upałów. W niektórych miejscach tynk odpadał całymi płacami, odsłaniając nierówny rząd ciemnoczerwonych cegieł. W dodatku wszystko nieznośnie cuchnęło pleśnią. Piwnica była jednak wystarczająco obszerna, aby schroniło się w niej bez ciasnoty prawie trzydzieści osób. Nie było więc innego wyjścia, jak siedzieć tu cicho niczym mysz pod miotłą.

Marcin rozmasował bolący od wilgoci kikut lewej ręki kończący się w okolicach nadgarstka. Stara rana jeszcze z czasów wojny obronnej znów dawała znać o sobie. Po raz kolejny przeklął swój los, który zamienił go na starość w zgorzkniałego inwalidę. A wszystko przez niemiecki szrapnel, który urwał mu dłoń w ostatnich dniach wrześniowej obrony Warszawy. Prawdziwy pech, zważywszy na to, że całą krwawą łaźnię nad Bzurą przeszedł bez szwanku.

Teraz, mimo swoich czterdziestu siedmiu lat, nie mógł już walczyć i musiał jak szczur ukrywać się przed Niemcami. Przed tymi samymi Niemcami, z którymi jako rodowity Poznaniak walczył ramię w ramię prawie trzydzieści lat temu pod Verdun. Spojrzał na skulonych razem z nim w piwnicy cywilów. Starsze kobiety z dziećmi oraz starcy, kilka kalek. Przeszło trzydzieści zmęczonych, wygłodniałych i wystraszonych osób, które mają nadzieję, że przeżyją tych kilku następnych dni.

Lampa naftowa zachwiała się mocno i przygasła na moment. Budynkiem wstrząsnęła potężna eksplozja. Niemcy podchodzili coraz bliżej. Powstańcy byli mocno spychani z Powiśla w kierunku Śródmieścia. Po trzech dniach spędzonych w tej piwnicy wszystkim było już obojętne, kiedy w budynku pojawią się Niemcy. Mieli tylko nadzieję, że uda im się przeżyć i pójść do niewoli. Hitlerowcy od kilku dni nie rozstrzeliwali już mieszkańców. Po mieście krążyły opowieści, że wysyłali schwytanych cywilów do obozów przejściowych. Poza tym wszyscy zgromadzeni w piwnicy pokładali nadzieję w Marcinie. Jako były podoficer wojsk kajzera, kilkakrotnie odznaczony między innymi za udział w walkach o francuski fort Vaux, mógł próbować dogadać się z wrogami.

Grzeleń wyjął z kieszeni małe zawiniątko i pomagając sobie zębami, otworzył je. Ze wszystkich niemieckich medali został mu tylko ten. Przez moment napawał wzrok widokiem połyskującego w ciemnościach Żelaznego Krzyża II klasy, po czym z powrotem schował go do kieszeni. On jeden siebie nie oszukiwał. Wiedział, że jego przeszłe zasługi nic nie znaczą dla esesmanów czy Kozaków. Jedynie w przypadku poddania się Wehrmachtowi mieli jakąś szansę. Ciężko szansa, że nie uznają tych ludzi za „polnische banditen”. Dlatego, żeby nie prowokować Niemców, swój stary pistolet oddał kilka dni temu jakiemuś młodemu powstańcowi.

Kanonada na powierzchni wzmagająca się mimo późnej pory. Niemcy najwyraźniej nasilali ataki. Słysząc już było wyraźnie pojedyncze strzały. To już nie potrwa długo, przemknęło Marcinowi przez głowę.

Nagle na górze rozległy się kroki, po czym skrzypnęły otwierane drzwi. W piwnicy wszyscy umilkli. Marcin wyprostował się. Płynnym, wyćwiczonym od kilku dni ruchem, wyjął kajzerowski order z kieszeni i przypiął go do kurtki.

- Nadchodzi moment prawdy - szepnął do siebie pobielającymi wargami. Jednocześnie uniósł ręce do góry, pokazując wyraźnie swoje kalectwo. - Nie strzelać! - krzyknął po niemiecku w kierunku schodów prowadzących z piwnicy.

W odpowiedzi na jego wołanie na górze rozległy się odgłosy szurania. Drzwi do piwnicy otworzyły się gwałtownie, po czym ktoś zaczął schodzić po schodach. Nie było jednak żadnego zawołania czy okrzyku.

Dziwne, pomyślał Marcin. Czyżby na górze nadal byli powstańcy?

To, co zobaczył, a co schodziło niespiesznie do piwnicy, spowodowało, że zwątpił w swe zdrowe zmysły. Po schodach kroczyło coś, jakby krokodyl. Tyle tylko, że te krokodyle, które widział jako dziecko w berlińskim zoo, były większe i miały dłuższe pyski. Mniejszy rozmiar niesamowitego gada nie był jednak pociechą. Niedostatek długości jaszczur nadrabiał agresywnością i szybkością. Był wysoki na jakieś pół metra, miał beczkowaty, prawie trzymetrowy tułów, krótki masywny pysk i nieproporcjonalnie długi, cienki ogon. Na szczycie łba i grzbiecie widać było resztki grzebienia. Ciemnozielona skóra błyszczała w świetle migoczącej lampy. Niesamowity wygląd jaszczura spowodował, że Marcin oblał się zimnym potem.

Gad zatrzymał się w połowie schodów i z cichym sykiem rozejrzał się po zgromadzonych w piwnicy. W bladym świetle obojętnie przyglądał się ich twarzom. Spojrzenie mocno osadzonych w czaszce ślepi spoczęło na moment na młodziutkiej, szesnastoletniej dziewczynie tulącej do siebie młodszego brata. Jej wielkie, czarne oczy błyszczały smutno spod długich, czarnych rozpuszczonych włosów. Na moment zetknęła się wzrokiem z gadem. Ślepią jaszczura zaczęły pulsować na czerwono. Z rozwartej paszczy, pełnej ostrych jak sztylety zębów, wysunął się długi, rozdwojony język i przesunął się wolno po kłach. Gad ryknął tryumfalnie, po czym powoli zaczął zsuwać się po schodach. W piwnicy rozległy się pełne przerażenia jęki.

Grzeleń nie miał złudzeń co do intencji stwora. Zwierz schodził niespiesznie, napawając się wzbudzonym przez siebie przerażeniem. Jarzące się ślepią nieustannie wodziły po ludziach. Stwór nie był jednak duży i w tym Marcin upatrywał szansę, że choć kilka osób się uratuje.

- Wszyscy na górę! - wrzasnął, wskazując kikutem ręki schody, z których jaszczur już zszedł.

Chcąc pobudzić innych do działania, skoczył w kierunku gada blokującego jedyną drogę na zewnątrz.

Niewielu poderwało się za Marcinem. Nikomu się nie udało dotrzeć do schodów. W panice ktoś przewrócił lampę i w pomieszczeniu zapadły ciemności. Okazało się jednak, że mimo mroku gad wszystko doskonale widzi. Piwnica rozbrzmiała jego rykiem i wrzaskami rozszarpywanych ludzi. Po chwili wszystko ucichło.

*

- Rolf, do jasnej cholery, gdzie leziesz? - Kapral Bock niepewnie rozejrzał się po zasypanej gruzem ulicy. - Przez ciebie złapią nas Polacy.

Zagadnięty szeregowiec machnął lekceważąco ręką, po czym zerknął na majaczącą w oddali powstańczą barykadę i precyzyjnie przesunął się przez okno piwnicy, w której ukrywał się jego oddział.

- Mówię panu, panie kapralu, że coś widziałem - próbował przekrzyczeć huk pocisków artyleryjskich rozrywających się na polskich pozycjach. - Coś jak krokodyl. Wylazło stamtąd -

mocno gestykulując, opisywał trasę domniemanego gada - i przeszło tam - wskazał dłonią częściowo zburzoną kamienicę na prawo od ich pozycji.

Kapral podrapał się po głowie. Swędzenie doprowadzało go do szewskiej pasji. Dużo by dał za kubel świeżej wody do mycia.

- No dobrze, widziałeś krokodyla biegającego po Warszawie. I co z tego. - Ostatnie zdanie wykrzyczał. - Chcesz medal od Berlińskiego Towarzystwa Zoologicznego? Włóż z powrotem, idioto!

Szeregowy Rolf zignorował zwierzchnika i skulony zaczął skradać się wzdłuż ścian budynków. Po chwili znikł we wnętrzu uszkodzonej kamienicy. Kapral westchnął ciężko i cicho przywołał do siebie sierżanta Erika Schwartza. Sierżant spojrzął przez okno i splunął ze złością. Na dworze zaczynała się szarówka. Zbliżała się noc.

- A tego gdzie poniosło?

- Mówił gałgan, że widział krokodyla. Może tego, o którym porucznik wspominał dzisiaj rano?

Sierżant zaczął sam przełazić przez okno, mrużąc ze złości.

- Safari mu się zachciewa? A może kurtki ze skóry krokodyla? Jego matka nie dałaby mi żyć, gdyby coś mu się stało. Są jednak takie dni, że przysięgam ci, chyba sam go załatwię. - Wyczołgał się na ulicę i powoli wstał przy ścianie. - Idziesz?

Z otworu dobiegło zduszone przekleństwo i w oknie pojawiły się ręce kaprała. Schwartz złapał go i podciągnął do siebie. Przez moment wydawało mu się, że Bock zablokował się w wąskim otworze okiennym, szarpnął więc mocniej. Rozległ się trzask pękającej ramy okna i obaj runęli na ulicę. Natychmiast nad nimi przeleciały serie zarówno ze strony polskiej, jak i niemieckiej.

Przywarli mocno do bruku. Sierżant zmełł w ustach wyjątkowo wulgarne przekleństwo i wskazał ręką na niewielką kamienicę stojącą nieopodal. Nad ich głowami ciągle przelatowały pociski, więc musieli się czołgać. Gdy tylko obie strony przerwały ogień, zerwali się na równe nogi i dobiegli do ściany.

- Gdzie jest ten, wkrótce martwy, gnojek? - wysapał kapral.

Sierżant wskazał szmajserem wielki trzypiętrowy dom. Skradając się ostrożnie wzdłuż ściany, doszli do rogu kamienicy. Szeregowego Rolfa nigdzie nie było widać. Dookoła leżały kupki gruzu z pękniętej ściany.

- Rolf, ty tępy ośli synu - wysyczał cicho kapral.

Jak na złość artyleria przerwała ogień i dookoła zapanowała kłująca w uszy cisza.

- Tutaj, panie kapralu - rozległ się zduszony okrzyk z wnętrza kamienicy.

Bock i Schwartz spojrzeli na siebie, po czym zaczęli przechodzić przez dziurę w murze. Zaraz za ścianą wpadli na Rolfa, który stał w małym, całkiem jeszcze niedawno gustownie urządzonym salonie. Szeregowiec wyraźnie czemuś się przysłuchiwał.

- Co ty wyrabiasz, durniu jeden? - z miejsca naskoczył na niego sierżant Schwartz. - Myślisz, że nie mam nic innego do roboty, niż pilnowanie twojej dupy...

- Ciiii... - Rolf przerwał tę tyradę, przykładając palec do ust. - Nic nie słyszycie?

Podoficerowie spojrzeli na siebie bezradnie.

- A co mam słyszeć? Kopulującego krokodyla? - Twarz Schwartza robiła się czerwona ze złości.

- Poczekaj, Erik. - Bock złapał go za rękaw. - Ja chyba też coś słyszę. Coś jakby syki i jęki.

Przez moment wszyscy trzej nasłuchiwali.

- Dochodzi jakby stamtąd. - Rolf wskazał na drzwi do przedpokoju i ruszył przed siebie.

Sierżant złapał go za klapy munduru.

- Chwila moment, gdzie ty się wybierasz? Nawet nie wiemy, co tam jest. Może to cały pluton powstańców? Albo ten twój krokodyl czai się na nas za rogiem.

- Mały ma rację - nieoczekiwanie Rolfa poparł Bock. - Musimy to sprawdzić. Co powiemy porucznikowi? Że uciekliśmy przed „chyba” krokodylem?

Sierżant zamyślił się. Perspektywa tłumaczenia się przed porucznikiem Louvem nie wydawała mu się szczególnie pociągająca. Do dziś piekły go uszy po tym, jak w zeszłym roku

w południowych Włoszech porucznik wydierał się na niego przez dobre pół godziny z powodu kradzionej krowy. Przełknął ślinę.

- Dobrze, ale ja idę pierwszy. Broń trzymać w pogotowiu. - Nerwowym ruchem przeładował szmajsera. - Jest jedna rzecz, o której wam nie wspominałem. Podśluchałem, jak porucznik godzinę temu dostał specjalne wytyczne co do tego gada. Sztab Bacha kazał mu meldować o każdym takim przypadku. Kto wie, może to ważne dla tych na górze? Zanim jednak się z tym wyrwiemy, musimy mieć pewność... Kurwa, szeregowy, mówiłem, broń w pogotowiu - wyżył się na Rolfie dla poprawienia sobie nastroju.

Ostrożnie, powoli cała trójka weszła do przedpokoju. Nigdzie nie było jednak śladu krokodyla czy Polaków. Gdzieś z boku rozległo się głośnie chrupnięcie. Jak na komendę wszyscy odwrócili się w tamtym kierunku. Kapral bez słowa wskazał ręką otwarte na oścież drzwi do piwnicy.

- Pilnujcie przedpokoju - Schwartz przetarł rękawem spocone czoło - ja sprawdzę piwnicę...

Ostrożnie przekroczył próg i czujnie rozejrzał się po pomieszczeniu. W środku było bardzo ciemno. Wymacał ręką wyłącznik, jednak światło nie rozbłysło. Najwyraźniej żarówka się przepaliła albo nie było prądu. Zapalił latarkę i powoli zszedł na dół.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy w nikłym blasku, to kolor ścian. Schwartz zastanowiło, kto tak niedbale je pomalował, a w dodatku na kolor czerwony. Był już w połowie schodów, gdy dostrzegł, że podłoga też jest czerwona i w dodatku się błyszczy. Przełknął ślinę. Zauważył fragment ludzkiego korpusu. Skierował światło nieco dalej. Nie mógł uwierzyć w to, co widział. Wszędzie krew i szczątki ludzkie. Odór krwi i kału uderzył go w nozdrza. Przerażony oparł się plecami o ścianę i przykucnął. Zaczął spazmatycznie oddychać. Trzęsącą się ręką wyłączył latarkę. Nie chciał więcej oglądać tej masakry.

- Widzi pan coś, panie sierżancie? - dobiegł go z góry cichy szept Rolfa.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, szeregowiec wyszedł zza ściany i stanął u szczytu schodów.

- Cholera - zaklął szpetnie z powodu panujących ciemności. - Panie sierżancie, jest pan tu? - Odpowiedziała mu upiorna, obezwładniająca grozą cisza. - Panie kapralu, coś się stało z sierżantem Schwartzem.

W otworze drzwi na tle nikłego światła wieczornej szarówki zamajaczyła kolejna postać w mundurze.

- Erik, nie wygłupiaj się. - Przez chwilę Bock zastanawiał się, czy zejść do pogrążonej w mroku piwnicy. - Cholera, ciemno jak diabli, a ja nie wziąłem latarki. Erik, do diabła...

W tym momencie w mroku rozległ się kobiecy jęk, a zaraz po nim ogłuszający ryk. Obaj żołnierze stojący na szczycie schodów wycelowali karabiny w tamtym kierunku, żaden nie nacisnął jednak spustu ze strachu, że może trafić sierżanta. Zanim wpadli na pomysł, by się wycofać do przedpokoju, było już za późno.

Jaszczur z niesamowitą szybkością wpadł na schody. W biegu niby przypadkiem trafił przykucniętego sierżanta łapą w bok, łamiąc mu żebra i spychając na dół. Schwartz z jękiem zwałił się prosto w kałużę krwi.

Ostatnie schody gad pokonał dużymi skokami, błyskawicznie dopadając obu Niemców. Rolf wydał z siebie przeraźliwy krzyk, gdy celny cios łapy rozpruł mu brzuch. Kapral w odruchu obronnym nacisnął spust, ale nie zdążył nawet porządnie wycelować. Seria z pistoletu maszynowego trafiła ścianę piwnicy tuż nad tarzającym się z bólu sierżantem. Niemal natychmiast na policzkach Bocka zacisnęły się szczęki gada. Rozległ się trzask i ze zmiażdżonej twarzy wydobył się szloch.

Gad stanął nad ciałami ciężko rannych żołnierzy. Przez chwilę przyglądał im się niezdecydowany. Powoli podszedł do leżącego Bocka i obwąchał go. Pochylił się nad zmiażdżoną twarzą kaprala i powoli zacisnął zębiska na jego gardle. Bock w odruchu obronnym objął dłońmi pysk gada, usiłując rozewrzeć szczęki i odsunąć go od siebie. Na próżno. Rozległ się mrozący krew w żyłach bulgot, po czym ciało kaprala zaczęło dygotać spazmatycznie. Gdy drgawki ustały, jaszczur puścił trupa i podszedł do skomlącego Rolfa. Popatrzył mu prosto w oczy, jakby napawał się jego przerażeniem, po czym wolno zanurzył pysk w rozprutym brzuchu. Przedpokojem wstrząsnął przeraźliwy wrzask rozrywanego człowieka, po czym ciało szeregowca wyprężyło się i znieruchomiło.

Gad mlaskając głośno, przeżuwał obojętnie wnętrzności zamordowanego Niemca, gdy nagle zastygł w bezruchu. Od strony pobliskiej barykady zaczęły dobiegać liczne głosy. Póki co, zbyt liczne jak na jego możliwości. Przynajmniej na powierzchni.

Puścił się pędem w dół ciemnych schodów, przy okazji wskakując dwoma łapami na leżące już bez ruchu sierżanta. Rozległ się trzask pękających żeber i z ust Schwartza buchnął strumień krwi. Jaszczur przez moment szarpał się z czymś w rogu piwnicy, czemu towarzyszyło kobiece skomlenie. Po chwili gad z powrotem ruszył schodami na górę, niosąc ze sobą zdobycz.

Przez jedno mgnienie, kiedy stwór był widoczny w otworze drzwi, ciężko ranny sierżant zobaczył, co gad trzyma delikatnie w pysku. Była to najwyżej kilkunastoletnia, wciąż żywa dziewczyna. Gdy tylko potwór zniknął ze swoim łupem, sierżanta ogarnęła ciemność.

*

Dosłownie chwilę później do zrujnowanej kamienicy wpadło kilkunastu powstańców uzbrojonych w karabiny, pistolety, siekiery, kije i jedną szablę kawaleryjską. Rozbiegli się po parterze w poszukiwaniu źródła słyszanych przed chwilą strzałów i przeraźliwych krzyków. Tuż przy wejściu w przedpokój znaleźli dwa niemieckie trupy oraz dziwne krwawe tropy prowadzące do piwnicy. Widząc przed sobą tak makabryczną scenę, zatrzymali się niezdecydowani. Ślady krwi biegły przez cały przedpokój aż do otwartych drzwi. Żołnierze spojrzeli na siebie zaniepokojeni. Wyglądało na to, że cokolwiek zabiło Niemców w tak okrutny sposób, najprawdopodobniej nadal siedzi w piwnicy. Nikt jednak nie chciał tam zejść, bo w pośpiechu nikt nie pomyślał, by wziąć latarkę.

Do żołnierzy przybiegł porucznik Nowakowski z trzema wojskowymi latarkami. Był zdecydowany wyjaśnić tę sprawę. Przez moment przyglądał się zwłokom Niemców. Widok rozszarpanego gardła kaprała Bocka przywołał w nim wspomnienie wczorajszego koszmaru. Wzdrygnął się na samą myśl, potem jego wzrok ześlizgnął się z trupa kaprała na zakrwawioną podłogę.

- Hm - chrząknął głośno, patrząc na biegnące z piwnicy w kierunku ulicy krwawe ślady. Gadzie ślady.

Jego spokojne i flegmatyczne zachowanie podziało na żołnierzy uspokajająco, tymczasem w poruczniku aż się gotowało z nadmiaru uczuć, wśród których dominowała przemożna chęć ucieczki z tego miejsca. W jego głowie kłębiło się mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Wyglądało na to, że terror wy dostał się z kanałów i szaleje po Powiślu. Tylko skąd, do ciężkiej cholery, znalazł się w Warszawie ten krwiożerczy gad? Może niegdyś uciekł skądziś do Wisły, a teraz zwabiły go do miasta leżące wszędzie ludzkie zwłoki? Ale dlaczego,

w imię Boga, ten stwór atakuje żywych, skoro ma pod dostatkiem mięsa ludzkiego pomordowanych cywilów.

Porucznika wyrwało z rozmyślań trącenie w ramię. Sierżant Wileński nie dał po sobie poznać, że jemu również przypomniało to incydent z Adamczykiem. Nowakowski wyprostował się z westchnieniem i rozdał latarki. Na wszelki wypadek kazał żołnierzom przygotować się do walki. Ślady, które widział na ulicy, wskazywały, że stwór, czymkolwiek był, już sobie poszedł. Porucznik wołał jednak dmuchać na zimne. Zarazem podświadomie wątpił, żeby z tym uzbrojeniem, które tu mieli, dali radę go zabić.

Pierwszy do piwnicy zszedł szeregowy Arek Morowski. Wystarczyła chwilka, by wypadł stamtąd z krzykiem i obłędem w oczach. Pozostałym nie poszło lepiej. Kapral Osmala wyszedł z piwnicy blady niczym trup. Chciał coś powiedzieć, ale złapał się za brzuch i dostał silnych torsji. Również szeregowy Baran zwymiotował. Dopiero następna trójka prowadzona przez sierżanta Wileńskiego mogła coś powiedzieć. Sam sierżant był blady jak ściana i ręce mu się trzęsły.

- Rzeźnia, panie poruczniku. Wszędzie krew i kawałeczki ludzi. Jest tam też kolejny trup niemieckiego żołnierza. Przy samiutkich schodach.

Porucznik z obawą podszedł tam i zajrzał do środka. To, co zobaczył w świetle latarki, w zupełności mu wystarczyło. Cofnął się przerażony. Z nerwów głośno przełknął ślinę.

- Przynieście tego Niemca. - Nie miał najmniejszej ochoty osobiście wchodzić do środka.

Dwóch żołnierzy w panterkach spojrzało na siebie i cofnęło się pod ścianę.

- Słyszeliście porucznika. - Sierżant wreszcie zebrał się w sobie. - Przynieście szkopa.

Obaj żołnierze, bladzi jak prześcieradła, zeszli na dół. Po chwili, sapiąc głośno, wtaszczyli po schodach zwłoki niemieckiego sierżanta, ciągnąc go za ręce. Gdy z obrzydzeniem cisnęli pokrytego krwią trupa na podłogę, rozległ się cichy jęk.

- Jezusie, on jeszcze dycha. - Jeden z żołnierzy przeżegnał się.

Porucznik obejrzał fachowo Niemca.

- Niedobrze. Połamane żebra, przebite płuca, zmiądzona klatka piersiowa. Długo nie pociągnie. - Pochylił się nad umierającym Schwartzem. - Sierzancie, co widzieliście? - zagadał po niemiecku wolno i wyraźnie.

Oczy sierżanta spoczęły na Nowakowskim, który był ubrany w niemiecki mundur polowy. Na moment wróciła Schwartzowi świadomość. Złapał mocno porucznika za kurtkę i przyciągnął do siebie.

- On... ją zabrał, zabrał jak rzecz... - Krew coraz obficie zaczęła spływać mu po ustach. - Musicie ostrzec dowództwo... Zły i głodny... Za szybki... - Znieruchomiał.

Porucznik zamknął niewidzące już oczy Schwartz'a. Wstał i wytarł ręce w kawałek jakiejś szmaty.

- Co teraz? - Pytanie Wileńskiego zdawało się wyrażać niezdecydowanie i strach pozostałych żołnierzy. - Czy to było to, co mi się wydaje? - dodał ciszej.

Porucznik spojrzał na niego karcąco. Sierżant oparł się plecami o pękniętą ścianę i zapalił papierosa. Dwóch żołnierzy spojrzało na niego z zazdrością. Papierosy były mocno deficytowym towarem w Warszawie.

- Sprawdźcie, czy nie ma tam jeszcze kogoś żywego. Niemieckie trupy przeszukać. Broń i papiery zabrać, zwłoki do piwnicy. - Jego głos potężniał powoli, wypierając strach. - Potem spalcie ten przeklęty dom i zapomnijcie o tym, co tu widzieliście. - Ostatni raz spojrzał w czeluść piwnicy. - Ja idę zameldować dowódcy okręgu o tym syfie. Niech góra się martwi, co z tym zrobić...

Sierżant Wileński przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, po czym poderwał się do działania.

- Słyszeliście porucznika. Zbieramy się i wszyscy morda w kubeł. Jak by kto pytał, to Niemcy rozwalili cywilów granatami. My ich dopadliśmy i po sprawie...

18 sierpnia, Śródmieście

Za załomem ściany zburzonego domu kucalo kilku powstańców, przeklinając w bezsilnej złości Niemców. Parę metrów od nich leżała na ulicy ich koleżanka z kompanii, Katarzyna Mirecka, i zwijała się z bólu.

Początkowo sądzili, że trafiła ją zabłąkana kula, gdy szła ulicą w ich stronę. Najmłodszy z nich, Janek, jako pierwszy wyskoczył z improwizowanego schronu, aby jej pomóc, jednak po dwóch krokach trafiła go w czoło kula niemieckiego snajpera i teraz, jako przestroga, leżał martwy obok płaczącej z bólu dziewczyny.

Reszta oddziału doczołgała się w pobliże rannej, korzystając z osłony, którą dawały ruiny domów. Kluczając wśród gruzów, dotarli tak blisko, jak tylko się dawało. Teraz, kucając za fragmentem ściany, byli już tylko pięć metrów od Katarzyny. Blisko, lecz wciąż zbyt daleko.

- To najwyżej pięć cholernych metrów - powtarzał raz za razem w bezsilnej złości podchorąży Zieliński.

Pięć długich metrów od ratunku.

Przez szczeliny w murze żołnierze obserwowali ulicę. Nie było dobrze. Dziewczyna zwijała się z bólu. Widać było, że pocisk trafił ją w brzuch.

- Wykrwawi się, jeśli czegoś nie zrobimy - jęknął w desperacji Jan Odrowąż, najstarszy z całego oddziału.

Sierżant Wołos, potężny spadochroniarz wyróżniający się z całej grupy nie tylko wzrostem, ale i brytyjskim mundurem, splunął ze złości.

- Zginiemy, jeśli tylko się stąd ruszymy.

- Będziemy tu tak siedzieć i czekać, aż ona umrze? - Zieliński potrząsnął sierżantem. - Przecież to Kaśka... - dodał, patrząc w jej stronę.

Nie musiał niczego dodawać. Cała kompania kochała się skrycie w tej niskiej, drobnej brunetce.

- Cholera - Wołos przeklął nie wiadomo po raz który - dajcie się chwilę zastanowić. Zaraz coś wymyślę... - Ze zdenerwowania tak mocno zacisnął pięści, że aż zbieleły mu kostki.

Rozległ się świst i usłyszeli kolejny okrzyk bólu Katarzyny. Następna kula trafiła ją w biodro.

- Skurwysyny, pierdolone skurwysyny! - wrzasnął wściekle kapral Michalski i zerwał się na nogi.

Pogroził niewidzialnemu wrogowi pięścią. Zanim ktokolwiek zdążył go ściągnąć na dół, pocisk trafił go prosto w twarz. W drgawkach zwałił się na stertę cegieł

- Kurwa, ale syf. - Wołos zazgrzytał zębami. - Jest ich dwóch. Jeden nie zdążyłby przeładować i wycelować.

Rozejrzał się ostrożnie dookoła. Przez szczelinę w gruzach obserwował przez moment przeciwną stronę ulicy. Krzyki Katarzyny nie pozwalały mu się skupić. Nagle w oknie na drugim piętrze jednej z kamienic po drugiej stronie ulicy coś błysnęło przez sekundę. Luneta. Oszacował odległość.

- Zrobimy tak. Ty, Michał, leć do podchorążego Andrzeja Dewicza. Powinien być w tamtym budynku razem z resztą kompanii. - Wskazał ręką znajdującą się w oddali okazałą kamienicę z piaskową fasadą podziobaną pociskami. - Powiedz mu, że ja cię przysyłam i że nadszedł czas wypróbować „Jasia”.

Szeregowy Brzozowski niemal bezgłośnie poruszył ustami.

- Jaki znowu „Jas”?

- Zdobyczny niemiecki transporter opancerzony. Wiem, że Dewicz go wyremontował i ukrył w ogrodach Konserwatorium. Powiedz podchorążemu, żeby z transporterem podjechał do Kasi i osłonił ją przed tym budynkiem. - Machnął w kierunku dwupiętrowej kamienicy, gdzie, jak podejrzewał, skryli się niemieccy strzelcy. - My dołączymy do niego przy tamtym domu. Uprzedź go o snajperach. I na litość boską, każ mu się śpieszyć.

Młody żołnierz przeczołgał się przez gruzowisko, po czym pognał przed siebie jak wicher. Sierżant skrzywił się. Może Dewicz zdąży, może nie. Musi sam coś wymyślić. Jego wzrok zatrzymał się na pobliskiej studziencie kanalizacyjnej. Pokręcił w zamyśleniu głową. Kanałami Katarzyny nie wyciągnie. Rozległ się kolejny strzał i dziewczyna znowu krzyknęła w agonii. Oczy Wołosa rozszerzyły się z żądzy mordy.

- Mam pomysł. Wy dwaj ze mną, reszta z panem podchorążym niech tu zaczeka na Dewicza. Jak tylko zobaczycie, że nadjeżdża, przebiegnijcie mu na spotkanie pod tamten mur.

- A ty co? - Zieliński spojrzał na niego zdziwiony.

- Idę dorwać skurwieli.

W trójkę przeczołgali się na tyły domu, potem ruszyli biegiem przez podwórko na sąsiednią ulicę. Sierżant rozbieganym wzrokiem zaczął się rozglądać po zagruzowanej ulicy.

- Tam jest! - Wołos ręką wskazał na środek ulicy.

Truchtem podbiegli do na wpół zasypanego wjazdu i w szaleńczym pośpiechu zaczęli go oczyszczać. Wspólnymi siłami podnieśli porzewiałą klapę. Dookoła czuć było smród kanałów. Wołos wyciągnął kompas i zaczął w myślach coś przeliczać, po chwili z zadowoleniem kiwnął głową.

- Idę sam, wy zasłońcie za mną wjazd i dołączcie do reszty oddziału. - Spojrzał przeciągle żołnierzom w oczy. - Nie czekajcie na mnie, sam was znajdę.

Nie tracąc czasu, zsunął się po metalowej drabince do kanału. Jeden z żołnierzy zrzucił mu na dół thompsona, jego ukochaną broń jeszcze z czasów szkolenia w Anglii. Wołos pomachał im, dając znać, że wszystko jest w porządku. Wyjął zza paska latarkę i popatrzył na kompas. Rozległ się zgrzyt przesuwanego wjazdu i wokół sierżanta zaległa nieprzenikniona ciemność warszawskich kanałów. Włączył latarkę i oświetlił korytarz przez sobą.

- Dobra, do dzieła. - Szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Woda nieprzyjemnie chlupała pod stopami. Odgłos kroków dudnił w wąskich korytarzach, roznosząc się echem w podziemiach. Kilka razy sierżant musiał skrócić w odnogi, cały czas jednak uważnie pilnował kierunku i odległości.

Nagle zatrzymał się zdziwiony. Miał wrażenie, że ktoś za nim idzie. Oświetlił tunel za sobą. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że coś dostrzega. Jakiś ruch, jakieś kształty. Odgłosy nasilały się, ale w dalszym ciągu sierżant nie mógł zidentyfikować ich źródła. Coś jakby szuranie i skrobanie. Trochę zaniepokojony zdjął z ramienia broń. Żaden człowiek nie mógł powodować takich dźwięków.

Nagle w świetle latarki dojrzał ogromnego szczura biegnącego w jego stronę. Zwierzę na widok światła zatrzymało się i wydało z siebie głośny pisk. Obecność człowieka w kanale zdawała się jednak nie niepokoić gryzonia, który ponownie ruszył w stronę sierżanta. Niemal od razu Wołos w świetle latarki dostrzegł następne szczury. Całe dziesiątki. Wzajemnie się tratując, gnały w stronę osłupiałego żołnierza. Sierżant kompletnie nie wiedział, co w tej sytuacji powinien robić, przeładował więc thomsona i cofnął się dwa kroki. Zanim zdążył nacisnąć spust, szczury dobiegły do niego i... minęły. Zafascynowany przyglądał się tej żywej fali, która przemknęła między jego nogami. Zwierzęta nawet na sekundę nie zainteresowały się człowiekiem. Po prostu pognały dalej w głąb tunelu.

To zaskakujące zachowanie gryzoni zaniepokoiło cichociemnego bardziej niż perspektywa walki z nimi. Oświetlił korytarz, z którego uciekały szczury. Słyszał od innych powstańców o takich sytuacjach i wiedział, co to oznaczało. Niemcy wpuszczali do tuneli gaz bojowy lub wypalali kanały benzyną. Co prawda nie słyszał odgłosu wtłaczanego do tunelu gazu czy płonącej benzyny, ale na wszelki wypadek uznał, że bezpieczniej będzie stąd się wydostać. Ruszył tę samą stroną, gdzie wcześniej uciekły szczury.

Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się. Znowu miał to samo uczucie, jakby ktoś za nim szedł. Na wszelki wypadek zgasił latarkę i zaczął nasłuchiwać w ciemności. Przez chwilę słyszał tylko swój oddech i przyspieszone bicie serca, jednak po chwili coraz wyraźniej słyszał dobiegający z daleka odgłos rozchlapywanej wody. Na razie źródło dźwięków było daleko za nim, ale zbliżało się szybko. Wolno przełknął ślinę i odbezpieczył thomsona. Nie bardzo miał ochotę na walkę, ale ktokolwiek to był, szedł prosto na niego. Do jego uszu dochodziły teraz nowe dźwięki. Przeciągły zgrzyt, jakby coś ocierało się o ściany kanału, czemu towarzyszył dziwny, urywany syk.

Zawahał się na moment. Cokolwiek to było, nie mogło być człowiekiem. Syk stawał się coraz wyraźniejszy i dłuższy. Może to jednak sprężony gaz? Nie oglądając się za siebie, pognał w kierunku najbliższego włazu. Chciał się jak najszybciej stąd wydostać. Po trzydziestu metrach szybkiego biegu po ciemku omal nie przeoczył wyjścia z kanału.

Szybko wspiął się na metalowe szczeble i barkiem natarł na właz. Sapnął z wysiłku. Kłapa z hukiem wypadła na ulicę. Przez chwilę delectował się widokiem słonecznego światła. Wróciła mu jego pewność siebie. Strach przed nieznanym pozostał w mrocznym kanale. Podciągnął się na łokciach, po czym energicznie wyskoczył na zewnątrz. Podbiegł do najbliższej ściany i rozejrzał się uważnie, oceniając swoje położenie. Instruktor Wołosa

z "małego gaju" byłby zadowolony z jego zmysłu orientacji. Był jakieś pięćdziesiąt metrów od domu, w którym siedzieli Niemcy.

Zachowując ostrożność, ruszył szybkim truchtem wzdłuż ścian domów. Zatrzymał się dopiero przy otwartych drzwiach kamienicy. Przez chwilę nasłuchiwał odgłosów dobiegających z budynku, po czym bezszelestnie przekroczył próg. Z górnych pięter dobiegły go śmiechy i pojedyncze niemieckie słowa. Przewiesił thompsona przez ramię i wyjął długi nóż. Cichutko zaczął się skradać po schodach.

Na pierwszym piętrze niemal zderzył się z niemieckim sierżantem, który na jego widok zawahał się, czy sięgać po broń, czy krzyczeć o pomoc. Długie ostrze brytyjskiego noża szturmowego wbiło się w gardło. Niemiec zacharczał cicho i znieruchomiał w rękach cichociemnego. Wołos powoli położył trupa na ziemię. Od razu zobaczył następnego Szkopa, który siedział przy oknie i głośno jadł konserwę. Energicznie podszedł do niego od tyłu, złapał za głowę i poderwał do góry. Zaskoczony żołnierz upuścił jedzenie i próbował się szarpnąć. Wołos odgiął jego głowę do tyłu i jednym płynnym ruchem podciął gardło. Ponownie delikatnie położył zwłoki na podłodze, cały czas uważnie nasłuchując. Głosy na górze nie zmieniły się. Twarz sierżanta wykrzywił uśmiech.

W tym momencie w drzwiach do kuchni pojawił się kolejny żołnierz niosący mieniące się pełne zupy. Niemiec stanął jak wryty na widok Wołosa. Komandos nie czekał. Nóż świsnął w powietrzu i wbił się w pierś szeregowca, który zwałił się na podłogę, z potwornym łoskotem puszczając naczynia. Głosy na górze momentalnie umilkły.

- Co robisz, idioto? - ryknął Wołos po niemiecku. - Ochlapałeś mi mundur.

- Co tam się, do cholery, dzieje? - dobiegło z góry. - Przeszkadzacie panu majorowi w polowaniu.

Wołos jednym skokiem znalazł się przy ciele zabitego Niemca. Drżącymi rękami szybko przeszukał kieszenie i wyciągnął książeczkę wojskową. Otworzył ją i ryknął po niemiecku:

- To ten kretyn Kruger wywalił stół z żarciem. - Ze zdenerwowania przetarł dłonią spocone czoło.

Z góry dobiegło go przytłumione westchnienie i kilka słów o "bawarskich wieśniakach", mających wyrazić całą głupotę i niezdarność żołnierzy psujących zabawę panu majorowi.

Wołos rzucił na zwłoki dokumenty i po raz kolejny uśmiechnął się drapieżnie. Wytarł nóż w kurtkę mundurową zabitego i wrócił na klatkę schodową. Wszedł na ostatnie piętro kamienicy i cicho podszedł do uchylonych drzwi. Delikatnie otworzył je i rozglądając się uważnie, wszedł do środka. Głosy snajperów były coraz wyraźniejsze. Stał za winklem i wyjął z kieszeni kawałek lusterka. Wystawił je za róg i uważnie obejrzał wnętrze pokoju, z którego dostrzegł błysk lunety.

Tak jak podejrzewał, dwóch snajperów siedziało przy oknie. Jeden z nich, chyba sierżant, przez lunetę karabinu oglądał wijącą się na ulicy dziewczynę. Drugi, w mundurze majora, siedział przodem do okna i popijał z manierki. Wołos schował z powrotem lusterko, cicho odłożył thompsona i wyjął beretkę. Wolno przekroczył próg i wszedł do pokoju.

Żaden z Niemców nie zwrócił na niego uwagi. Byli całkowicie skupieni na wydarzeniach rozgrywających się na ulicy. Słychać było narastający ryk silnika i zgrzyt gąsienic. Wołos zrozumiał, że podchorąży Dewicz przybył w końcu z ratunkiem. Obaj Niemcy bez pośpiechu wycelowali karabiny w niemiecki transporter Sd.Kfz 251/1 z polską flagą i zastylgli w tej pozycji. Uważnie szukali celów. Wołos wiedział, że nie może im na to pozwolić. Chciał ich jednak żywych.

Błyskawicznie doskoczył do nich. Sierżant, uderzony w skroń ręką pistoletu, zwałił się nieprzytomny na podłogę. Majora ostrzegł jakiś szósty zmysł, bo w ostatniej chwili odskoczył i zamierzył się karabinem jak maczugą. Cichociemny uchylił się i strzelił mu w brzuch. Oficer jęknął, puścił broń i przysiadł na podłodze, rękami obejmując ranę. Wołos zabrał mu pistolet z kabury i odłożył na bok oba karabiny snajperskie. Wyrzwał przez okno i zamachał białą chusteczką. Z transportera wychylił się podchorąży Dewicz i odmachał. Zza pojazdu wybiegli żołnierze Wołosa, niosąc na rękach Katarzynę. Ze sposobu, w jaki ją niesiono, sierżant wywnioskował, że ratunek przybył zbyt późno.

Cichociemny zazgrzytał zębami. Jak w transie odłożył pistolet i związał nieprzytomnego sierżanta. Następnie wyciągnął nóż i z dygoczącymi z wściekłości rękami podszedł do rannego majora. Pochylił się nad nim i wycedził po niemiecku:

- Czas na lekcję dobrych manier, bydlaku. Oraz naukę zasad prowadzenia wojny, których najwyraźniej nie przyswoiliście sobie w stopniu wystarczającym.

Niemiec pobladł, gdy ostrze noża załśniło tuż przed oczami.

*

Sierżant Wołos wrócił do oddziału godzinę później. Nikt nie komentował jego zakrwawionego munduru, gdy bez słowa mijał kolejne grupy powstańców w ogrodach Konserwatorium. Cały obwieszony zdobyczną bronią i ubrudzony krwią, wyglądał jak demon wojny.

Transporter opancerzony z powrotem stał pod drzewami starannie zamaskowany. Obok niego leżała Katarzyna, a przy niej klęczał zapłakany Zieliński. Odwrócił się do nadchodzącego Wołosa i wyszeptał:

- Spóźniliśmy się, Janku. Zmarła zaraz po tym, jak do niej dojechaliśmy. Zgasła na moich rękach. Zdążyła się tylko uśmiechnąć i powiedzieć, że już ją nie boli.

Cichociemny położył u jej stóp dwa karabiny snajperskie, zerwał rosnący obok kwiat chabru i położył na piersi martwej dziewczyny. Zakrwawionymi rękami objął jej głowę, pocałował ją w czoło i spojrzał na spokojną twarz.

- Nie mówię żegnaj, Kasiu. Wierzę, że zobaczymy się wkrótce.

Wstał, poklepał Zielińskiego po ramieniu i wszedł do gmachu Konserwatorium. Znalazł pusty pokój, w którym się zamknął i siedział tam aż do zmierzchu, na przemian płacząc, wyjąc i złorzecząc.

*

Dopiero przed wieczorem Niemcy znaleźli swoich snajperów. Sierżant Brunner, który pierwszy wszedł do przedpokoju, zbladł jak ściana i zwymiotował. Po nim zrobili to dwaj inni żołnierze. Długo nikt z nich nie mógł się przełamać, żeby przekroczyć próg. Na środku pokoju siedzieli naprzeciw siebie przywiązani do krzeseł obaj strzelcy. Mieli wylupione oczy. Ktoś obciął im także uszy i nosy. Duże fragmenty skóry zostały zdarte z twarzy, a brzuchy były rozprute. Wnętrza spoczywały na kolanach, które związane kawałkiem kabla. Na drzwiach pokoju ktoś kawałkiem kredy napisał po niemiecku:

Strzelałem do bezbronnych polskich kobiet

Dla sierżanta Brunnera najgorsze było jednak to, że ofiary nadal jeszcze żyły i były niemiłosiernie.

18 sierpnia, Stare Miasto

Mimo późnej pory słońce wciąż mocno grzało, porucznik Nowakowski nie mógł się jednak przyzwyczać do spokoju, który panował w tej części Starówki. Ostatnie dni walk na Powiślu spowodowały, że wypalił się emocjonalnie. Nadal w myślach trawił grozę kanałów, która pochłonęła Adamczyka i prawdopodobnie też tych ludzi w piwnicy na Browarnej. Świadomość, że mógł skończyć tak samo, nie dawała mu spokoju. W końcu dowódca rejonu, major „Róg”, niemal siłą wysłał go na dwudniowy urlop. Inna sprawa, że w ogarniętym walką mieście nie było za bardzo gdzie wypocząć.

Porucznik uśmiechnął się do siebie. Tu, na Starówce, mieszkała jego jedyna żyjąca krewna, kochana ciocia Ludmiła Podolska z domu Bronowska, więc był to dla niego jak najbardziej naturalny wybór. Ostatni raz był u niej tydzień przed Powstaniem. Wciąż pamiętał intensywny zapach angielskiej herbaty i słodki smak - zdobywanych nie wiadomo skąd i nie wiadomo jak - francuskich ciasteczek. Przyśpieszył kroku.

Poza tym póki co na Starówce panował jeszcze względny spokój. Była to jednak cisza przed burzą. To oczywiste, że po upadku Woli szwaby szykują wielki szturm na tę dzielnicę.

Specjalnie na okazję spotkania z ciocią Lusią po raz pierwszy od początku Powstania zdjął z siebie brudny, przepocony mundur. Zamiast tego włożył wyjściowy przedwojenny jasny garnitur. Zdaniem sierżanta Wielińskiego wyglądał jak drogi strach na wróble, tak bardzo schudł w czasie wojny.

Zwolnił trochę i rozejrzał się. Bez względu na porę dnia miasto rozbrzmiewało odgłosami walk ulicznych. Dymy z płonących domów dokładnie wskazywały aktualną linię frontu.

Niemcy pierwsi wpadli na pomysł, aby podpalać te budynki, które mogą Polakom służyć za punkty oporu, a których sami nie mogli utrzymać. Taktyka ta okazała się na tyle skuteczna, że zaczęli ją również stosować powstańcy, choć w trochę mniejszym zakresie i z pewnymi oporami. Wkrótce zapanował taki rozgardiasz, że nierzadko tę samą kamienicę podpalały równocześnie obie strony. Naturalną tego konsekwencją było to, że na polu walki zaczęły pojawiać się oddziały zarówno niemieckiej, jak i polskiej straży pożarnej. Od dwóch dni w Śródmieściu mieszkańcy opowiadali sobie anegdotę, jak to niemieccy strażacy przez pomyłkę wjechali beczkowitzem w środek polskich pozycji, rozwinęli sprzęt i ku osłupieniu

wszystkich walczących zaczęli gasić kamienice dopiero co podpalone przez esesmanów. Ponoć lali wodę tak od serca, że omal się nie potopili ukryci w piwnicy palącego się budynku żołnierze batalionu „Chrobry”.

Polskiemu sierżantowi, w cywilu strażakowi, zrobiło się żal kolegów po fachu, więc poszedł ich ostrzec. Doszło do przekomicznej sytuacji, kiedy to do pracujących strażaków przybiegł również z pretensjami szwabski żołnierz. Wąsaty niemiecki strażak wysłuchał ich obu, po czym posłał do diabła i dalej gasił pożar, póki mu się woda nie skończyła.

- Wojna... - Porucznik uśmiechnął się do swoich wspomnień.

Skrecając w ulicę Podwale, zobaczył coś zadziwiającego. W gruzach zniszczonego domu jakiś człowiek klęczał przy leżącym w dole bojlerze i zawzięcie przy nim dłubał. Mężczyzna dojrzał porucznika i skinął mu ręką.

- Pomoże mi pan? - wskazał bojler.

Z kącika ust nieznajomego wystawał kawałek ogryzionego patyka. Na jego głowie leżała zawadiacko przekręcona niemiecka furażerka pozbawiona jakichkolwiek emblematów

Porucznik podszedł zdziwiony, przyglądając się uważnie mężczyźnie w starej wytartej kurtce wojskowej. Śpiewny, nietypowy akcent nieznajomego wskazywał na Żyda. Nowakowski przez pięć lat okupacji odwykł od słuchania tej mowy. Za bojlerem zobaczył skrzynkę z pustymi stoikami i puszkami.

- Nie bardzo wiem, w czym... - Rozłożył bezradnie ręce. Nie miał najmniejszej ochoty dać się rozstrzelać za szaber.

- Nie mogę tej francy otworzyć. - Żyd popukał w stal.

Nowakowski przyjrzał się uważniej cylindrycznemu kształtowi. To, co wcześniej wziął za bojler, okazało się ogromnym niewybuchem o średnicy ponad pół metra.

- Jezus Maria! Zgłupiał pan czy co? - Porucznikowi momentalnie gardło wyschło na wiór. - Wezwij pan saperów. - Ze złością pomyślał, że ładnie się zaczyna ten jego urlop.

Patyczek przewędrował z jednego kącika ust w drugi.

- Ja jestem saperem. Sierżant Dawid Bauman. - Wyciągnął rękę na powitanie. - Proszę się nie bać. Skoro wcześniej nie wybuchło, kiedy powinno, to tym bardziej teraz tego nie zrobi - dodał z uśmiechem, kopiąc lekko pocisk.

- Andrzej Nowakowski. - Porucznikowi zaczynał podobać się ten człowiek, postanowił jednak nie peszyć go swoją rangą. Ostatnie, czego potrzebował, to podenerwowany, koszerny saper. - Co to właściwie jest? Bomba lotnicza?

Sierżant znowu pochylił się nad niewybuchem.

- Raczej nie. Powiedziałbym, że pocisk artyleryjski, tyle że duży i nietypowy. - Złapał za czubek niewybuchu i próbował nim poruszyć. - Stawiałbym na pierońsko wielki moździerz. Spadło to gówno z nieba dziś rano z takim przeciągłym wyciem, jakby sam dybuk wrzeszczał.

Porucznik starał się wyobrazić sobie armatę zdolną do miotania tak wielkich pocisków. Nie dał rady.

- Co mam zrobić? - Stał nad nim w rozkroku.

- Proszę go przytrzymać, a ja spróbuję rozkręcić skurczybyka. Szkoda, żeby się tyle prochu zmarnowało. A tak sprzedamy go Niemiaszkom. Nie ma to jak dobry geszeft. - Uśmiechnął się paskudnie na samą myśl.

Przez moment siłowali się z pociskiem, postępując na zmianę z wysiłku. Gdzieś w oddali rozległa się potężna eksplozja, zaraz po niej następna. Jak na komendę odskoczyli od niewybuchu.

- Co to było? - Porucznik nerwowo przetarł ręce. - Znowu ten super moździerz?

Bauman popatrzył na unoszące się nad Nowym Miastem chmury dymu.

- Nie było słyhać świstu - ocenił tonem fachowca. - Poza tym były dwa wybuchy, a Fryce mają tu tylko jedną taką maszynkę. Najpewniej wysadzali barykadę albo dom goliatami. Już wczoraj próbowali, ale przeciąłem im kable. No - splunął w ręce i znowu pochylił się nad pociskiem - my tu gadamy po próżnicy, a czas ucieka. W końcu, jak napisano w Świętej Księdze, kilkaset kilogramów materiału wybuchowego piechotą nie chodzi.

Zgodnie wrócili do zbożnego dzieła zwrotu Niemcom ich własności.

- Skąd pan tu, na Starówce? - Nowakowski, żeby nie myśleć o rozbrajanej bombie, postanowił zagadać. - Z getta?

- Panie, z jakiego getta? - Bauman obruszył się. - Jak każdy zobaczy Żyda w Warszawie, to od razu myśli, że uciekinier z getta. Albo co gorsza, że komunista. Ze zgrupowania „Ryżego” z Kampinosu jestem. Mam smykałkę do wszelkiego wybuchającego świństwa, więc przerwili mnie do Śródmieścia jeszcze przed Powstaniem. Panie, ile było z tym zachodu, szkoda gadać. Pierwszy raz Żyda przemycali do Warszawy, a nie odwrotnie. Nie noszę oznaczeń wojskowych, bo snajperzy zawzięcie strzelają do naszych saperów. A tak pomyślą sobie, że jestem zwykłym szabrownikiem. - Delikatnie zaczął rozkręcać spód pocisku. - Wcześniej trzy lata w lesie pod Płockiem spędziłem. To były czasy. Dwanaście, nie, czternaście transportów im wysadziliśmy, w tym jeden pociąg pancerny. Ale się wtedy, swoją drogą, szkopy wkurzyły, jakby zresztą było o co. Cztery wielkie oblawy przetrwaliśmy, małych to już nawet nie liczę. No, po prawdzie, to od jesieni zeszłego roku przestali na nas polować. To znaczy po tym, jak im w odwecie posterunek żandarmerii w Słupnie spaliliśmy. Razem z obsługą w środku, ma się rozumieć. - Westchnął ciężko. - Na początku kilku gojów, znaczy waszych wsioków, furkało na Żyda w oddziale, ale zaraz załatwiłem sprawę po wojskowemu.

- Jak?

Saper spojrzał na niego zdziwiony.

- Co pan w wojsku nie był? Normalnie. Obiłem mordy, jak mnie tego jeden sierżant od musztry w Toruniu jeszcze przed wojną nauczył. Bo wie pan, ja z Pomorza jestem. - Bauman rozgadał się na dobre, co nie przeszkadzało mu sprawnie demontować niewybuch. - W trzydziestym dziewiątym most w Tczewie minowałem i wysadzałem. Ale się niemiaszki wtedy wściekały. Jeszcze w obozie szukali saperów z naszego oddziału, że niby pogratulować bohaterstwa chcieli. - Wyjął patyk na moment z ust i splunął z pogardą obok pocisku. - Myśleli, że ja co, głupi Żyd jestem? Wszyscy wiedzieli, że fryce ślali do piachu tych, co im najmocniej dokuczyli. Potem w obozie zaczęła się oblawa na Żydów, więc prysnąłem razem z kilkoma chłopakami do lasu. Jeden wachman, Ślązak zresztą, nam pomógł. Co więcej, zwał razem z nami. W czterdziestym drugim go dorwali i powiesili. Że niby za zdradę - dokończył melancholijnie, po czym stęknął z wysiłku, odkręcając podstawę. - No dobrze. Co my tu mamy? Może pan to potrzymać? - podał Nowakowskiemu część pocisku. - A teraz wyjmiemy z tego klamota zapalnik...

Jeszcze wieczorem, wracając do oddziału, porucznik uśmiechał się pod nosem na wspomnienie spotkania z żydowskim saperem. Szczególną radością napawała go myśl o rychłym zwrocie kilkuset kilogramów prochu Niemcom. Bo czy Święta Księga, nie mówi: „Błogosławiony ten, kto oddaje, co znalazł...”.

19 sierpnia, północne Śródmieście

Zmierzchało już, więc walki powoli cichły w całym mieście. Na poranej pociskami ulicy Wspólnej płakało porzucone niemowlę. Obok niego leżało trzech martwych powstańców w mundurach Luftwaffe z biało-czerwonymi opaskami, jedna wykrwawiająca się polska sanitariuszka oraz dwóch żołnierzy obrony przeciwlotniczej Luftwaffe.

Ukryty w kamienicy SS-Scharführer Otto Holster pogłaskał kolbę mauzera. Jakie to proste polowanko, pomyślał z uznaniem o swoim pomysłe.

Wystarczyło pozostawić beczącego szczeniaka na ulicy i czekać na tych, którzy po niego przyjdą. Przez moment dwóch żołnierzy z obrony przeciwlotniczej próbowało mu zepsuć rozrywkę, ale skutecznie im to wyperswadował. Zabawa była tak przednia, że nie chciało mu się nawet zmieniać pozycji. Jego rozmyślania na temat Safari Warschau przerwał zgrzyt metalu. Zaciekawiony wystawił głowę znad parapetu. Tak, wzrok go nie mylił. Właz kanalizacyjny obok dzieciaka wyraźnie się poruszał.

- Spryciarze - pomyślał z uczuciem, jednocześnie przyjmując pozycję strzelecką.

Właz w końcu został wypchnięty i z hukiem odturlał się na bok, lecz zamiast ludzkiej głowy esesman zobaczył coś, co wyglądało jak gadzi łeb z finezyjnym czubem. Stwór rozejrzał się szybko, mocniej wystawił krótki pysk z kanału i zasyczał cicho. Jego oczy rozbłysły czerwienią na widok dziecka.

Holster nie pociągnął za spust. Nie zawołał również kolegów na pomoc. W ogóle się nie poruszył. Po prostu замуrowało go z wrażenia.

Jaszczur przez chwilę wpatrywał się w płaczącego brzdąca czerwonymi ślepiami, po czym szybkim ruchem złapał go jęzorem za nogę. Nieśpiesznie przyciągnął dziecko do siebie, po czym razem z łupem znikł w kanale. W tym momencie SS-Scharführer Otto Holster zrobił dwie rzeczy, których nie robił, odkąd skończył dwunasty rok życia. Przeżegnał się i zsiakał w spodnie.

20 sierpnia, Okęcie

Drzwi gabinetu SS-Standartenführera Haydricha otworzyły się z hukiem. Do środka równym krokiem wmaszerowało dwóch oficerów SS w mundurach wyjściowych i jeden w pogniecionym mundurze tropikalnym. Za nimi biegł sierżant Wolf, nerwowo tłumacząc, że pułkownik jest zajęty rozmową telefoniczną z generałem von dem Bachem. Oficerowie kompletnie zignorowali sierżanta i podszli do biurka. Prawie równocześnie stanęli na baczność i zaszalutowali jak na defiladzie.

- Heil Hitler!

Pułkownik zamarł z ręką pod spódnicą sekretarki Helgi, siedzącej w tym momencie na jego biurku, i popatrzył wściekle na intruzów.

- Co to ma, do cholery, znaczyć? - Jego złość za przerwanie zabawy z sekretarką pogłębił fakt, iż żaden z intruzów nie był nawet umówiony.

Szybko przebiegł wzrokiem po pagonach niezapowiedzianych gości. Jeden wysoki, szczupły, starszy SS-Sturmbannführer i dwóch SS-Hauptsturmführerów. Był pewien, że żadnego z nich wcześniej nie widział.

Nie odwzajemnił salutu. Wolno wstał, nadal błędząc lewą ręką po prowokująco odsłoniętym kolanie Helgi. Żaden z kapitanów nie zareagował, po prostu zastygli z wyciągniętymi w salucie rękoma, patrząc gdzieś w dal. Major za to płynnym ruchem, przechodząc prawą ręką z salutu, wyszarpnął spod pachy jakieś papiery i trzasnął nimi o biurko.

- Cizia, won - wycedził krótko.

Jeden z kapitanów podszedł szybko, pomagając sekretarce opuścić pokój. Drugi kapitan, ten w mundurze tropikalnym, wywalił za drzwi oniemiałego sierżanta.

Pułkownik zerknął pobieżnie na rzuconą mu teczkę i poblądł lekko. Pieczętki z samego Berlina. Cholera, czym mógł podpaść właśnie teraz? W myślach zaczął robić rachunek sumienia. Przez głowę przechodziły mu różne szwindle, którymi ostatnio się zajmował. O co mogło chodzić? Defraudacja kasy korpusu SS von dem Bacha? Kontrabanda ze Szwecji? A może rabunek dzieł sztuki z Warszawy lub sprzedaż broni prawicowej partyzantce polskiej?

Na czym wpadł? Oczywiście wiedział, że nie mogło chodzić o rzeź Warszawy, w tym względzie wykonywał ściśle zalecenia Berlina. Jedynie rzadko i prawie wyłącznie na pokaz dodawał coś od siebie. Jak na przykład spalenie żywcem stu rannych cywilów na Pradze dwa dni temu.

Trzęsącymi się rękami złapał rzucone akta i zaczął je wertować. Już po drugiej kartce zamarł. O cholera, pomyślał ze zdziwieniem.

To były te meldunki, które dwa dni temu w panice ślali do Berlina o krokodylu w warszawskich kanałach. O co tu chodziło?

Położył akta i spojrzął na nieproszonych gości. Wysoki major w tym czasie wygodnie rozsiadł się w fotelu, zdjął czapkę i podał ją jednemu ze stojących za nim kapitanów. Pułkownik dojrzał, że wszyscy trzej mieli na rękawach owalną oznakę z mieczem skierowanym ostrzem w dół oplecionym wstęgą. Krawędź emblematu pokrywały runy^[16]. Pułkownik nigdy nie widział takiego symbolu SS.

Uważniej przyjrzał się nieproszonym gościom. Ten z prawej wyglądał na typowego mola książkowego. Niski, grubawy, mocno przygarbiony i ciągle mrużący oczy jak krótkowidz. Błada cera wskazywała, że więcej czasu spędzał w pomieszczeniach niż w terenie. Biurokrata lub naukowiec. Jego całkowitym przeciwieństwem był drugi kapitan w mundurze tropikalnym. Mocno opalony brunet, dobrze zbudowany, bez grama zbędnego tłuszczu. Widać było, że rozpiera go energia i wola działania. Ktoś taki nie mógł siedzieć za biurkiem, za to łatwo można go było sobie wyobrazić na polu walki. I to w Afryce Północnej, jeśli weźmie się pod uwagę opaleniznę i nietypowy mundur jak na warunki warszawskie.

No i wreszcie tajemniczy major SS. Totalna zagadka. Wygląd zwykłego cywila, rażąco kontrastujący z wojskowym uniformem. Tylko te niepokojące oczy, w których można było dostrzec dziwny upór graniczący z fanatyzmem. I ta pewność siebie.

- Skoro jesteśmy już sami, czas na małą prezentację. Jestem SS-Sturmbannführer doktor Peter Paulsen. - Major pochylił się ku biurku i ściszył głos. - Przybywam prosto z Wewelsburga za zgodą Reichsführera. Berlin zaciekały pogłoski o warszawskich zwierzakach, więc polecono mi zbadać tę sprawę. To z mojego polecenia dzwoniono do pana kilka dni temu.

Słyszając nazwę Wewelsburg, pułkownik jakby zapadł się w krzesło. Legendarna główna kwatera SS i w dodatku naukowiec w mundurze Sturmbannführera. Tylko jedno przychodziło pułkownikowi do głowy - instytut naukowy SS Forschungs und Lehrgemeinschaft das Ahnenerbe. To tłumaczyło pewność siebie i arogancję gości. Haydrich spojrział prosto w stalowe oczy Paulsena i błyskawicznie zrozumiał, że obecność tego człowieka oznacza gigantyczne kłopoty.

- Ależ oczywiście, panie doktorze. - Rozmyślnie użył tytułu naukowego. Jakoś nieswojo mu było płaszczyć się przed kimś niższym rangą. - Jestem gotów do współpracy. - Na zgodę poczęstował gości cygarami.

Tylko major po nie sięgnął.

- Obawiam się, że współpraca to nie wszystko. - Podniósł się z fotela i podszedł do rozłożonej na ścianie mapy Warszawy. Przez chwilę pocierał palcami cygaro, rozkoszując się szelestem liści tytoniu, po czym schował je do kieszeni. - W zakresie prowadzonego przeze mnie dochodzenia jest pan zobligowany do całkowitego podporządkowania się moim rozkazom. Czy to jasne?

Twarz pułkownika już niczego nie wyrażała.

- Tak jest. Nie rozumiem tylko, dlaczego do mnie się pan z tym zwraca. Ja tylko zarządzam tutejszą intendenturą. Z pewnością w tak ważnej misji jak pańska bardziej byłoby wskazane zwrócenie się do wyżej postawionych person... - Zawiesił głos dla lepszego efektu.

- SS-Obergruppenführer Ernst Kaltenbrunner osobiście pana polecił. Stwierdził, że jeżeli ktoś w tym burdelu jest w stanie coś załatwić, to właśnie pan.

Słyszając nazwisko szefa SD, Haydrich jeszcze bardziej się zasepił. Nie był pewien, czy w tej sytuacji polecenie go przez Kaltenbrunnera było komplementem. Nasuwało to pewne podejrzenia. Po pierwsze, siedzący przed nim major Paulsen ze swoimi pełnomocnictwami miał niewątpliwie priorytet w korzystaniu z zaopatrzenia i pomocy wojskowej. Skoro mimo to zwracał się do niego, łatwo się domyślić, że owo „coś załatwić” będzie oznaczało „trudno dostępną, nielegalną i drogą jak jasna cholera rzecz”. W dodatku dostarczoną natychmiast i za darmo. Co gorsza, rekomendacja szefa SD wskazywała, że kierownictwo SS jest w pełni świadome jego przekrętów. A to z kolei oznacza podział zysków z górą. Ale syf.

- Jestem do pańskiej dyspozycji, doktorze Paulsen - rzucił zrezygowany.

Zadowolony z odpowiedzi major stuknął palcami w mapę, na której każdego dnia nanoszono uaktualnione informacje z miasta.

- Proszę o przydzielenie nam dużego gabinetu w tym budynku oraz takiej samej mapy, tyle że uaktualnianej co godzinę. Moi współpracownicy - wskazał na milczących dotąd kapitanów - zajmą się analizą wszelkich raportów o wszystkich gadach na terenie Warszawy. Ponadto przydzielili mi pan dwudziestoosobową grupę szturmową SS, ewentualnie może być Wehrmacht. Wszystko ma być gotowe - popatrzył na zegarek - za dwie i pół godziny. Czy wszystko jasne?

20 sierpnia, północne Śródmieście

Ciepłe sierpniowe słońce rozleniwiło sierżanta Bauca. Korzystając z otaczającej go ciszy, oparł się wygodnie o stertę gruzów ze zbombardowanej kamienicy i zamyślił się głęboko. Wyczuwał sporą dozę ironii w swojej obecnej sytuacji. Gdyby ktoś przed wojną powiedział, że on, Adolf „Gładki” Bauc, będzie podoficerem polskiej armii podziemnej, pierwszy by go wyśmiał. Zsunął niemiecki hełm z biało-czerwoną opaską głęboko na czoło i przymknął oczy. Pod wpływem przyjemnego ciepła promieni słonecznych pogrążył się we wspomnieniach.

Jak to się stało, że z kosmopolitycznego właściciela znanego klubu nocnego stał się polskim „patriotą”? Pamiętał jak dziś ostatnie dni września 1939 roku, kiedy to do Warszawy wkraczały pierwsze niemieckie oddziały. Uspokajał wszystkie swoje „pracownice”, że interes nadal będzie się kręcił jak przed wojną. W końcu Niemiec też człowiek i swoje potrzeby ma.

Z rozmachem przerzucił się na niemieckojęzyczną klientelę, zanim reszta warszawskich burdeli w ogóle zaczęła rozważać taką możliwość. Znając germańskie zamiłowanie do porządku, podzielił dziewczyny na sekcje do obsługi żołnierzy i oficerów. Nawet wymusił na nich naukę języka niemieckiego. Przynajmniej na tyle, żeby mogły dogadać się z nowymi klientami.

Przez twarz eksgangstera przebiegł uśmiezek. Opłaciło się to po stokroć. Już po miesiącu miał takie dochody, o których w wolnej Polsce mógł tylko pomarzyć. Nic jednak nie trwa wiecznie. Z niechęcią wspominał chłodny kwietniowy poranek 1940 roku, kiedy do jego gabinetu zawitał porucznik Mierosławski z tą jego „propozycją nie do odrzucenia”. Kula w łeb za kolaborację albo oddawanie drobnych usług wywiadowczych ojczyźnie. Wywiad polski chciał wiedzieć jak najwięcej, o czym po seksie szepczą niemieccy żołnierze i oficerowie. Ku zdziwieniu Bauca wszystkie jego pracownice bez obiekcji, za to z dużym entuzjazmem podjęły się „pracy wywiadowczej”. Nigdy by nie przypuszczał, że w warszawskich prostytutkach drzemią takie pokłady patriotyzmu.

Dalej poszło już z górki. Oddawanie małej części zarobionej kasy do kwatermistrzostwa, przekupywanie lokalnych niemieckich oficjeli, szantaż czy zarażanie chorobami wenerycznymi wskazanych przez AK notabli. Zanim się zorientował, siedział po uszy w gównie i konspiracji.

A potem przyczepiło się to zasrane SS. Najpierw ten nawalony jak stodoła porucznik SS, jak mu tam było... Johan Mayer z Hamburga. Gdy tylko wchodził do klubu, Bauca tknęło dziwne przecucie. Nie podobał mu się ten błysk w oczach esesmana, kiedy wybierał do zabawy Krystynę i Weronikę. I te przeraźliwe krzyki obu dziewczyn dobiegające z pokoju. Razem z Frankiem i Józkiem, ochroniarzami lokalu, bez wahania wyłamali drzwi tylko po to, by znaleźć się w środku krwawego horroru. Krystyna leżała na łóżku naga, z rozciętym brzuchem. W kącie pokoju klęczała Weronika, również naga i cała we krwi. Jej twarz, piersi i uda znaczyły głębokie cięcia. Esesman z pijackim okrzykiem, zakrwawiony, w samej bieliźnie, rzucił się na nich z nożem.

Nigdy wcześniej ani później Bauc nie zabił nikogo z taką satysfakcją i rozkoszą. Do dziś miał przed oczami wyraz twarzy Niemca, który powtarzał jak katarynka: „to tylko dziwki”, gdy wolno podcinał mu gardło. Trupa zawinęli w dywan i nocą zakopali w piwnicy.

Tydzień później gestapo zrobiło nalot na lokal. Do dziś nie dowiedział się, kto go sypnął. Któraś z dziewczyn za parę nowych francuskich pończoch? Jakiś niezadowolony klient, który powiązał „incydent” z zaginięciem porucznika Mayera? Czy może któryś z ochroniarzy za kilka butelek gorzałki?

Trzy dni go torturowali, zanim się przyznał do zabicia Mayera. Marną pociechą było dla niego, że utrzymał w tajemnicy rolę, którą odegrał lokal w konspiracji. Był tak zbity, że nie mógł chodzić.

Ku jego zdziwieniu nie rozstrzelali go jednak za zabójstwo oficera SS. Zamiast tego obmyli go, dali ciepły posiłek i zaprowadzili do gabinetu, gdzie poznał swoje nemezis. Pułkownika SS Haydricha. Esesman był bardzo wyrozumiały co do okoliczności zabicia Mayera. Z tym swoim uprzejmym uśmiechem wyjaśnił, że Mayer, zanim wstąpił do SS, był poszukiwany za zabójstwa co najmniej trzech kobiet lekkich obyczajów w Hamburgu. Nikt więc w Rzeszy nie będzie za nim tęsknił. Niemniej był członkiem SS, a to powodowało spore komplikacje. Komplikacje, które kosztowały Bauca połowę dochodów klubu. I to zarówno tych legalnych, jak i ukrytych. Choć był na łasce Haydricha, Bauc musiał przyznać, że Niemiec okazał się prawdziwym człowiekiem interesu. Zapewnił klubowi dyskretną opiekę SS i poszerzył klientelę o esesmanów. W zamian, oprócz oczywiście pieniędzy, zażądał... informacji na temat niedyskrecji popełnianych przez niemieckich oficerów obu formacji. Tak więc Bauc, chcąc nie chcąc, musiał wszystkie meldunki pisać w dwóch kopiach, jedno dla AK,

drugie dla SS. Cieszył się, że przynajmniej dochodów nie musiał dzielić w taki sposób. Cała polska armia podziemna nie była tak chciwa jak ten skurwiel z SS.

Ten dziwny taniec na linie skończył się 1 lutego 1944 roku, kiedy to podchorąży „Lot” władował kilka kul w dowódcę SS i policji na dystrykt warszawski, SS-Brigadeführera Franza Kutscherę. Informacja umożliwiająca zamach wypłynęła z lokalu Bauca i tego Haydrich nie mógł mu wybaczyć. Przepadł klub, pieniądze i interesy. Dziewczyny zostały wywiezione do obozu koncentracyjnego, a Franek i Józek razem z setką innych ludzi trafili pod ścianę w rewanżu za śmierć generała SS. Sam Bauc, ratując się przed zemstą swojego eks współnika, uciekł do Kampinosu, gdzie został partyzantem.

Dwa dni przez wybuchem Powstania wrócił do miasta. Już jako sierżant i warszawiak znający miasto jak własną kieszeń został przerzucony do Śródmieścia. Prościuteńko w środek przyszłej rzezi, która na dobrą sprawę niewiele go obchodziła. Obecnie jego jedyną drobną radością życia był fakt, że wśród podkomendnych było dwóch dezertersów z granatowej policji, którzy jeszcze przed wojną brali udział w nalotach na jego klub.

Ironia losu.

Rozmyślenia sierżanta przerwał odgłos toczących się nieopodal kamieni. Przez chwilę wydawało mu się, że usłyszał też coś jakby... syczenie. Powolnym ruchem zsunął hełm na tył głowy i rozejrzał się dookoła. Ulica, jeśli nie liczyć trupów, była pusta. Już chciał zignorować dziwny dźwięk, gdy syknięcie powtórzyło się. Było teraz trochę głośniejsze, dzięki czemu mógł określić miejsce, z którego dochodziło. Przysiadł zdziwiony i rozejrzał się za swoim karabinem.

Wyglądało na to, że tajemnicze syki dobiegały z krateru po pocisku artyleryjskim na środku ulicy jakieś trzydzieści metrów od niego. Pocisk przebił powierzchnię ulicy i odsłonił fragment kanału ściekowego.

Sierżant sięgał właśnie po mauzera, gdy z dziury wynurzył się łeb dziwnego stwora. Jaszczur wychylił się do połowy i znieruchomiał zaskoczony widokiem siedzącego nieopodal człowieka.

Bauc nie stracił zimnej krwi. Nigdy w życiu nie widział krokodyla, ale wiele o nich słyszał, był więc święcie przekonany, że ma przed sobą przedstawiciela tego gatunku.

Wolno, by nie prowokować zwierzęcia gwałtownymi ruchami, sięgnął nie po karabin, lecz leżący obok pancerfaust. Zwierz wydał mu się na tyle duży, że wątpił, by zwykła kula mogła go powstrzymać. Delikatnie podniósł granatnik przeciwpancerny i oparł o ramię. Nie zdążył jednak wycelować, gdy zwierz lekko się przygarbił i zasyczał ostrzegawczo. Obaj zastygli.

- Skąd ty, do jasnej cholery, się tu wzięłeś? - Przyjrzał się zaciekawiony jaszczurowi.

Zwierz nie wydawał się przestraszony widokiem uzbrojonego człowieka. Zamiast tego spiął się w gotowości do ataku lub ucieczki, w zależności od działań podjętych przez przeciwnika. Również Bauc nie kwapił się do strzelania z pancerfausta. Miał tylko jeden pocisk przeciwpancerny i obawiał się, że mógłby nie trafić w tak szybki i mały cel jak kilkumetrowej długości jaszczur. Próbował zmienić pozycję z siedzącej na klęczącą, ale jak tylko zaczął się ruszać, jaszczur gniewnie syknął. Sierżant zamarł więc w przysiadzie.

Nagle rozległ się przeciągły świst. Bauc wiedział z doświadczenia, co to znaczy. Niemiecka artyleria właśnie zaczynała ostrzał tego sektora. Zwierz jednak nie poruszył się, więc i sierżant tkwił w bezruchu. Pierwszy pocisk trafił w dach domu kilkadziesiąt metrów od nich. W powietrze poszybowały fragmenty czerwonej dachówki. Ani jaszczur, ani człowiek nie zareagowali na to, nadal wpatrując się w siebie nawzajem. Dopiero gdy drugi pocisk uderzył w dom dwadzieścia metrów od nich, zasypując wszystko białym pyłem, obaj gwałtownie się ruszyli. Jaszczur dał nura z powrotem do kanału, a Bauc z pancerfaustem pognął do kamienicy, gdzie kwaterował jego pluton. Nie zdążył jednak przebiec dziesięciu metrów, gdy w dom, do którego biegł, trafił pocisk artyleryjski.

Wokół Bauca zafurczały odłamki i fragmenty gruzu. Padł płasko na ziemię, odrzucając broń na bok. Z przerażeniem usłyszał, jak ogromna przedwojenna kamienica wali się z głuchym łoskotem, grzebiąc wszystkich w środku. Gdy tylko opadł kurz, podniósł głowę i spojrzał na rumowisko, po czym odwrócił głowę w kierunku leju po bombie, w którym wcześniej znikł jaszczur. Z ironią pomyślał, że gdyby ten zwierz nie przytrzymał go na ulicy, to leżałby teraz pod gruzami razem z resztą oddziału.

Słyszając świst kolejnych pocisków, poderwał się z ziemi, złapał pancierzownicę i pobiegł w poszukiwaniu kryjówki.

21 sierpnia, Stare Miasto

Sierżant Krajewski jeszcze raz oświetlił trzymaną w ręku mapę miasta i porównał ze szkicem kanałów. Na powierzchni nasilała się kanonada. Niestety, po klęsce w walkach o Dworzec Gdański i upadku Woli wyglądało na to, że wszystko sprzysięgło się przeciwko obrońcom tej starej dzielnicy. Fryce coraz mocniej nacierali na Stare Miasto, starając się oddzielić definitywnie Żoliborz od reszty Powstania. Niemcy panicznie bali się sił partyzanckich idących z Kampinosu do miasta i byli zdeterminowani odizolować Żoliborz za wszelką cenę.

Dowództwo AK powoli pogodziło się z myślą o utracie Starego Miasta. „Monter” wydał już rozkazy o przygotowaniu ewakuacji obrońców i ludności cywilnej do Śródmieścia. Główne trasy przerzutowe miały biec przez Krakowskie Przedmieście, ale przygotowywano się również do przemarszu kanałami. W tym celu zaczęto systematycznie spuszczać wodę z tych kanałów, które przewidywano jako trasy ewakuacyjne.

Jako że przed Powstaniem Krajewski pracował w Wodociągach i Kanalizacji, to jemu wyznaczono zadanie przetarcia przyszłego podziemnego szlaku ewakuacji i odpowiedniego oznaczenia go. I właśnie z tego powodu nieszczęsny sierżant stał teraz po kolana w ciemnej cuchnącej wodzie kanału biegnącego pod Krakowskim Przedmieściem i z mozołem analizował plany miasta oraz sieci wodno-kanalizacyjnej.

- W porządku... - Aż sapnął z wysiłku umysłowego. - W tym miejscu jest ulica Miodowa.

Otworzył puszkę z białą farbą i namazał wysoko na ścianie napis „Miodowa”. Dodatkowo narysował strzałkę wskazującą południową odnogę ścieku, określającą kierunek przyszłego marszu na Nowy Świat. Zamknął z powrotem puszkę z farbą i ruszył do odnogi zachodniej. Musiał w ten sposób oznaczyć większość kanałów na Starym Mieście, miał jednak cichą nadzieję, że do ewakuacji dzielnicy nie dojdzie, a jeśli już, to nie tą drogą. Nie wyobrażał sobie tłumy kobiet, dzieci i starców przedzierających się w wąskich i cuchnących korytarzach systemu ściekowego Warszawy. Kto wie? - pomyślał. Może Stare Miasto się utrzyma? Może zdążą nadejść Rosjanie, których huk dział już było słychać? Albo w Warszawie wyląduje w końcu długo wyczekiwana brygada spadochronowa generała Sosabowskiego? Syn generała,

porucznik Stanisław Sosabowski z batalionu „Parasol” ciągle powtarzał, że ojciec nie zawiedzie i nadejdzie z odsieczą.

Rozmyślenia sierżanta przerwał głośny chlupot i posykiwanie gdzieś przed nim. Wiedziony instynktem, natychmiast się zatrzymał, zgasił latarkę i zaczął pilnie nasłuchiwać. Chlupot się nasilał. Również syk stawał się coraz wyraźniejszy. Coś się zbliżało, i to szybko. Sierżant wolno i cicho zaczął się wycofywać. Ponownie doszedł do rozwidlenia kanału pod włazem ulicy Miodowej. Nikłe światło przedostawało się przez właz. Skręcił w najbliższą odnogę na lewo i zaczął się w ciemności. Odgłosy chlupotania stawały się coraz głośniejsze. Odbezpieczył stary rewolwer, pamiętający jeszcze czasy I wojny światowej, i nerwowo przełknął ślinę. Szczerze wątpił, żeby źródłem hałasu byli powstańcy czy nawet Niemcy. Słyszał krążące po dzielnicy pogłoski o jakimś stworze mordującym w kanałach. Jako doświadczony pracownik kanalizacyjny wiedział, że takie rzeczy się zdarzały. Czekał.

Z bocznego kanału wolno wynurzył się ogromny jaszczur. Przy rozgałęzieniu zatrzymał się. Świecące na czerwono ślepia rozgorzały w ciemnościach, kiedy stwór zaczął rozglądać się na boki. Krajewski nie był pewien, czy gad czasem nie węszy za nim, więc na wszelki wypadek mocniej przywarł do wilgotnej ściany. Przez moment wydawało mu się, że ta bestia z piekła rodem go zauważyła, gdyż wydała z siebie przeciągły syk.

Na szczęście okazało się, że stwór po prostu rozważał, którą wybrać drogę. Ten syk, który tak przeraził sierżanta, najwyraźniej oznaczał podjęcie decyzji. Gad ruszył dalej w kierunku południowym na Śródmieście. Krajewski dokładnie obejrzał stwora w nikłym świetle płynącym z włazu. Wysoki na prawie metr, korpus beczkowaty, długi na jakieś cztery, pięć metrów, masywny łeb, krótki pysk pełen długich i ostrych jak sztylety zębów. Na grzbiecie były szczątki grzebienia. Długi i giętki ogon. Krocząca groza. I jeszcze te płonące czerwienią ślepia. Sierżant siedział po ciemku, dopóki odgłosy brodzącego w wodzie jaszczura nie ucichły w oddali.

- W cholere z zadaniem - wyjąkał, rzucając się do włazu. - Słyszeć pogłoski to jedno, a zobaczyć na własne oczy to co innego.

Wspinając się po drabince, przysięgł sobie, że nic nie zaciągnie go z powrotem do kanałów, dopóki to diabelstwo tu żyje.

21 sierpnia, Żoliborz

Kilkunastoosobowa grupa szturmowa z pułku grenadierów 19 Dolnosaksońskiej Dywizji Pancerniej powoli przedzierała się starym rosyjskim tunelem cytadeli warszawskiej. Loch był dość wygodny: szeroki i suchy. Porucznik Werner jeszcze raz przyjrzał się pobrudzonej mapie. Porównał z kompasem i policzył odległość w pamięci. Wyglądało na to, że muszą przejść tym tunelem jeszcze sto metrów, a potem powinni skręcić w kanał biegnący na południowy wschód, żeby wyjść na tyły powstańczych pozycji na Żoliborzu. Zatęchły smród carskich podziemi stawał się coraz bardziej odczuwalny, jednak blask żelaznego krzyża na piersi wart był tego, by się trochę pomęczyć i przybrudzić. Grenadierzy przyspieszyli kroku, oświetlając drogę dwoma przenośnymi reflektorami oraz latarkami. Co chwila przystawali, nasłuchując odgłosów walki toczącej się kilka metrów nad nimi. W przeciwieństwie do rozgrywającego się tam szaleństwa, w tunelu panował spokój. Słysząc było niespieszne kroki żołnierzy i posapywanie tych, którzy nieśli ciężki sprzęt. Zanosilo się na mały spacerek i stertę medali.

Nagle latarka idącego z przodu grenadiera uchwyciła jakąś szczelinę w murze korytarza i leżącą obok stertę cegieł. Porucznik zatrzymał się zaskoczony i przyjrzał się wyłomowi. Nie był zbyt wysoki, za to dość szeroki i sprawiał wrażenie głębokiego. Jeszcze raz spojrzął na plan korytarza cytadeli.

- Dziwne... - Zaciekawiony stanął przy szczelinie. - Jeszcze dwa dni temu tego nie było.

Ostrożnie przykucnął i zerknął do środka, rozświetlając ciemności latarką. W nozdrza uderzył go mocny smród kanałów. Z zaskoczeniem stwierdził, że dziura ma zaledwie pół metra głębokości i dochodzi do warszawskiej sieci wodno-kanalizacyjnej.

- Ki diabeł? - Uważnie zlustrował krawędzie szczeliny.

Obok niego przykucnął sierżant Thorensen.

- Myśli pan, że to zrobili Polacy? - Zsunął hełm na tył głowy i przetarł czoło.

Słyszając to, reszta żołnierzy poczuła się nieswojo. Zaczęli się rozglądać nerwowo dookoła, jakby spodziewali się, że z cienia wyskoczy sam diabeł z biało-czerwoną opaską na ramieniu. Porucznik przyjrzał się uważnie pokruszonej ścianie, potem resztkom cegieł leżącym na korytarzu.

- Mur sam się nie zawalił, to pewne. Wygląda, jakby ktoś przebił się do korytarza od zewnątrz, z kanałów. - Na moment jego twarz wykrzywił ponury grymas, gdy przyglądał się bliżej krawędziom szczeliny. Były dziwnie wyslizgane, jakby ktoś je ścierał. - Pojęcia nie mam, jak ten ktoś wiedział, gdzie kuć. I do tego ten dziwny kształt otworu. Dlaczego kuć ścianę tak nisko?

- Tak, dziwne - skwapliwie przytaknął Thorensen oficerowi, choć w gruncie rzeczy było mu to obojętne. Dziura to dziura, nieważne jaka.

- Ruszamy dalej - zdecydował wreszcie Werner. - Od tej pory zachować ostrożność.

Po kilkunastu metrach trafili na identyczny wyłom, tyle że na lewej ścianie tunelu. Tym razem sierżant sam na czworakach zajrzał do środka.

- Znów kanały. - Jego głos zadudnił w wąskim korytarzyku.

Powoli wycofał się tyłem i przyjrzał ścianie korytarza obok szczeliny. Mur w tym miejscu był mocno porysowany, jakby ktoś lekko uderzał kilofem. Nie, nie kilofem, raczej grabiami, poprawił się sierżant w myślach, patrząc na symetryczne rysy na murze.

- I co? - dobiegło go z tyłu pytanie porucznika.

Thorensen wstał z klęczek i otrzepał się.

- Tym razem ktoś przebijał się z tej strony podziemi. - Delikatnie dotknął rys na murze. - I nie jestem pewien, czy to był ktoś. Dla mnie to wygląda na ślady po pazurach. - Dla efektu przejechał palcami po płytkich rowkach. - Fritz, poświećcie tu - zwrócił się do jednego z żołnierzy niosących duże przenośne reflektory.

- Ta. Pewnie to była gigantyczna polska mysz bojowa. Wyhodowana i wyszkolona przez powstańców do walki z nami. - Szeregowy Krantz wyjątkowo się nudził tą sprawą i miał ochotę na prawdziwą akcję. Taką z dużą ilością zabitych Polaków i stertą Żelaznych Krzyży.

Porucznik i sierżant uważnie przyjrzeni się rysom na ścianie, a potem popatrzyli na siebie.

- Cokolwiek to było, już sobie poszło - zdecydował Werner. - Ruszamy.

Cała kolumna rozprawiała jeszcze szeptem o dziwnych korytarzykach, gdy nastąpił atak. Mijali właśnie kilka starych skrzyń leżących przy ścianie, gdy ogromny ciemnozielony

jaszczur wskoczył na idącego w środku grupy porucznika. Szczęki zacisnęły się na szyi oficera, zanim zrozumiał, co się dzieje. Błyskawiczny skręt mocarnego pyska i Werner zwałił się w drgawkach ze skręconym karkiem.

Idący za porucznikiem żołnierze oniemieli z zaskoczenia i grozy. Zanim ciało upadło na ziemię, gad skoczył na dwóch następnych, którzy szli z przodu kolumny. Przeskoczył obok żołnierza niosącego jeden z przenośnych reflektorów, celując pyskiem w idącego przed nim wysokiego kaprala. W locie, niejako przy okazji, uderzył szeregowego Fritza pazurami w kark. Żołnierz upadł na podłogę z niemal odciętą głową. Reflektor wypadł z jego martwych dłoni, potoczył się po kamiennej posadzce i wyłączył się. Kapral Fredrich z krzykiem przewrócił się na brzuch przyciśnięty przez jaszczura, który spadł mu na plecy. Impet uderzenia o podłogę był tak silny, że kapral zgubił hełm. Szczęki błyskawicznie zacisnęły się na jego czaszce. Nawet nie zauważył, co go zabiło. W tunelu zrobiło się ciemniej.

Ostatni z żołnierzy idących na czele kolumny obrócił się błyskawicznie, jednocześnie zdejmując z ramienia MG-42. W panującym półmroku Krantz dostrzegł kontury ogromnej bestii odgryzającej głowę leżącego na ziemi żołnierza. Nawet nie celując, wystrzelił długą serię w kierunku potwora. Zaskoczenie wywołane niesamowitym widokiem atakującego jaszczura spowodowało jednak, że źle przyjął pozycję do strzału z ciężkiego karabinu maszynowego, skutkiem czego po pierwszych strzałach lufa poszła w górę. Tylko pierwsze pociski trafiły w korpus bestii. Reszta serii bezpośrednio i rykoszetami skosiła dwóch zaskoczonych szturmowców, lekko zraniła sierżanta Thorensena w prawie ramię i zniszczyła ostatni reflektor. Co gorsza, rykoszety, odłupując kawałki cegieł i zaprawy, wzbily w powietrzu chmurę kurzu i pyłu. Groza, którą sami z takim znanstwem Niemcy lubili wywoływać, teraz stała się ich udziałem. W słabym świetle podręcznych latarek, dodatkowo przytłumionym unoszącym się wszędzie pyłem, nie byli w stanie dojrzeć atakującego przeciwnika. Wydawało im się, że to sama ciemność ich pożera. Trafiony w podbrzusze potwór zawył wściekle. Wąska przestrzeń rozbrzmiała głośnym rykiem, dodatkowo dezorientując Niemców. Obracając się w miejscu, jaszczur zmiażdżył łapą głowę martwego porucznika, jakby chciał się upewnić, że ten przeciwnik nic już mu nie robi. Szybko rozejrzał się, oceniając kolejne źródła zagrożeń i potencjalnych celów. Ciemność była jego naturalnym środowiskiem i sprzymierzeńcem. Bez wahania wpadł w skupisko pokastujących w chmurze pyłu żołnierzy, którzy szli na końcu kolumny, kłusując i drapiąc niemal na oślep w panującym półmroku. Zanim opadł pył, większość z Niemców leżała martwa lub umierająca.

Kapral Ascher nie należał do najodważniejszych ludzi w oddziale, ale nigdy nie brakowało mu sprytu. Gdy potwór rzucił się na nich, zasłonił się karabinem MG-42. Uderzenie długiego wąskiego ogona, które miało mu połamać zębra, wygięło jedynie lufę, jego zaś rzuciło w głąb tunelu. Szybko się pozbierał, cisnął precz bezużyteczną broń i ocenił wzrokiem sytuację. Olbrzymi jaszczur, najwyraźniej wściekły z powodu postrzału, w furii rozrywał na strzępy niemieckich żołnierzy, zarówno żywych, jak i martwych. Wydawał przy tym z siebie tak przeraźliwy skrzek, że Ascher musiał zasłaniać uszy. Sklepienie kanału zwielokrotniało wrzaski potwora. Pojedyncze snopy światła rzucane przez leżące wszędzie latarki zabitych żołnierzy nadawały rozgrywającej się w tunelu walce pozory nierealności przemieszanej z grozą.

- Pies srał medale - błyskawicznie zdecydował kapral i pomknął jak strzała w kierunku, z którego przyszli.

Gad w tym czasie uporał się z większością oddziału szturmowego. Jeszcze tylko przyparty do ściany Thorensen rozpaczliwie walczył o życie, parując karabinem ciosy ogona, którym jaszczur mierzył w głowę. Sierżant nie miał jednak złudzeń co do wyniku walki w tych porażających ciemnościach z nadludzko silnym przeciwnikiem.

- Światła, do cholery! - ryknął w kierunku, gdzie, jak sądził, powinny znajdować się resztki jego oddziału. - Dawać tu światło.

Jedynie szeregowy Muller usłyszał wołanie o pomoc swojego przełożonego. Rzucił się na podłogę, szukając po omacku reflektora upuszczonego przez szeregowego Fritza na początku ataku. Nagle poczuł pod palcami znajomy kształt obręczy reflektora. Nie zdążył go jednak podnieść, gdyż na jego rękę stanęła łapa jaszczura, a tuż przy twarzy rozbłysły dwa czerwone ślepia. Zdążył tylko krótko krzyknąć, gdy ogromne szczęki zacisnęły się na jego czaszce. Rozległ się obrzydliwy chrupot i młaśnięcie, gdy głowa Niemca pękła jak dojrzały arbuż, spryskując posadzkę fragmentami mózgu. Martwe palce w przedśmiertelnej konwulsji zacisnęły się na reflektorze, włączając go. Silne światło rozproszyło mrok tunelu, oślepiając stojącego obok sierżanta Thorensena. Korzystając z tego, gad mocniej uderzył ogonem, celując w pierś nieszczęśnika. Sierżant nie zdążył się zasłonić. Ogon jaszczura, zakończony czterema dużymi łuskami zrosniętymi ze sobą i tworzącymi masywny szpic, wbił się w jego pierś. Zwierzę przybiło go do ściany. Sierżant z osłupieniem patrzył na wystający z jego piersi ogon, po czym zacharczał krwią i znieruchomiał. Karabin wyślizgnął się z martwej ręki. Jaszczur szarpnął się mocno, wyrywając ogon z ciała Niemca.

Gad rozejrzał się dookoła i ryknął tryumfalnie.

Na placu boju pozostał tylko szeregowy Krantz, sprawca jego bólu. Czerwone ślepia stwora zaczęły pulsować, gdy ostrożnie zbliżał się do tego przeciwnika. Ugiął łapy, jakby sprężając się do skoku, i szorując brzuchem po podłodze, zaczął się skradać w stronę człowieka. Żołnierz w tym czasie, klnąc na czym świat stoi, szarpał się z zaciętym kaemem. Na widok zbliżającego się jaszczura Krantz zasłonił się uszkodzonym karabinem. Silne i szybkie uderzenie ogona wytrąciło mu z ręki zaciętą broń. Karabin ze złamaną lufą uderzył o ścianę tunelu, krzesząc snop iskier. Grenadier nie poddał się jednak panice. Ciągle przekonany, że ma do czynienia ze zwykłym zwierzęciem, wyrwał zza pasa bagnet i zaczął nim wodzić małe kółka.

- Chcesz mnie, zasrańcu? - warknął przez zaciśnięte zęby - To podejdz tu, przerośnięta jaszczurko. Zrobię sobie z twojej skórki piękne...

Nie dokończył już groźby. Jaszczur szybkim skokiem uderzył tępym łbem w jego pierś. Krantz poleciał kilka metrów do tyłu, szorując plecami po kamiennej podłodze. W zmiażdżonej klatce piersiowej poczuł ogromny ból połamanych żeber. Zanim zrozumiał, co się dzieje, gad ponownie do niego doskoczył. W ciemnościach zabłyśły zębiska. Potężna szczeka zamknęła się z trzaskiem na podbrzuszu Krantza, który wrzasnął jak opętany, czując, że uścisk jaszczura miażdży mu miednicę. Ostatnie, co zobaczył, to wyrwane płaty jego skóry i poszarpanych mięśni.

Zwielokrotniony ścianami tunelu krzyk dotarł do Aschera, który właśnie wspinał się po zbawczej drabince do wjazdu wentylacyjnego. Kapral obejrzał się przerażony. W oddali, w świetle działającego jeszcze reflektora, dostrzegł wielkiego gada szamoczącego się na boki. Najbardziej przerażające było to, że nadal trzymał w pysku zakrwawionego i ruszającego się żołnierza. Wrzask mordowanego człowieka rozsadzał mrok tunelu.

- Matko Święta - wymamrotał kapral i zaczął szarpać się z włazem.

Energicznie wspiał się do góry i podciągnął na łokciach. W tym momencie trafił go w pierś zabłąkany pocisk z toczącej się właśnie na ulicy strzelaniny. Ascher zawisł na krawędzi wjazdu, po czym z przeciągłym jękiem runął w czeluść tunelu prosto pod nogi nadchodzącego potwora. Widząc zbliżające się lśniące kły gada, kapral zdążył jeszcze pomyśleć, że to wszystko jest takie niesprawiedliwe.

21 sierpnia, Okęcie

Mimo późnej godziny w zaimprovizowanym gabinecie majora Paulsena trwała zażarta dyskusja.

- Peter, wciąż nie rozumiem, po co tu jesteśmy. - Kapitan Worenman rozłożył się wygodnie na starej dziewiętnastowiecznej sofie. - Całe miasto ogarnęło szaleństwo, a ty chcesz się pchać w sam środek tego piekła z powodu dziwnych pogłosek.

Kapitan Kloch przerwał na moment analizowanie raportów i robienie z nich zapisków w notatniku. Poprawił przekrzywione okulary i spojrzał karcąco na swojego kolegę z instytutu SS.

- To nie są żadne pogłoski. To fakty. - Machnął teczką z meldunkami. - Coś buszuje w warszawskich ściekach, mordując niemieckich żołnierzy.

- To, że morduje, nie znaczy jeszcze, że jest to robota dla instytutu. Sam mówiłeś, że Haydrich w raporcie pisał o zbiegłych krokodylach z tutejszego zoo. - Worenman nadal nie był przekonany. - Lub, co bardziej prawdopodobne, napuszczanych przez Polaków.

Paulsen w tym momencie uznał za konieczne włączyć się do dyskusji. Schował do torby swój dziennik, odłożył na bok pióro i odchylił się na krześle.

- Willy, to nie jest takie proste. Po pierwsze ja i Kloch doszliśmy do wniosku, że mamy do czynienia z jednym osobnikiem, a nie stadem. Po drugie, to coś zabija zarówno Niemców, jak i Polaków. Po trzecie - na chwilę zawiesił głos - ty najlepiej z nas wszystkich wiesz, że krokodyli nie da się wytresować. Co więcej, nie zgadzają się opisy świadków. Nasz gad ma krótki, tępy pysk, jak smoki z Galapagos, tyle że jest znacznie większy od nich, a także wyższy niż krokodyle czy aligatory. Według naszych szacunków zabił już ponad siedemdziesiąt osób. No, przynajmniej o tylu wiemy. Napada również na uzbrojone grupy żołnierzy, a to nie jest normalne zachowanie żadnego zwierzęcia.

Worenman zagwizdał z podziwem.

- Nie czytałem jeszcze tego raportu. Przyleciałem do Warszawy prosto z Aten, jak tylko dostałem wezwanie. Siedemdziesiąt ofiar na jednego drapieżnika? - Wygodnie rozparł się na kanapie - Nieźle jak na tydzień buszowania po kanałach. Krokodyle są łapczywe, ale nie aż tak.

- Bezwiednie dotknął blizny na prawym nadgarstku i uśmiechnął się do wspomnień sprzed lat.
- Jeśli jest jeden, w co nie mogę uwierzyć, to nie jest to żaden ze znanych mi gatunków krokodyli, aligatorów czy gawiałów. One wszystkie mają zupełnie inny styl polowania. Nie lubią biegać. Po prostu przyczajają się w pobliżu miejsc, gdzie ofiary często same przychodzą. Natomiast ten tutaj buszuje po całym mieście zupełnie jak drapieżne ssaki.

Major schował do torby swój dziennik i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Wiem, że jesteś zapalonym podróżnikiem i interesujesz się zoologią. Instytut bardzo ceni twoje prace nad środkowoafrykańskimi drapieżnikami, dlatego bardzo liczymy na twoje doświadczenie w tej sprawie. Z raportów wynika, że to zwierzę jest wręcz nienaturalnie agresywne i przy tym dość... okrutne - zakończył z pewnym wahaniem. - Jak byś scharakteryzował jego zwyczaje łowieckie?

- Wspomniałeś o ponad siedemdziesięciu ofiarach w ciągu czterech, pięciu dni - Worenman trawił przez chwilę informacje. - Możemy więc śmiało przyjąć, że to coś nie zabija z głodu. Żaden krokodyl czy kotowaty ludojad nie mordował w takim tempie. Legendarne lwy z Tsavo^[18] co prawda zabiły według Pattersona jakieś sto trzydzieści osób, ale to trwało całe miesiące. - Starł biały pyłek z munduru. - Pozostaje obrona terytorium lub potomstwa, co tłumaczyłoby atakowanie nawet uzbrojonych ludzi. Nadal jednak nie jest to zachowanie charakterystyczne dla gadów^[19]. Dziwię się, że ty, stary naukowiec, dajesz się podpuszczać panikarzom. - Wskazał przeglądane wcześniej przez Paulsen'a meldunki. - Zwierzęta nie zabijają w okrutny sposób. One po prostu zabijają dla jedzenia lub w obronie. Prawda, Albercie? - rozmyślnie zwrócił się do Klocha po imieniu, wiedząc, że tego nie lubi.

Zagadnięty mruknął tylko z irytacją, w dalszym ciągu zajęty czytaniem książki i robieniem notatek.

- Gdybyś mniej wodził oczami za spódnicami, a więcej czasu poświęcił badaniu dokumentów, zauważyłbyś, że nasz jaszczur uwielbia zadawać ból swoim ofiarom. - Paulsen ponownie usiadł za biurkiem i podniósł jakiś papier. - Owszem, większość zginęła podczas walki z gadem. Jednak ci, którzy walczyli na końcu, byli torturowani. Jaszczur wolno miażdżył czaszki lub klatki piersiowe, odgryzał kończyny czy rozrywał wnętrza. Są nawet świadkowie takiego zachowania. Jakby sprawiało mu to przyjemność. - Strzepnął z munduru niewidoczny pyłek. - Co gorsza, niektórych zwłok w ogóle nie odnaleziono.

Worenman wyraźnie się zainteresował.

- No dobrze. Przeanalizujmy. Szukamy gada, który poluje samodzielnie i lubi torturować swoich przeciwników. Bardziej bym obstawiał jednak, że to jakaś anomalia. Albo, bo ja wiem, dozorca się nad nim znęcał w zoo czy coś w tym stylu, i teraz się mści. Są w ogóle jakieś „okrutne” - zaakcentował to słowo - zwierzęta w przyrodzie?

Major odłożył okulary i przetarł zmęczone oczy.

- Kilka by się znalazło. Gatunkiem lubującym się w okrucieństwie jest choćby ptak dzierzba. Poluje na małe gryzonie i nadziewa je na kolce krzewów lub zasieki. Człowiek też jest z natury gatunkiem okrutnym.

- Hm, jeśli pamiętam wspomnienia Pattersona, to właśnie ludojady z Tsavo znęcały się nad upolowanymi przez siebie ludźmi. Ale to wszystko ssaki czy ptaki. Poza tym są to wyjątkowe osobniki, które bardziej rozładowują swoją agresję, niż specjalnie zadają ból. I jak już mówiłem, żadne znane gady nie zachowują się w ten sposób. Są na to... - szukał odpowiedniego wyrażenia - zbyt prymitywne.

Major uśmiechnął się konspiracyjnie.

- Ciekawy przykład z tymi lwami. Jednak według naszych badań, okrucieństwo tych dwóch osobników związane było nie z ich naturą, lecz z opętaniem.

Worenman podskoczył zaskoczony.

- Opętaniem? Przez diabła? Mówisz o złych mocach? - Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

- Niezupełnie. Badałem ten przypadek, gdy byłem w Afryce Zachodniej. W te dwa osobniki weszły dusze szamanów z pobliskich wiosek, którzy w ten sposób chcieli przeszkodzić Anglikom w rabowaniu ich kraju. Po zabiciu zwierząt angielska komisja kolonialna stwierdziła niedające się wyjaśnić zgony dwóch szamanów. Zapadli w dziwny letarg, z którego już się nie obudzili. Znane są też przypadki opanowania zwierząt przez prawdziwe demony. - Uśmiechnął się ponownie, widząc zdziwienie na twarzy Worenmana. - Sam dostarczałem komendanturze obozu w Buchenwaldzie trzy diabelskie psy. Owszem, te wilczury były okrutne i złośliwe, co nawet by się zgadzało. Tej możliwości wykluczyć więc nie możemy. Nigdy nie słyszałem jednak o opętanych gadach. Może ma to coś wspólnego z ich zimnokrwistością. - Postukał końcówką pióra w blat biurka.

Worenman wolno trawił to, co właśnie powiedział do niego Paulsen tak swobodnym tonem, jakby mówił o pogodzie. SS eksperymentujące z czarną magią i satanizmem. Nie wyśmiał jednak majora. Widział w swoim życiu zbyt wiele dziwnych rzeczy, aby zachować sceptycyzm. Kochał Afrykę i trochę ją idealizował we wspomnieniach. Wiedział jednak, że słoneczna sawanna to tylko jedna strona Czarnego Kontynentu. Ta jasna. Była jednak i druga twarz Afryki. Mroczna, pokrętna i pełna zła ukrytego w głębi równikowej dżungli. Tam stare, przedchrześcijańskie wierzenia były równie żywe, jak przed tysiącami lat. Do dziś nie mógł się pozbyć koszmarnych wspomnień upiornej podróży przez dżunglę belgijskiego Konga osiem lat temu. Zdarzenia, których był wówczas świadkiem, historie, które wtedy usłyszał, wszystko to teraz do niego powracało. Bezimienne plemię mieszkające nad wodami jeziora Tanganika, które oddawało cześć wielkiemu wężowi. Szamani hipnotyzujący ofiary, by posłusznie dawały się pożreć plemiennemu idolowi. Murzyńska magia pozwalająca rozmawiać ze zmarłymi. Czasami w nocy śniło mu się, że słyszy wzywające go odgłosy tam-tamów rozbrzmiewające nad zielonymi koronami drzew tropikalnego lasu. I ten niepokojący, wiecznie prześladowający go szept starego N'Tebo, wioskowego szamana, któremu wówczas uratował życie:

- Strzeż się nienasyconej oblubienicy pradawnego węża.

Tak, zdecydowanie zbyt wiele widział, aby śmiać się teraz z teorii majora.

Paulsen nie zwrócił uwagi na zadumę Worenmana, tylko kontynuował swój wywód:

- W naszym przypadku jest możliwe inne wyjaśnienie. Istnieje bowiem gatunek gadów, który zachowuje się jak nasz jaszczur. Co więcej, z wyglądu jest nawet podobny do opisywanego gada. Zresztą obecny tu kapitan Kloch opublikował na ich temat interesującą monografię, prawda, Albercie?

Zagadnięty kapitan wreszcie oderwał się od książki i zaczął przechadzać się po pokoju niczym profesor po sali wykładowej.

- Wiem, że jest pan znanym podróżnikiem, Worenman, ale zapewniam pana, że czegoś takiego jeszcze pan nie widział. Słyszał pan kiedyś o francuskiej Bestii z Gevudan? - Dla lepszego efektu zatrzymał się i nachylił nad nim. - Okrutny, tajemniczy potwór, który zabijał kobiety i dzieci w południowej Francji w osiemnastym wieku. Mamy podstawy sądzić, że to właśnie był jeden z takich jaszczurów. Zresztą nasz instytut miał już do czynienia z takimi stworami. Der basilisk.

Kloch znowu zaczął się przechadzać.

- Dlatego zaczęliśmy gromadzić informacje na ich temat. To właśnie średniowieczni Grecy usystematyzowali wiedzę o tym bardzo rzadkim gatunku, nadając mu nazwę „basiliskos” czyli „mały król”, a to z powodu kształtu grzebienia na głowie. - Trochę komicznie zaimitował palcami lewej ręki nad swoją głową rzekomy grzebień basiliskosa. - Bizantyjski cesarz Konstantyn miał nawet takiego młodego jaszczura w pałacu. Ponoć uwielbiał szczuć go na służbę. Gad zginął jednak, gdy rzucił się bez rozkazu na członka gwardii imperialnej. Wikingowie^[20] rozsiekli go ponoć toporami na strzępy, a i tak trzech ubił. Jednak wzmianki o nich pojawiały się jeszcze w czasach antycznych. Starożytni Egipcjanie w okresie Starego Państwa czcili jednego z nich jako boga Nilu. Gdy im zdechł po trzystu latach niewoli, kapłani uznali to za klątwę. Wywołało to zamieszki i wojnę domową kończącą okres Starego Państwa. W późniejszym okresie jako rzeczne bóstwo przedstawiano krokodyle, które jednak przebierano za basiliskosa. Powiększano im sztucznie szpony, dorabiano grzebień. Ponoć jedno z plemion piktyjskich składało takiemu potworowi ofiary z rzymskich jeńców. - Widać było, że Kloch rozkoszuje się swoją wiedzą. - Najstarsze zapiski o takich gadach pochodzą już z czasów sumeryjskich. Sumerowie, jeśli wierzyć legendom, użyli kilkudziesięciu sztuk do walki z Akadyjczykami. Co ciekawe, te długowieczne z natury zwierzęta mają tendencję do zapadania w długie letargi. Dlatego mamy nadzieję, że tu, w Warszawie, obudził się właśnie jeden z takich jaszczurów. Zanim jednak zaczniemy na niego polować, musimy poznać jego zwyczaje i co najważniejsze, dowiedzieć się, jaki to rodzaj basiliskosa.

Major postanowił się wtrącić:

- Czekają nas naprawdę trudne dni. Raz już polowałem na coś takiego i wiercie mi, nie było łatwo...

Podróżnik uśmiechnął się kącikami ust.

- Rozumiem. Mityczne bydlę w kanalizacji ściekowej Warszawy. Jak mniemam, plan jest taki, żeby znaleźć, utłuc i zbadać ścierwo?

Słyszając te słowa, Kloch zjeżył się. Nerwowym ruchem przetarł okulary i wyraźnie wzburzony zaczął nimi potrząsać. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, wyprzedził go Paulsen:

- Tylko w ostateczności, kapitanie. - Oczy majora spokojnie zmierzyły rozmówcę. - Priorytetem jest schwytanie go żywcem. I nie ukrywam, że liczę na twoją pomoc. Masz bogate doświadczenie w łapaniu dzikich zwierząt dla ogrodów zoologicznych. Z tego, jak mi cię opisywano, wyłaniał się drugi Lettow.

Worenman zdawał się nie zauważać pochlebstwa. W zamyśleniu potarł brodę.

- Nieznany gatunek o nieznanym zwyczajach. Hm... W takim razie będę potrzebował dokładniejszych raportów z miejsc ataków tego basiliskosa.

Brwi Klocha uniosły się ze zdziwienia.

- Po co? Nie wystarczy panu dokumenty, które mamy?

Worenman wstał i zaczął się przechodzić po pokoju.

- Muszę sprawdzić, jaką ten wasz basiliskos ma taktykę polowania. Jak wybiera swoje ofiary, jak je podchodzi i jak zabija. Każdy drapieżnik to osobne wyzwanie, ale jeżeli się dokładnie zbada jego zwyczaje, polowanie jest dość proste. Nie może cię już niczym zaskoczyć, gdyż rytuał walki jest zazwyczaj bardzo schematyczny. Każde zwierzę przez lata wypracowuje jeden skuteczny model polowania i nim podąża. - Coraz bardziej zapalał się do pomysłu, by schwycić tajemniczego drapieżnika. - Trzeba jeszcze pamiętać o oddzielnej grupie zwierząt, jaką są ludojady. Zwierzęta te, bez względu na gatunek, z którego pochodzą, muszą dostosować swoją taktykę polowania do innych ofiar niż zazwyczaj. Najczęściej polega to na odpowiedniej modyfikacji dotychczasowej metody łowów, tak aby mogły skutecznie polować na ludzi. Oczywiście podstawą wciąż jest schemat działania właściwy danemu gatunkowi... - Przerwał na moment, widząc niezrozumienie malujące się na twarzach Paulsena i Klocha. - No, chodzi o to, że lew będzie polował na ludzi tak samo jak na przykład na zebry, tyle że w swojej taktyce uwzględni nasze zwyczaje. - Poddał się w końcu. - No dobra, w skrócie. Jeśli poznam taktykę polowania basiliskosa na ludzi i na inne zwierzęta, będę mógł ją porównać z metodami ataków innych drapieżnych gadów. W ten sposób łatwiej będzie przewidzieć jego reakcje, dzięki czemu uda się go złapać - dodał już mniej pewnym tonem.

Paulsen pokiwał głową z uznaniem.

- Przekonałeś mnie. Poproszę jutro Haydricha o opracowania takiego raportu. Póki co, będziesz musiał studiować zwyczaje naszego gada, że tak się wyrażę, na miejscu. Aha, pozostaje jeszcze jedna sprawa do omówienia. - Skrzyżował ręce na piersi. - Kapitanie

Worenman, muszę panu udzielić ostrej reprimendy. Przed naszym spotkaniem odbyłem ciekawą rozmowę z pułkownikiem Haydrichem. Podobno dziś w południe w wojskowej kantine obmacywał pan polską kelnerkę. Mógłby pan to wyjaśnić?

Podróżnik wstał z kanapy i spojrzał na niego z rozbawieniem.

- Co tu wyjaśniać? Ładna, młoda. Gdyby zobaczył pan jej cycki. Grzechem było nie złapać...

Kloch z irytacją spojrzał na zadowolonego z siebie Worenmana i parsknął kpiąco. Paulsen zmarszczył brwi.

- Wyjaśnijmy sobie jedno, kapitanie. - Zaakcentował ostatnie słowo. - Jesteś w moim zespole i ja odpowiadam za twoje zachowanie. - Wolno podszedł do Worenmana i spojrzał mu prosto w oczy. - Mamy wojnę, a ty zabawiasz się z potencjalnym wrogiem, w dodatku nie zachowując ostrożności. Poza tym - jego głos przeszedł w głośny szept - jako oficera SS obowiązują cię określone standardy.

Przez twarz Worenmana przemknął wyraz udawanego przerażenia.

- Himmler spełnił w końcu swoją groźbę i wprowadził w SS celibat?

Oczy Pausena zrobiły się okrągłe.

- Wiesz, o czym mówię. SS nie krzyżuje się z niższymi rasami. Masz coś na swoją obronę?

Worenman wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tyłeczek miała jak marzenie.

Paulsen nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem, po chwili zawtórował mu Worenman. Nawet ponury z natury Kloch się uśmiechnął.

Zrezygowany major usiadł za biurkiem.

- Kapitanie Wilhelmie Worenman, jesteś pan niezdyscyplinowanym awanturnikiem, niepoprawnym kobieciarzem, upartym sukinsynem i zatwardziałym koniunkturalistą. Dlatego pana lubię. Proszę jednak w przyszłości być... bardziej dyskretny.

- Doprawdy nie rozumiem, jak ktoś z pańskim podejściem do życia mógł wstąpić do SS
- wtrącił Kloch.

Z twarzy Worenmana znikł wszelki ślad wesołości.

- To był warunek dr Wüsta. Inaczej instytut nie sfinansowałby moich wypraw do Afryki.

Paulsen uśmiechnął się, słysząc tę niespodziewanie szczerą odpowiedź.

- Totalny koniunkturalista, jak mówiłem. Dobrze, na dzisiaj kończymy. Proszę odpocząć, bo jutro czeka nas trudna robota.

W tym momencie rozległo się głośne pukanie i otworzyły się drzwi. Do środka wszedł podoficer SS ubrany w mundur wyjściowy.

- Heil Hitler. - Sierżant zasalutował energicznie. - Chciałbym poinformować, iż pułkownik Haydrich zaprasza panów na spóźnioną kolację.

Paulsen skrzywił się.

- Proszę podziękować pułkownikowi w naszym imieniu, ale z żalem musimy odmówić.

*

Naukowiec chciał na tym zakończyć sprawę zaproszenia, ale zauważył z irytacją, że sierżant nie odmeldowuje się, jakby oczekiwał dalszych wyjaśnień.

Paulsen zawahał się. Najwyraźniej odmawianie pułkownikowi Haydrichowi nie było w Warszawie częstym zjawiskiem.

- Proszę przekazać pułkownikowi - wzruszył ramionami - że jesteśmy zmęczeni, a jutro czeka nas dużo pracy...

- Ja chętnie skorzystam z oferty - dobiegło zza pleców majora. - Szklaneczka czegoś dobrego bardzo mi się przyda. Nie czekajcie na mnie, panowie. - Worenman pewnym krokiem wyminął zaskoczonego Paulsena i ruszył dziarsko w kierunku drzwi. - Proszę tylko na mnie chwilę poczekać. - Zignorował miażdżące spojrzenie Klocha i uśmiechnął się do podoficera. - Muszę się odświeżyć. Mam nadzieję, że nie jest to nic oficjalnego. - Wskazał na nienaganny uniform sierżanta. - Nie mam ze sobą munduru wyjściowego...

Podoficer uśmiechnął się tajemniczo.

- Ależ proszę nie robić sobie kłopotu. To takie małe nieformalne powitanie.

*

Stojąc w korytarzu prowadzącym do jadalni, kapitan zaczął podejrzewać, że coś jest mocno nie tak. Zza drzwi, które mu wskazywał Kreschmer, dobiegała muzyka. I to nie jakieś tam smętne przyśpiewki z radia czy adaptera, tylko prawdziwa muzyka grana na żywo. Co ciekawe, grano właśnie coś bardzo skocznego. Przez chwilę Worenman w skupieniu starał się śledzić melodię. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Jeśli dobrze pamiętam, to ktoś właśnie gra polkę. - Spojrzał zdumiony na towarzyszącego mu podoficera. - Trochę dziwny repertuar jak na nieoficjalną kolację w gronie SS, nie sądzicie, sierżancie?

- Proszę tędy, kapitanie. - Kreschmer zignorował pytanie i otworzył drzwi na oścież.

Worenman stanął obok niego i zajrzał ciekawie do środka.

No tak. Skromna kolacja wydawana przez Haydricha okazała się w istocie bankietem, a późne zaproszenie naukowców, jak podejrzewał kapitan, było próbą zakpienia z niechcianych gości. Rozejrzał się po pomieszczeniu.

W kącie grał kwartet muzyków w smokingach. W sali było kilkunastu oficerów niemieckich z różnych formacji w mundurach galowych oraz towarzyszące im kobiety w sukniach wieczorowych. Kilka osób zwróciło na niego uwagę i uśmiechając się kpiąco, pokazywali go sobie palcami.

Kreschmer podszedł do niego, chrząkając znacząco.

Worenman zrozumiał, że stojący obok sierżant w galowym mundurze jest częścią dalszego przedstawienia mającego na celu go ośmieszyć. Energicznie obciągnął poły tropikalnej bluzy mundurowej i wyszczerzył się do Kreschmera.

- Jeśli oczekujecie napiwku, sierżancie, to się cholernie rozczarujecie - wysyczał mu prosto w ucho.

Kreschmer zrewanżował mu się, patrząc z nieskrywaną już złośliwością na jego pognieciony mundur. Wydał wargi, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili

zrezygnował. Zamiast tego wyprężył się na baczność przy samych drzwiach, stukając głośno obcasami.

Znakomitą większość gości stanowili wysocy rangą esesmani. Było również dwóch pułkowników i jeden major z zaopatrzenia oraz kilku pilotów z formacji transportowych. Worenman rozejrzał się jeszcze uważniej. Bez specjalnego zdziwienia zauważył, że na sali nie było nikogo z wojsk liniowych. Wyglądało na to, że bankiet został zorganizowany tylko dla najbliższych współpracowników Haydricha. Kapitana jednak bardziej zainteresowała damska część towarzystwa, którą zaczął lustrować uważnie.

Wszystkie kobiety były ubrane w gustowne i bardzo drogie suknie wieczorowe. Coś jednak z nimi było nie tak. Wprawne oko podróżnika pozwoliło mu dostrzec, że suknie w większości nie były zbyt dobrze dopasowane do ciał swoich właścicielek. Tu za długie ramiączka, tam wyraźnie za wąska w talii, inna z kolei za krótka... Niby nic takiego, ale jednak wiele mówiące. Worenman przyjrzał się kilku kobietom. Błysk zrozumienia pojawił się w jego oczach, gdy w jednej z dam, która miała na sobie ciemnobłękitną suknię bez pleców, rozpoznał sekretarkę Haydricha, Helgę.

- Jasne - mruknął do siebie odrobinę zdziwiony.

Za damy do towarzystwa robił żeński personel pomocniczy - sekretarki, telefonistki, sanitariuszki. Skąd jednak takie kobiety mogłyby sobie pozwolić na eleganckie i drogie stroje, mógł tylko zgadywać. Nie było to zresztą specjalnie trudne.

Prezenty od gospodarza? Pułkownik SS nie wyglądał na darczyńcę. Jeśli już, to raczej na pożyczkodawcę. A to by oznaczało, że każda z tych dziewczyn ma na sobie pożyczone na czas bankietu zagrabione suknie polskich arystokratek. I z zachowania bawiących się kobiet wnosił, że ciężko musiały ten zaszczyt odpracować.

Błyskawicznie wyszukał w tłumie oficerów Haydricha. Stał przy barze otoczony wianuszkami kobiet i patrzył prosto na niego. Miał minę człowieka okropnie z siebie zadowolonego. Tak zadowolonego, jak na przykład ktoś, kto właśnie dowiedział się poufnymi kanałami, kim tak naprawdę są jego nieproszeni goście i na ile może sobie pozwolić w kontaktach z nimi.

- Czas na zabawę... - Worenman uśmiechnął się do siebie, ponownie obciągając poły pogniecionego munduru.

Ignorując zdziwione spojrzenia towarzystwa, przepchał się do stolika z kieliszkami wina. Wypił jednym haustem zawartość jednego z nich, po czym rozejrzał się dookoła. Podświadomie szukał w tłumie poznanej wczoraj kelnerki. Ta mała drobna Polka naprawdę wpadła mu w oko.

Rozglądając się po sali, dostrzegł siedzącego na kanapie mocno pijanego porucznika SS w otoczeniu rozbawionych kobiet. Kształtna blondynka siedziała mu na kolanach i kasała w ucho, starając się zwrócić na siebie uwagę. Z kolei siedząca obok pulchna ruda, podciągnąwszy do połowy ud czerwoną suknię, kładła na swoim kolanie rękę oficera i niedwuznacznie pchała ją między uda. Porucznik jednak wydawał się tak pijany, że nie zwracał uwagi na żadną z nich. Przez moment jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Worenmana. Oczy porucznika wyrażały totalną pustkę. Mimo to podróżnik dostrzegł przebijającą w nich stal oraz jakąś bezosobową pogardę. Usta kapitana wykrzywił grymas. Widział już w swoim życiu zbyt wielu bezwzględnych, sadystycznych morderców, by nie umieć rozpoznać kolejnego z nich.

Powrócił do lustrowania sali, ale Izy nie znalazł.

- Gówno - mruknął do siebie zawiedzony - chociaż to w sumie nawet oczywiste. Nie dość, że personel pomocniczy, to w dodatku wyłącznie niemiecki.

Zniechęcony napił się jeszcze, ignorując bełkotliwe pytanie zataczającego się grubasa w mundurze pułkownika Wehrmachtu z oznaczeniami intendenty. By jednak całkiem nie zmarnować wieczoru, jeszcze raz się rozejrzał.

Nie było dobrze. Wyglądało na to, że najładniejszą, wartą zainteresowania dziewczyną na sali była brunetka siedząca na kolanach tego porucznika SS, który wcześniej zwrócił jego uwagę. Jeszcze raz mu się przyjrzał, teraz dyskretniej. Spośród wszystkich obecnych na bankiecie miał najniższy stopień, ale sprawiał wrażenie jednej z najważniejszych osób. I chyba to samo czuły otaczające go kobiety, na siłę usiłujące zwrócić na siebie jego uwagę.

Worenman westchnął głęboko, złapał dwa kieliszki wybornego francuskiego wina, zrabowanego Bóg wie w jakim chateau, i ruszył w kierunku siedzącego na kanapie pijanego towarzystwa.

- Mademoiselle napije się ze mną? - Na jego twarzy zagościł najbardziej czarujący i zarazem najbezcześniejszy uśmiech, na jaki było go stać. Jednocześnie spojrzał jej głęboko w oczy, ostentacyjnie ignorując pijanego porucznika.

Blondynka spojrzała na niego, kapryśnie zmarszczyła nosek i wygięła wargi. Byстрыm okiem zauważył jednak, że na moment spojrzała ponad jego ramieniem, po czym bez wahania przyjęła kieliszek i delikatnie ześlizgnęła się z kolan porucznika. Jej niedoszły adorator, wyraźnie niezadowolony z sytuacji, próbował złapać ją za rękę, ale Worenman „niechcący” wbił się między niego a dziewczynę i płynnym ruchem objął ją w pasie.

W oczach porucznika zabłysła zimna wściekłość. Jego szczęki zacisnęły się mocno. Miało się wrażenie, jakby cały alkohol nagle z się niego ulotnił. Zerwał się z kanapy, omal nie zrzucając z niej rudzielca. Zanim jednak wykonał jakikolwiek gest, tak jak wcześniej dziewczyna spojrzał na kogoś znajdującego tuż za kapitanem i opadł z powrotem na kanapę. Worenman bez wahania obrócił się i stanął twarzą w twarz z SS-Standartenführerem Haydrichem.

- Dziękuję, że chociaż pan przyjął moje zaproszenie. Miałem jednak nadzieję, że i major Paulsen zaszczyca nas swoją obecnością.

I zrobi z siebie głupca przed twoimi fagasami? - przemknęło przez głowę kapitanowi.

- Major Paulsen bardzo przeprasza, ale nie mógł przybyć. Ważne sprawy służbowe - bez mrugnięcia okiem łął jak z nut.

Pułkownik pogładził w zamyśleniu brodę.

- Z pewnością. To bardzo intrygujący człowiek. Proszę mi coś powiedzieć. Czy długo z nim pan pracuje?

Zanim Worenman zdążył odpowiedzieć, za jego plecami zaczęło się jakieś zamieszanie. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak pijany porucznik ciągnie do sąsiedniego pokoju rudą dziewczynę. Mimo wcześniejszej uległości, teraz mu się opierała. Była jednak zbyt pijana, aby jej opór był skuteczny. Niezdarne wysiłki rudej w połączeniu z wściekłością szarpiącego ją porucznika dawały całkiem niezamierzony komiczny efekt. Po chwili para, chwając się i poszturchując, ku rozbawieniu obecnych znikła za drzwiami.

Haydrich skwitował tę scenę zimnym uśmiechem, po czym zwrócił się do Worenmana:

- Gratuluję panu udanego polowania. - Wskazał pustym kieliszkiem tulącą się do niego blondynkę. - Na przyszłość radzę jednak nie drażnić miejscowych drapieżników.

- Myślałem, że właśnie po to mnie tu przysłano... - Za późno ugryzł się w język.

- Porucznik Kromberg nie jest osobą, z którą chciałby pan mieć do czynienia. Proszę mi wierzyć, nic nie jest warte zainteresowania Kromberga. - W głosie pułkownika brzmiało nie tylko ostrzeżenie, ale i... groźba.

Zza drzwi, za którymi znikł porucznik Kromberg, rozległy się kobiece krzyki. Worenman odwrócił się zdziwiony. Chciał ruszyć na pomoc, ale przytrzymało go szarpnięcie za ramię. Spojrzał zaskoczony na Haydricha, który trzymał go w mocnym uścisku.

- Wszystko jest w jak najlepszym porządku, kapitanie. - Cichy głos pułkownika przypominał syk węża.

Tymczasem krzyki za ścianą przeszły w głośne dyszenie i jęczenie. Niektórzy oficerowie odwrócili się w kierunku źródła tych dźwięków. Na ich ustach zagościły lubieżne uśmiechy.

Pułkownik zdawał się nie zwracać uwagi na wyraz zniesmaczenia pojawiający się na twarzy podróżnika.

- Proszę poinformować majora Paulsena, że jutro o dziewiątej rano odbędzie się w sztabie generała Bacha odprawa na temat sytuacji w mieście. Warto, żeby przysłuchał się temu, co tam powiedzą, zanim... pójdzie w teren.

Zza ściany znów zaczęły dobiegać kobiece krzyki, tym razem znacznie głośniejsze i żałośniejsze. Przez twarz Haydricha przemknął niewyraźny grymas.

- A teraz proszę wybaczyć, ale obowiązki wzywają. Przez pana amory muszę poinformować pułkownika Prusta, że jego sekretarka nie będzie mogła jutro przyjść do pracy. - Wskazał oficera w mundurze Luftwaffe, który leżał twarzą na stole między sałatkami. - Olga? - Po raz pierwszy pułkownik zwrócił się do tulącej się do Worenmana blondynki. - Bądź grzeczna... - Pogroził jej palcem.

Dziewczyna zrobiła minę obrażonej niewinności, po czym roześmiała się głośno.

22 sierpnia, Powiśle

Trzech żołnierzy w mundurach SS przez moment siłowało się z ciężkimi dębowymi drzwiami okazałej kamienicy. Zdziwiające jednak było to, że wszyscy trzej klęli przy tym w dość rynsztokowej wersji języka rosyjskiego.

- Mówię ci, Kirzaj - sapnął jeden z nich, krępy blondyn w mundurze szeregowego RONA. - W tym domu to się dopiero obłowimy.

Zagadnięty Azjata z dystynkcjami kaprała nie odpowiedział, tylko wzmógł nacisk na drzwi. Te jednak nawet nie drgnęły. Wszyscy trzej jeszcze raz sapnęli z wysiłku, napierając na przeszkodę, po czym odstąpili.

- Tak nie da rady, chłopcy - mruknął trzeci z towarzystwa, potężny Rosjanin z twarzą poznaczoną bliznami. - Trza to zrobić inaczej.

- To co, Borys, załatwiamy granatem? - mruknął ten pierwszy, Dymitri.

Zagadnięty przyjrzał się krytycznie potężnym wrotom kamienicy. Pociągnął nosem z niesmakiem, czując woń kanałów wydostającą się z ogromnej dziury w ulicy kilka metrów dalej.

- Nic z tego, będzie tak jak w Staropolsku, jakeśmy tego popa z cerkwi wyciągali. Granaty pod takie wrota ino w naszą stronę wybuchną. Tu trza sposobem. - Jeszcze raz obejrzał front kamienicy. - Posaďte mnie tam, a ja już wleżę przez okno i otworzę od środka.

Cała trójka zgodnie podeszła do ściany. Gdzieś obok zaterkotał karabin maszynowy, rozległy się krzyki komend po niemiecku i rosyjsku. Ich oddział szykował się do ataku na kolejną barykadę, ale maruderzy nie byli tym zainteresowani. Wspólnym wysiłkiem posadzili Borysa na wysokość dwóch metrów. Rosjanin wyciągnął potężne łapska do góry i złapał za parapet otwartego okna. Stęknął z wysiłku, gdy zaczął się wciągać do góry. Przechodząc przez okno, szybko się rozejrzał po pokoju. Wszędzie panował porządek. Dobrze. Kamienica nie została jeszcze splądrowana. Ostrożnie, z pistoletem w ręku, zaczął chodzić po domu. Zachowując czujność, podeszedł do zewnętrznych drzwi. Na szczęście w zamku tkwił klucz. Przekręcił go i wpuścił kamratów do środka. Rozejrzał się jeszcze czujnie po ulicy. W oddali widać było żołnierzy brygady szturmującej barykadę.

Weszli do przedpokoju i zatrzymali się niezdecydowani.

- Uważajta, chłopcy. Drzwi som zamknięte od środka. Tu jeszcze ktoś jest.

Czuźnie, z bronią w ręku, zaczęli przeszukiwać dom. Borys był w połowie schodów na piętro, gdy usłyszał stłumione głosy dochodzące z jednego z pokoi na górze. Ostrożnie podszedł do drzwi i przyłożył ucho. Tak jak sądził, ktoś był w środku. Natarł na drzwi barkiem i wpadł do środka, wymachując pistoletem. Szybko zauważył, że w pokoju były tylko dwie kobiety, staruszka leżąca w łóżku i na oko trzydziestoletnia brunetka, która siedziała przy łóżku. Kobiety umilkły na widok żołnierza. Młodsza pobladła gwałtownie, ale wolno podeszła do Borysa i zaczęła do niego mówić coś po niemiecku, pokazując przy tym staruszkę.

- Nie mówię po niemiecku - odpowiedział Borys po rosyjsku, uśmiechając się lubieżnie. Błyskawicznie ocenił wzrokiem szczupłą kobiecą sylwetkę, którą dodatkowo podkreślały długa, wąska spódnica i prosta, biała koszula.

Odpowiedź po rosyjsku wywołała szok u Anny. Chciała się cofnąć, ale Borys złapał ją za rękę i zaczął ciągnąć do przedpokoju. Staruszka, najwyraźniej jej chora matka, zaczęła głośno wzywać pomocy. Rosjanin bez namysłu strzelił do niej dwa razy.

Anna wyrwała się Borysowi i ze szlochem dopadła do ciała zabitej staruszki. Zanosząc się śmiechem, złapał ją za wysoko upięte włosy i wyciągnął z pokoju, niemal wlokąc po posadzce.

- Patrzta, co znalazłem! - zawołał, widząc, że jego kamracy na odgłos strzału wypadli z bronią w ręku do przedpokoju. Przy okazji zauważył, że obaj mieli wypchane kieszenie. - Łupy dzielimy po równo - zastrzegł od razu.

Kirzaj oblizał się lubieżnie na widok zapłakanej, szarpiącej się w uścisku kobiety.

- Jasne, że się dzielimy łupami. Mam nadzieję, że wszystkimi.

Borys poderwał Annę z podłogi i złapał ją za pierś.

- Ja ją znalazłem, więc będę pierwszy... - Urwał zdziwiony na widok niemieckiego oficera stojącego w drzwiach.

Kapitan Schultz, naładowany jeszcze adrenaliną z toczącej się dookoła walki, stanął w drzwiach domu, z którego dobiegły go strzały. Scena, którą zobaczył, wywołała w nim wściekłość.

- Co tu się dzieje? Gdzie wasz oddział? - wrzasnął do zastygłego ze zdumienia Borysa.

Zanim którykolwiek z Rosjan zdążył zareagować, Anna wyrzuciła z siebie:

- Proszę mi pomóc. Ci bandyci zastrzelili moją matkę.

Kapitan zawahał się. Kobieta sprawiała wrażenie Polki, ale mówiła płynnie w języku niemieckim. Z drugiej strony żołnierze byli tylko Rosjanami, choć w służbie SS, co dopiero teraz sobie uświadomił. Niezdecydowany złapał za kaburę. Chwila wahania kosztowała go drogo. Borys, nie puszczając włosów Anny, błyskawicznie wycelował i nacisnął spust pistoletu. Dwa pociski trafiły Schultza w brzuch, jeden w pierś. Oficer zwałił się ciężko na próg drzwi z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Borys szarpnął Annę ponownie, tym razem w kierunku pokoju dziennego.

- Trupa do sieni, drzwi na klucz i żeby mi żaden nie przeszkodził - warknął.

Żądza zaślepiła go zupełnie. Rzucił Annę na stół i nie zważając na jej protesty, zaczął z niej ściągać spódnicę. Rozdarty materiał rzucił na podłogę i złapał za łydkę prawej nogi, którą Anna próbowała kopnąć go w krocze. Przez chwilę delektował się widokiem gładkich ud i długich prostych nóg w białych pończochach, po czym zaczął rozpinać spodnie. Krzyk Anny przeszedł w szloch. Z krzywym uśmiechem rozerwał jej bluzkę, obnażając dwie kształtne piersi.

- Tuś mi, gąsko. Poczekaj, Borys ci zaraz dogodzi - sapnął, próbując zerwać z niej majtki.

Podniecony jej dzikim oporem, złapał ją za gardło i zaczął dusić. Anna w panice złapała go za nadgarstki, bezskutecznie próbując rozerwać uścisk. Jednocześnie wierzgnęła nogami, trafiając obcasem w prawe ramię. Rozwścieczony Borys puścił jej gardło i uderzył kilkakrotnie otwartą dłonią w twarz. Anna znowu zaczęła się szarpać, więc ponownie zacisnął ręce na jej szyi.

I w tej pozie zamarł. Coś z donośnym hukiem uderzyło w drzwi frontowe. Jeden raz, drugi, trzeci. Wielkie dębowe wrota, które wcześniej oparły się atakowi jego i jego kompanów,

teraz zaczęły niepokojąco trzeszczeć. Anna próbowała coś krzyknąć, więc mocniej zacisnął palce na jej gardle. Zaczęła charczeć. Gdy tylko wyczuł, że jej wola walki słabnie, rozluźnił uścisk i przyłożył bagnet do gardła.

- Ci... - Pogroził palcem, patrząc głęboko w jej przerażone oczy.

W przedpokoju zjawili się Dymitri i Karzaj. W rękach trzymali broń.

- Lachy czy Giermańcy? - syknął cicho Azjata.

Borys wskazał trupa niemieckiego kapitana.

- Tera to nieważne. Pilnuj drzwi. Dymitri, okno.

Żołnierz podbiegł tam energicznie i wymierzył z karabinu w stronę potencjalnego zagrożenia. Zaraz jednak upuścił broń, która ze stukotem spadła na chodnik. Z pobladłą twarzą zaczął się cofać do środka pokoju.

Borys nie zdążył zareagować na to niecodzienne zachowanie kamrata. Kolejne uderzenie w drzwi spowodowało, że wypadły z zawiasów. Padając z głośnym hukiem, zmiażdżyły Karzaja oraz leżące w sieni zwłoki niemieckiego kapitana. Jednocześnie nadal rozciągnięta na stole kobieta szarpnęła się do ucieczki. Płynnym ruchem Borys podciął jej gardło i obrócił się ze skrwawionym bagnetem w kierunku nowego przeciwnika. Anna wydała z siebie cichy charkot, zakrztusiła się krwią i opadła w drgawkach z powrotem na stół. Jednocześnie framuga drzwi do salonu eksplodowała kawałkami gruzu.

Do pokoju wolno wkroczył ogromny, ciemnozielony jaszczur kilkumetrowej długości. Gad popatrzył najpierw na Borysa, później na stojącego pod ścianą jak słup Dymitria. W końcu jego ślepia spoczęły na zwisających ze stołu bezwładnych nogach obutych w białe trzewiki.

Widok ciała Anny wywołał u gada niepohamowaną wściekłość. Spóźnił się. Zaskrzeczał przeraźliwie w stronę Borysa.

Rosjanin nawet w obliczu tak niezwykłego przeciwnika nie stracił zimnej krwi. W młodości na dalekiej Syberii udało mu się nożem zabić dwuletniego tygrysa syberyjskiego. Po tej walce zostały mu na całym ciele blizny, z czego widoczne były tylko dwie szramy na twarzy. Kątem oka spojrzął na swój pistolet leżący pod stołem. Spokojnie ocenił, że nie zdąży po niego sięgnąć. Karabin z kolei zostawił w przedpokoju. Prawdziwy pech. Mocniej ujął bagnet i zaczął zachodzić gada z lewej strony.

Jaszczur przyjął wyzwanie. Przygarbił się, szerzej rozstawił łapy i rozdziawił paszczę. Ślepią czujnie wpatrywały się w oczy człowieka. Przednią łapę wysunął do przodu i przejechał pazurami po parkiecie z przeraźliwym zgrzytem, usiłując zastraszyć przeciwnika. Widząc, że nie wywarło to żadnego efektu, gad zaczął wolno bujać na boki swoim długim ogonem, usiłując zdekoncentrować człowieka. Nagle Borys znieruchomiał na moment i zamrugał, jakby zapatrzył się na coś stojącego tuż przed nim. Jaszczur natychmiast rzucił się na niego, mierząc zębami w lewy bark. Rosjanin ocknął się i próbował wykonać unik, ale potknął się o leżące na podłodze resztki sukni Anny. Spóźnił się dosłownie o ułamek sekundy. Kły gada wbiły się w jego lewy bok. Borys wrzasnął z bólu i dźgnął bagnetem na oślep, jednak ostrze złamało się na grubej skórze jaszczura. Szczęki zacisnęły się mocniej, wywołując kolejny okrzyk bólu. Trysnęła krew.

Stojący pod ścianą Dymitri osiwił w jednej chwili, po czym zemdłał. Gdy doszedł do siebie, po ogromnym gadzie nie było już śladu. Po Borysie natomiast została tylko leżąca na środku pokoju oderwana głowa, której martwe oczy wpatrywały się w niego.

*

Kilka godzin później po mieszkaniu krążyła grupa niemieckich żołnierzy w towarzystwie trzech oficerów SS.

- Jeśli znajdziecie coś dziwnego, nie ruszać, tylko wezwać nas - po raz kolejny tłumaczył kapitan Kloch, machając żołnierzom przed oczami trzymanym w ręku notatnikiem. - Co o tym sądzisz, Peter?

Major Paulsen przyjrzał się krytycznie leżącej na podłodze ludzkiej głowie, po czym narzucił na nią kawałek szmaty.

- Musi być coraz bardziej głodny, skoro wychodzi z kanałów, i to w biały dzień. Tylko jak się z nich wydostał? Ten Rosjanin - spojrzał w notatnik - szeregowy Dymitri Kaganowicz twierdzi, że gad miał z dziesięć metrów długości.

Worenman z pełnym brakiem poszanowania dla zwłok wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił.

- Widziałeś jego włosy? Zupełnie siwe, a w dokumentach ma napisane, że blondyn. Chłop jest tak przerażony, że nie wie, co mówi. - Przyjrzał się śladom na podłodze. - Tak wielki by się tu nie zmieścił. Widzicie te odciski łap? Zupełnie inne niż u krokodyli. - Palcem

obrysował jeden ze gadzich śladów. - Rozstawienie palców wskazuje na to, że jaszczur sprawnie i energicznie porusza się na łapach. Nie jak krokodyl, które ociężałe człapią, szorując brzuchem po ziemi. Tylnie łapy mocniej rozwinięte niż przednie. Założę się, że potrafi całkiem niezłe skakać... - Zawahał się. - Może nawet potrafi przez chwilę ustać na tylnych łapach. To zresztą tłumaczy, skąd u ofiar tyle ran zadanych pazurami w czasie walki. Krokodyl nie dałby rady tak zrobić.

Słyszając te wywody, Paulsen uśmiechnął się w duchu. Wszystko się zgadzało z jego obserwacjami z Afryki i badaniami Klocha ze Schlezwiugu. Worenman bardzo trafnie opisał basiliskosa i jego sposób poruszania. To kolejny raz potwierdzało, że dobrze zrobił, biorąc podróżnika do swojej ekipy.

- No, panowie - kapitan pochylił się nad badanym śladem i zarysował palcem jego obwód - co innego słyszeć wasze bajki, ale zobaczyć to na własne oczy...

Paulsen skinieniem głowy przyjął to wyznanie.

- Zgadza się z tym, co wiemy o... - ściszył głos - basiliskosach. Jeśli sądzisz, że ten Kaganowicz kłamie, to ile to bydlę może mieć długości?

Worenman zmierzył odległość między śladami.

- Moim zdaniem jakieś pięć, może sześć metrów, jeśli przyjąć, że mają normalną anatomię gadów. Zaraz, zaraz, powiedziałaś Kaganowicz? Może to jakiś kuzyn tego Kaganowicza? - Zarechotał ma myśl o Żydzie służącym w Waffen SS.

Kloch nie podchwycił dowcipu.

- Sześć metrów? To ciekawe. Według pierwszych raportów zwierzę miało niecałe cztery metry i chudy korpus. Później mówili o cztero, pięciometrowym grubym krokodylu, a teraz to. - Zaczął pracowicie skrobać w swoim nieodłącznym notatniku.

Zaciekawiony Worenman pochylił się nad śladem łapy.

- Przecież nie mógł tyle urosnąć w tydzień. Wychodzi więc na to, że tu grasuje więcej niż jeden gad.

- Raczej nie - zaprzeczył Kloch, nie przerywając notowania. - To się nawet zgadza z naszymi przypuszczeniami. Basiliskos zapadł w letarg, w czasie którego wysechł i skurczył się, a teraz wraca do normalnej masy ciała. Tylko robi to nadzwyczajnie szybko.

Worenman podrapał się po głowie.

- Myślicie, że sześć metrów to jego normalna długość?

Paulsen zakończył oględziny pokoju, wyprostował się i wytrzepał dłonie.

- Mój afrykański okaz miał prawie siedem metrów, więc jest możliwe, że ten dopiero dochodzi do właściwych rozmiarów. Intensywnie się odżywia, a przy okazji staje się coraz bardziej agresywny. Najpierw atakował pojedynczych ludzi, później małe i słabo uzbrojone grupki, a teraz rzuca się na całe oddziały. Nie zdążyłem wam jeszcze powiedzieć, ale Haydrich otrzymał rano raport, że gad wczoraj wyrznął cały oddział piechoty w starym rosyjskim tunelu.

Worenman oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

- Mnie zastanawia co innego. Ten atak jest nietypowy jak na niego. Wydaje się, że jego naturalnym środowiskiem jest wilgoć i ciemność, dlatego dotąd grasował głównie w podziemiach. Po co nagle wylaź na powierzchnię, i to w środku dnia? W dodatku sforsował ciężkie drzwi domu, w którym byli uzbrojeni żołnierze, zamiast spokojnie zapolować na bezbronnych cywili. I jeszcze ten Kaganowicz. Czemu zostawił go przy życiu? A ta Polka? Nawet nie spróbował jej ciała. Zupełnie jakby po zabiciu tego tu - wskazał na zakrytą głowę Borysa - zupełnie stracił zainteresowanie polowaniem. Byli wcześniej jacyś żywi świadkowie ataków basiliskosa?

Zaintrygowany Paulsen wyciągnął dokumenty.

- Na początku spadochroniarz z dywizji „Herman Göring”... - Uważnie przeglądał kartki. - Potem był, hm, mechanik z Luftwaffe, ale niewiele widział. Niestety, spadochroniarza nie da się już przesłuchać. Dwa dni później odmówił pójścia na zwiad do centrum Warszawy i stanął przed sądem polowym.

- Rozstrzelali go? - zainteresował się Kloch.

Major przejrzał papiery.

- Nie, wysłali na front wschodni do karnej kompanii.

Worenman westchnął.

- Teraz to niedaleko stąd. Pogadam z Haydrichem, może go ściągnie z powrotem. Zauważyliście, że obaj ocaleni byli z lotnictwa? Może to coś nie żre pilotów? - Roześmiał się ze swojego dowcipu.

Paulsen schował dokumenty i ściszył głos.

- Uważaj na pułkownika. Według Kaltenbrunnera to wyjątkowa świnia, pozbawiona krzty honoru, lojalności czy patriotyzmu. Nie może wiedzieć za wiele o naszej misji, bo nas wyda Ruskom. A skoro jesteśmy przy komuchach... - Postanowił zrewanżować się za poczucie humoru Worenmana. - Sprawdź, czy ten Kaganowicz nie służył wcześniej w sowieckim lotnictwie.

Kloch w tym czasie zaczął badać szczątki Borysa.

- Ciekawe. Głowa została odgryziona po śmierci. - Przyjrzał się ze śladowym zainteresowaniem kawałkowi gazy, którym wcześniej przetarł wytrzeszczone oczy trupa. - Ślina na całej głowie, ale czaszka wygląda na nienaruszoną. To by znaczyło, że ją odgryzł i od razu wypluł. - Spojrzał na wielką kałużę krwi na środku pokoju. - Resztę ciała zabrał ze sobą. - Dotknął leżącej na podłodze głowy. - Zupełnie jakby zostawił ją specjalnie dla nas.

Nad resztkami Borysa pochylił się również Worenman. Uważnie przyjrzał się śladom po zębach.

- Niesamowite. Patrzcie na te rany. - Podniósł z ziemi odciętą głowę i zaczął ją obracać na wszystkie strony.

Obserwujący ich szeregowiec zbladł i wypadł na zewnątrz. Słysząc było, jak głośno zwymiotował.

- Jego zęby są ostre jak zęby drapieżnych ssaków, a nie gadów. - Niezniechęcony reakcją żołnierza Worenman kontynuował oględziny. - Cholera, pierwszy raz coś takiego widzę. Krokodyle tak by nie potrafiły. Widzicie, one tylko łapią w paszczę swoje ofiary, po czym zaczynają się obracać wokół własnej osi, aby je rozerwać na strzępy. Ten natomiast ma zęby tak ostre, że bez takich sztuczek może odgryźć rękę. Albo głowę - dokończył speszony, kładąc na ziemi szczątki nieszczęsnego Borysa.

Paulsena zastanawiało coś innego. Rozejrzał się po zdewastowanym pokoju.

- Przyjmijmy, że zeżarł tego Rosjanina. Wygląda więc na to, że wylazł z kanałów, aby zdobyć świeże mięso. Dlaczego jednak tu, w tym domu? Są łatwiejsze cele w okolicy.

- Jeszcze nie wiem, po co tu przylazł, ale chyba wiem, jak się tu dostał. - Kloch machnął ręką w kierunku żołnierzy. - Wy dwaj, za mną.

Worenman postanowił jeszcze zostać w budynku i zbadać ślady pozostawione na wyważonych drzwiach wejściowych. Major z Klochem i dwoma szeregowcami wyszli na ulicę. Obaj żołnierze natychmiast zaczęli się czujnie rozglądać po dachach i oknach pobliskich kamienic.

- Moim zdaniem wyszedł ze ścieku tędy i tą samą drogą wrócił. - Wskazał pobliski krater po ciężkim pocisku artyleryjskim, który zniszczył dużą część ulicy, przy okazji odsłaniając fragment kanału.

Podeszli bliżej. Na krawędzi krateru widać było ludzką rękę. Na jej nadgarstku były trzy zegarki. Kapitan podniósł znalezisko i przyjrzał mu się bliżej.

- No dobrze, to jest nasz ruski... - W tym momencie głowa Klocha eksplodowała.

Paulsen, widząc padające ciało, obejrzał się zdziwiony. I ten właśnie ruch uratował mu życie. Następny pocisk, który miał trafić go w czoło, zestrzelił mu czapkę i trafił w pierś stojącego za nim żołnierza. Szeregowiec z cichym jękiem padł na ziemię. Drugi żołnierz nie czekał.

- Snajper! - wrzasnął i szarpnął majora za ramię.

Pognali w kierunku kamienicy, z której przyszli. Mimo że biegli szybko małymi zakosami, tych kilka metrów wydawało się Paulsenowi kilometrami.

Sierżant, który stał w progu kamienicy, poderwał karabin i posłał serię w podejrzenie wyglądające poddasze. Nie miał nadziei trafienia polskiego strzelca, chciał go jednak na moment czymś zająć, by dać czas Paulsenowi na schowanie się. Właściwie można powiedzieć, że mu się to udało. Trzeci pocisk trafił sierżanta w głowę dokładnie w momencie, kiedy major wbiegał do budynku.

- Przeklęci Polacy! - Paulsen zawył z wściekłości, gdy tylko złapał oddech.

Poruszony Worenman popatrzył na niego.

- Co się stało? Gdzie jest Kloch?

Major pokręcił przecząco głową.

- SS-Hauptsturmführer Albert Kloch właśnie poległ na posterunku - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Sierżancie - złapał za ramię radiotelegrafistę - natychmiast ściągnijcie pomoc. Proszę również zorganizować bezpieczny transport. - W tym momencie kula przebiła szybę i uderzyła w ścianę za majorem. - Najlepiej transporter opancerzony pod osłoną czołgu - dodał cicho.

Zmęczony przysiadł na krześle. Właśnie stracił Alberta i ani trochę nie przybliżył się do rozwiązania zagadki. Podświadomie utkwiał wzrok w zwłokach leżącej na stole kobiety, jakby oczekiwał, że to właśnie ona wyjawia mu sekret jaszczura.

22 sierpnia, Okęcie

Złocisty płyn błyszczał w półmroku kantyny oficerskiej. Kapitan Worenman spojrzął na szklankę pełną osiemnastoletniej wyśmienitej szkockiej whisky i zamyślił się.

Powrót z pierwszego wyjścia w teren nie należał do najprzyjemniejszych. Paulsen zamienił z nim zdawkowo kilka słów, po czym umilkł przybity. Resztę podróży na Okęcie spędzili w krępującej ciszy. Gdy ciężarówka zatrzymała się przed ich kwaterą, major bez słowa wysiadł i poszedł zorganizować transport zwłok Klocha do Berlina. Worenman nie narzucał mu się ze swoją pomocą. Wszedł do swojego pokoju, rozebrał się i wziął ciepły prysznic. Nie zdążył nawet się wysuszyć, gdy do drzwi zapukał sierżant pilnujący budynku.

Nie zważając na fakt, iż witający go oficer jest nagi, jeśli nie liczyć ręcznika, podoficer zameldował dziarsko, że w biurze majora Paulsena leży jakiś, ponoć oczekiwany przez nich, raport. Kapitan szybko przebrał się w czysty, choć mocno pognieciony mundur polowy i po chwili cicho wszedł do gabinetu majora. Paulsen spojrzął na niego przelotnie, po czym wrócił do pakowania rzeczy osobistych zmarłego kolegi. Worenman uznał, że major wyraźnie nie radzi sobie ze śmiercią wieloletniego współpracownika i potrzebuje trochę czasu na otrząśnięcie się. Rzucając urywane wyrazy współczucia, zebrał leżący na biurku pokaźny plik papierów i wyszedł. Do swojego pokoju wszedł tylko na chwilę, żeby zabrać z walizki butelkę glenlivena.

Teraz siedział w półmroku kantyny i wbijał wzrok w pełną szklankę. Wpatrując się w złocisty płyn, starał się sobie przypomnieć twarz zabitego naukowca. Spokojnym ruchem przytknął szklankę do ust i gwałtownie odchylił głowę do tyłu, wznosząc w milczeniu toast za spokój duszy zmarłego. Whisky łagodnie podrażniła gardło, jednocześnie przyjemnie rozgrzewając.

- Pora wziąć się do roboty - wymruczał do siebie.

Z niechęcią odłożył na bok rozpoczętą butelkę i sięgnął po filiżankę przyniesionej przez tę polską kelnerkę, Izę, brązowej breji, którą tu serwowali zamiast kawy. Gorzki smak spowodował, że aż się wzdrygnął. W przypiływie wisielczego humoru stwierdził, że tutejsza kantyna oficerska nie miała nawet połowy zapasów, które Haydrich serwował na swoim bankiecie.

Ze wstrętem odstawił filiżankę i zabrał się do wertowania dokumentów.

Początkowo przeglądał pobieżnie poszczególne raporty z miejsc ataku jaszczura, jedynie od czasu do czasu robiąc krótkie notatki. Dłuższą chwilę spędził dopiero na analizowaniu raportu ze znalezienia zwłok grenadierów w tunelu rosyjskiej cytadeli. Cały dokument był jednak chaotyczny i mocno lakoniczny. Westchnął głęboko, łyknął trochę alkoholu i zaczął dokładnie czytać dokument.

Co jakiś czas przerywał studiowanie papierów i zamykał oczy. Starał się dopasować do siebie wszystkie fakty i odtworzyć w pamięci scenę ataku gada. Przypominało to trochę wróżenie z fusów, ale Worenman był doświadczonym tropicielem, do czego zresztą nikomu się nie przyznawał.

Z mozołem odtwarzał różne możliwe warianty ataku, aby uzyskać odpowiedź na pytanie, z jakiego rodzaju drapieżnikiem ma do czynienia. Gdy tylko odkrył coś nietypowego, natychmiast to zapisywał. W pierwszej kolejności wyszukiwał te informacje, które pasowały do tego, co sam już wcześniej zaobserwował. Rozległe rany po ugryzieniach czy szramy po pazurach przednich łap potwierdzały jego teorię o sposobie poruszania się gada i jego użębieniu. W raportach było jednak też kilka nowych elementów.

Liczne złamania kości ofiar wskazywały na to, że gad do walki używa również ogona. Najwyraźniej zwierz, podobnie jak niektóre krokodyle, zadawał nim potężne uderzenia w trakcie szarpaniny z kilkoma przeciwnikami naraz. Co ciekawsze, w raporcie znalazł opis zwłok sierżanta Thorensena przebitego czymś na wylot. Wyglądało więc na to, że basilisk potrafi nie tylko walić ogonem jak cepem, ale również nabijać na niego ofiary.

Jeszcze raz przeanalizował raport z masakry w rosyjskim tunelu. Tym razem nie skupiał się na metodach zabijania, lecz na samej taktyce drapieżnika. Pierwszy zginął oficer, mimo że prawdopodobnie szedł w środku formacji.

- Interesujące - wymruczał cicho, skrupulatnie zanotowawszy ten fakt.

Zaraz potem gad zaatakował żołnierzy idących na czele kolumny, wywołując w oddziale panikę i chaos. Wyglądało na to, że w zamieszaniu wielu żołnierzy pozabijało się wzajemnie. Pozostałych gad systematycznie uśmiercał. Żadnych rannych, którzy po odejściu zwierza zmarli z wykrwawienia. Systematycznie uśmiercał wszystkich ludzi, jakby samo

zabijanie sprawiało mu przyjemność. Worenman skrzywił się na tę myśl, tak bardzo niepasującą do zachowania zwierząt.

No i wreszcie rozszarpanie na strzępy żywego jeszcze szeregowego Krantza. Worenman przerwał czytanie i zanotował kolejną informację.

A jednak torturuje ostatnią ofiarę, przemknęło mu przez głowę.

Ostatnią? Zaraz, zaraz. No tak, brakowało jeszcze ciała kaprała Aschera. Została po nim tylko odgryziona w łokciu ręka.

Zapasy żywności? Worenman z pewnych wahaniem zanotował to pytanie. Wszystko jednak na to wskazywało. W pozostałych przypadkach też okazywało się, że brakuje jakiejś osoby, ale dopiero teraz zwrócił na to uwagę.

Podsumował zebrane dotąd informacje o taktyce gada i zasepił się. Nic się nie zgadzało. Każdy atak był inny, każdy cel był inny. Początkowo ofiarą basiliskosa padały pojedyncze osoby. Później gad rzucał się również na niewielkie dwu, trzyosobowe grupy. Ostatnio jednak także atakował większe oddziały wojska, co dla Worenmana było dość zaskakujące. Zwierz nie bał się konfrontacji z ludźmi. On wręcz do niej dążył. Cywile, partyzanci czy uzbrojeni po zęby niemieccy szturmowcy. Kobiety, mężczyźni, dzieci czy starcy. Nie robiło to temu drapieżnikowi żadnej różnicy.

Kapitan w zamyśleniu podrapał się po świeżym zaroście na policzku. Nawet w przypadkach torturowania nie było żadnej reguły. Najczęściej gad rozrywał ofiarom brzuchy i wyjadał wnętrzności. Albo miażdżył głowy i wychłępywał mózgi. Albo miażdżył ręce i wysysał szpik. Właśnie, wszędzie to „albo”.

Co do taktyki polowania to najliczniejsze były przypadki, gdy gad atakował od tyłu, zniemacka czając się na ofiarę. Niestety, niemal równie często stosowana była taktyka ataku czołowego, całkowicie pozbawiona finezji. Po prostu brutalna siła, jak w przypadku napaści na Powiśle. Ciężkie dębowe drzwi wejściowe zostały wyrwane z zawiasów po kilku ciosach łapą i łbem. Zwierz musiał bardzo chcieć dostać się do środka, i to w środku dnia. Taktyka polowania krokodyli odpadała więc zupełnie.

Interesujący był też dobór celów jaszczura. Nie atakował najpierw najsłabszych ludzi w grupie, jak to robią polujące gepardy. Nie rozpraszał atakowanej grupy na mniejsze, jak to robią lwy. Według obserwacji Worenmana gad raczej najpierw atakował najsilniejsze

jednostki, potem wybijał resztę. Zupełnie jakby bronił swojego terytorium przed innymi drapieżnikami.

Tak. Obrona terytorium była najbardziej pasującą teorią. Tyle że ataki następowały w tak różnych miejscach i okolicznościach, a także w tak odległych od siebie obszarach Warszawy, że trudno było jednoznacznie wskazać na działanie motywowane obroną terenu. No, może z wyjątkiem ataków w kanałach, z których gadowi udało się skutecznie wypędzić zarówno Polaków, jak i Niemców. Worenmanowi nasunęła się tylko jedna hipoteza. Dość dziwna zresztą, jak sam przyznał przed sobą. Wyglądało bowiem na to, jakby zwierz po prostu przeszukiwał ogarniętą walkami Warszawę. I to w jakimś konkretnym celu.

Podrapał się w głowę i nalał kolejną porcję whisky.

Ostatni do przejrzania był raport niejakiego majora SS Ludwika Krafta, opisujący znalezione zwłoki niemieckich żołnierzy ze Śródmieścia. Wyglądało na to, że grupa obrońców z Pałacu Brühla, nie czekając na ratunek, usiłowała przedostać się na Wolę. Błąkali się przez kilka dni po ogarniętym walką mieście i w końcu postanowili uciec kanałami. Sprawę uznano za ważną, gdyż wśród nich była sekretarka generała Reinera Stahela, dwudziestotrzyletnia Greta Weiss. Worenman zerknął ciekawie na fotografię dziewczyny. Ładna szatynka, trochę przy kości. Grupa, oczywiście, nigdy nie dotarła do niemieckich pozycji, a ich ciała odnaleziono trzy dni temu. Przez jakiś czas po prostu sądzono, że dopadli ich Polacy i bestialsko zamordowali. Dopiero ekipa Krafta znalazła prawdziwy powód śmierci czterech żołnierzy i młodej sekretarki.

Już po przeczytaniu kilku zdań raportu Worenman miał ochotę wypić zdrowie nieznanego mu majora Krafta. Widać było, że facet, zanim wstąpił do SS, pracował wiele lat w Kripo. Dokument był zwięzły i precyzyjny, przy tym pełen interesujących opisów, a nawet zdjęć. Worenman zerknął na jedno z nich i zrobiło mu się niedobrze. Człowiek na fotografii miał rozpruty brzuch. Widać było wypływające wnętrzności.

Major Kraft zauważył między innymi, że żadne ze zwłok nie nosiły śladów pogryzień przez szczury, których było przecież mnóstwo dookoła. Jakby odstraszał je sam zapach basiliskosa pozostawiony na trupach. Worenman zanotował to jako nieistotną ciekawostkę.

W tym momencie zmuszony był przerwać oglądanie zdjęć, bo kelnerka przyniosła mu lokalną potrawę. Swoją drogą zastanowiło go, jak polska potrawa może nazywać się „pierogi ruskie”. Zresztą cokolwiek by to było, danie zrobione zostało po mistrzowsku. Zjadł je

z apetytem, od czasu do czasu popijając pierogi przyniesionym przez kelnerkę piwem. Odłożył na bok pusty talerz i powrócił do czytania raportu.

Przeglądając opis miejsca walki, coraz bardziej był pełen podziwu dla Krafta. Z oględzin zwłok ekspolicjant wysuwał niemal takie same wnioski jak Worenman. Niemal, bo w przeciwieństwie do Krafta podróżnik wiedział, że sprawcą śmierci tych ludzi nie było „coś cholernie wielkiego i wrednego”, jak to napisał w raporcie były policjant, lecz na wpół mityczny gad.

Coś się jednak nie zgadzało. Kraft zwrócił uwagę na nietypowe obrażenia ciała Greta Weiss. Przede wszystkim zaciekało go, dlaczego wszystkie rany były zadane po śmierci dziewczyny. Bliższe oględziny ukazały nietypowe obrażenia wokół ust, uszkodzenia wewnętrzne krtani i gardła. Worenman gwałtownie zerwał się z krzesła, trzymając w ręku kartkę papieru z sensacyjnym tekstem.

- Ha! - z jego gardła wyrwał się krótki okrzyk tryumfu.

Momentalnie wszyscy w kantynie ucichli i zdumieni odwrócili się w jego stronę.

Worenman uśmiechnął się głupkowato i machnął trzymanym w ręku papierem.

- Znalazł się zaginiony transport skarpet - wyjaśnił głośno.

Usiadł z powrotem na krześle i nalał sobie kolejną porcję whisky. Jednocześnie roziskrzonym wzrokiem czytał dalszą część raportu Krafta. Zwłoki dziewczyny były dziwnie poszarzałe. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że to ona była ostatnią ofiarą jaszczura z tej grupy. Worenman odchylił się na krześle, omal nie przewracając się do tyłu. Jego głowę zaprzętała tylko jedna myśl.

- Nie torturował jej. Przynajmniej nie jak pozostałe ofiary - wyszeptał przejęty odkryciem.

Pośpiesznie rzucił na stół dwieście reichmarek, zakorkował butelkę i schował do torby razem z dokumentami. Przypomniawszy sobie dzisiejsze oględziny na Powiślu. To już druga kobieta pojawiająca się w tej sprawie.

Intuicja podpowiadała mu, że znalazł coś ważnego.

Noc z 22 na 23 sierpnia, Wola (tereny byłego getta)

Już od ponad trzech tygodni mroki nocy w Warszawie nie rozświeślały neony reklam czy uliczne latarnie, lecz łuny pożarów, jednak na terenie dawnego getta warszawskiego nic się nie zmieniało. Od roku było tu mroczno, posępnie i pusto. Walki w tym rejonie prowadzono tylko za dnia. Wieczorem za milczącym porozumieniem obie strony przerywały ogień i chowały się w ruinach.

Jak każdej nocy dzielnicę opanowywały bezwzględne hieny cmentarne. Grupy degeneratów obu stron przeczesywały ruiny w poszukiwaniu skarbów, które, jak wierzono, zostały ukryte pod koniec żydowskiego powstania poprzedniej wiosny. Cały teren straszył szkieletami wypalonych budynków.

Przez to ponure cmentarzysko przedzierał się niewielki niemiecki czołg. Wolno manewrując wśród gruzów, niestrudzenie posuwał się do przodu. Jego jedyny ocalały reflektor z trudem oświetlał drogę. Mimo ograniczonej widoczności dowódca czołgu, porucznik Weber, nie zdecydował się otworzyć wjazdu i kierować czołgiem z wieżyczki. Choć minął już rok, wciąż w oddziale była świeża pamięć o bezsensownej śmierci dowódcy batalionu majora von Rautta na ulicach Charkowa. Jak to powiedział jego adiutant:

- Po prostu wychylił się z wieży i od razu dostał w twarz. Nawet nie zauważył, co go trafiło.

Dlatego też porucznik mimo ciemności zawzięcie siedział pod pancernem i klął na całą tę sytuację. Jego PzKpfw II nie nadawał się do walk w mieście i normalnie pełnił rolę patrolową lub policyjną. Głupota generała von dem Bacha pchnęła jego jednostkę prosto w piekło walk ulicznych na Śródmieściu. Po bezowocnym szturmie barykady i utracie jednego czołgu oddział otrzymał rozkaz do wycofania się.

Pech polegał na tym, że w czołgu przegrzał się silnik. Weber zawzięł się jednak i postanowił mimo wszystko ratować maszynę. Aż do wieczora pod sporadycznym ostrzałem Polaków naprawiali silnik. Niestety, przydzieleni do ochrony piechociarze bez słowa uciekli i pozostawili Webera oraz jego załogę na pastwę losu. Przez tych tchórzy musieli teraz samotnie przedzierać się przez nieprzyjazne miasto. I co gorsza, wyglądało na to, że zablądzi.

Nagle uderzenie w bok wstrząsnęło pojazdem i wyrwało porucznika z niewesołych rozmyślań. Czołg wykonał niekontrolowany skręt w lewo, po czym zatrzymał się. Silnik zgaśł, najwyraźniej znowu uszkodzony. Weber jednak na razie nad tym się nie zastanawiał. Bardziej interesowało go ustalenie, co to było...

- Zostaliśmy trafieni? - Kierowca Max wycierał spocone ręce w bluzę kombinezonu.

Raz po raz usiłował uruchomić silnik. Bez skutku.

Porucznik pokręcił przecząco głową.

- Już byśmy się palili. Raczej zostaliśmy przez coś staranowani. Willy, podaj mi latarkę - mruknął do radiotelegrafisty.

Mrucząc coś do siebie, otworzył właz w wieżyczce i ostrożnie się wychylił. Nikły promień latarki omiótł pobliskie ruiny domów.

- Coś widzisz? - Radiotelegrafista nerwowo lustrował teren przez szczeliny obserwacyjne.

- Ciii, chyba coś słyszałem - dobiegło z góry.

Porucznik zobaczył dwa czerwone błyski z prawej strony. Skierował tam latarkę, ale niewiele mógł dojrzeć. Nagle z ciemności coś na niego skoczyło, z hukiem lądując na czołgu. Pojazdem zatrzęsło. Weber nie zdążył zareagować, gdy przed jego twarzą pojawił się pysk pełen ostrych zębów rozwartych do ataku. Wrzasnął potężnie.

Dla siedzących w środku pancerniaków wyglądało to tak, jakby porucznika nagle wyrwało z pojazdu i uniosło w mrok. Czołgiem trzęsło, jakby skakało po nim coś ciężkiego. Powietrze ponownie rozdał ludzki krzyk. Radiotelegrafistę sparaliżowało na moment przerażenie. Ruszył się, gdy dopiero usłyszał wrzask Maksa.

- Zamknij wieżę, do cholery! - Jego głos dudnił niesamowicie we wnętrzu pojazdu. Słychać było, że również był wystraszony.

Czołg zakołysał się mocno po raz ostatni, tym razem jakby to coś z niego zeskoczyło. Max zamknął właz, dopadł karabinu maszynowego w wieżyczce i zaczął nerwowo rozglądać się dookoła. Gdzieś z prawej rozległ się przeciągły skowyt mordowanego człowieka, który po chwili przeszedł w upiorny bulgot przerywany mlaskaniem. Max na ślepo puścił serię

w kierunku, z którego dochodziły dźwięki. Błyski wystrzałów rozjaśniły na moment ciemności. Pod czołgiem ujrzał monstrualnego jaszczura pożerającego wnętrzności umierającego porucznika. Zanim jednak zdążył skorygować ogień, potwór znikł w ciemności. Pociski podziurawiły tylko ciało Webera.

- Jasna cholera! Widziałeś to? Co to było? - Willy szarpnął ramieniem Makska.

Zanim jednak zdążył usłyszeć odpowiedź, czołgiem znów zatrzęsło. Zazgrzytały gąsienice po bruku i pojazd zaczął się przesuwac w bok. Max mógłby przysiąc, że słyszał również zgrzyt szponów po kamieniach i panczerzu, gdy wielka bestia próbowała zepchnąć ich z drogi. Widząc, że Willy rozpaczliwie kręci wieżę w poszukiwaniu celu, rzucił się w kierunku radia. Złapał za słuchawki i zaczął szybko mówić spanikowanym głosem:

- Tu czołg porucznika Webera z 218 batalionu policyjnego. Do wszystkich, którzy nas słyszą. Jesteśmy atakowani przez jakieś zwierzę, powtarzam, jesteśmy atakowani...

W tym momencie spychany czołg lewą gąsienicą zawadził o gruzy i przechylił się mocno na bok. Max stracił równowagę i uderzył twarzą prosto w radio, uszkadzając odbiornik. Jednocześnie Willy wypuścił długą serię z karabinu maszynowego, mając nadzieję, że przynajmniej odstraszy to napastnika. Przez moment wydawało mu się, że trafił, bo tajemniczy potwór przestał spychać czołg z drogi. Pojazd z hukiem wylądował na obu gąsienicach.

Zanim jednak obaj żołnierze zdążyli ochłonać, pojazdem znowu zatrzęsło. Coś w furii waliło łbem w bok czołgu, usiłując dostać się do środka. Max z przerażeniem patrzył, jak hartowana pancerna boczna płyta niebezpiecznie trzeszczy i nieznacznie się wygina. Z zewnątrz dobiegały ich mrozące krew w żyłach porykiwania i sapanie. Z przeciągłym jękiem zerwała się lewa gąsienica. Rozległ się głośny klekot, po którym walenie na moment ustało. Najwyraźniej dźwięk rozwijającej się gąsienicy spłoszył napastnika. A przynajmniej obaj pancerniaczy mieli taką nadzieję.

Zanim Willy zdążył obrócić lufę karabinu zainstalowanego w wieżyczce, pojazdem zatrzęsło po raz kolejny. Tym razem bestia wskoczyła na czołg, a szpony zazgrzytały na wieżyczce i górnym panczerzu pojazdu. Potwór w furii usiłował dostać się do środka. Drapał, walił łapami, gryzł okablowanie. Któreś z uderzeń łapą okazało się nadzwyczaj celne, gdyż podbita do góry kolba karabinu maszynowego uderzyła Willego w szczękę. Zamroczony opadł na dno pojazdu i ze zgrozą przyglądał się, jak również tylec działa zaczyna się ruszać. Rozległ

się przeciągły zgrzyt i lufa dwudziestomilimetrowego działka pękła na pół. Obaj pancerniaczy schowali się w głębi czołgu i wyciągnęli pistolety. Czekali na najgorsze.

Pojazd trzął się w rytm ruchów potwora, którego szpony w bezsilnej złości drapały metal. Wściekłe sapanie stawało się coraz chrapliwsze. W pewnym momencie wszystko uspokoiło się. Ucichły również wszelkie hałasy. Wyglądało na to, że bestia zmęczyła się i po prostu odeszła. Mimo to żaden z czołgistów nie poruszył się. Bez ruchu przesiedzieli całą noc w zdewastowanym czołgu.

Dopiero nad ranem wziął ich do niewoli powstańczy patrol, który ku irytacji obu Niemców składał się z dwóch harcerzy dowodzonych przez jakiegoś Serba. Cała piątka z osłupieniem obejrzała wrak czołgu, a zwłaszcza widoczne na pancerzu rysy po pazurach. Niemcy znacząco popatrzyli na siebie, po czym rozglądając się czujnie dookoła i poganiając swoją eskortę, pobiegli w stronę najbliższych polskich pozycji.

23 sierpnia, Wola

Peter Paulsen przechadzał się po ulicy, próbując opanować ogarniającą go wściekłość. Nastąpił wreszcie przełom w sprawie, choć nie on się do tego przyczynił. Tłumaczył sobie, że to z powodu załamania bezsensowną śmiercią Klocha poprzedniego dnia, za którą po części się winił. Jak tylko nadjechała ich eskorta, korzystając z osłony transportera opancerzonego, dotarli do ciała Klocha. Okazało się jednak, że Polacy ich uprzedzili. Zginęła broń naukowca oraz karabin żołnierza eskorty. Co gorsza, powstańcy zabrali wszystkie dokumenty, w tym, o zgrozo, notatnik Klocha, w którym skrzętnie zapisywał każdą informację na temat misji. Nie wróżyło to dobrze na przyszłość. Paulsen ze złością kopnął kamień leżący na drodze. Myślami wrócił do pomysłu podróżnika.

Worenman odkrył w sprawie jaszczura pewną anomalię, na którą, jak mówił, podświadomie naprowadziła go tamta martwa polska arystokratka. Odnalezione do tej pory zwłoki były porozrywane, pogryzione lub poszarpane szponami. Rany jednak zadawane były przez gada żywym jeszcze ludziom. Większość zwłok była też w jakimś stopniu nadgryziona. A tu znalazł się zaskakujący wyjątek.

Worenman zwrócił uwagę na sekretarkę, gdyż jej ciało nosiło ślady ran zadanych przez jaszczura dopiero po śmierci dziewczyny. Co więcej, zwłoki miały jakby szarawą barwę, na co nikt nie zwrócił początkowo uwagi, bo były mocno nadjedzone przez gada. Dokładne badanie ciała Greta wskazało, że powodem śmierci było uduszenie.

Według porucznika Novaka, sprowadzonego dzięki znajomościom Haydricha z frontowego szpitala chirurga polowego 19 dywizji pancerniej, coś wepchnięto jej głęboko i z dużą siłą do gardła, aż do tchawicy, powodując poszerzenie krtani i liczne rany, a w konsekwencji odcięcie dopływu tlenu i śmierć. Na jej zębach znaleziono ślady śluzu, z czego wywnioskowano z pewnymi obawami, że przedmiotem wepchniętym w gardło był... jęzor gada.

Z raportu majora Krafta wynikało, że Greta znaleziona została w pewnej odległości od reszty grupy, w ślepych zaułku kanału. Stąd też wysnuto wniosek, iż zginęła jako ostatnia. Jednakże nic nie tłumaczyło tej niecodziennej śmierci, nawet jeśli chodziło o atak kilkumetrowej długości jaszczura.

Na pytanie Paulsen o testy na obecność trucizn, co mogło mieć związek z szarym odcieniem skóry zmarłej, chirurg polowy wybuchnął śmiechem. Paulsen zacisnął zęby i w milczeniu przełknął to jawne szyderstwo. Czego zresztą można było się spodziewać po przyfrontowym szpitalu polowym. Zanotował jednak taką ewentualność do sprawdzenia w przyszłości. Jeszcze raz przeanalizował sytuację na miejscu znaleziska. Zazwyczaj gad pojawiał się, mordował w furii, a potem krótko znęcał się nad jedną z ostatnich ofiar. Następnie odchodził pośpiesznie często z żywą jeszcze zdobyczą. Tymczasem nad Gretą musiał „trochę popracować”, jak mawiali oficerowie SD. I wyraźnie czegoś od niej chciał...

Reszta poszła banalnie łatwo. Wiedząc już, na co zwracać uwagę, znaleziono jeszcze trzy poszarzałe ciała młodych kobiet. Jak w przypadku Greta, nie dało się na pierwszy rzut oka ustalić przyczyny śmierci dwóch powstańczych sanitariuszek i jednej łączniczki AK. Wszystkie ofiary miały te same obrażenia tchawicy i gardła oraz zginęły w kanałach w różnych rejonach ogarniętej walką Warszawy. Ich ciała, podobnie jak w przypadku Greta, zostały okaleczane, gdy ofiary już nie żyły. Fakt poszarpania zwłok tych kobiet po śmierci Paulsen kładł bardziej na karb nieokiełznanej furii basiliskosa niż planowego działania. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Był jeszcze jeden element, który nie za bardzo chciał pasować do układanki. Ślady ugryzień gada układały się w równe półkole, wskazując na krótki, masywny, tępo zakończony pysk. Paulsen z kolei do dziś pamiętał tę straszną noc w Afryce. A przede wszystkim pamiętał tamtego basiliskosa, którego widział zaledwie przez sekundę w świetle eksplozji dynamitu w erytrejskiej jaskini. Szczególnie zapadł majorowi w pamięć krótki, szpiczasty, niemal papuzi dziób pełen ostrych jak sztylety zębów. Podobny pysk miał okaz ze Schlezwigu.

Major podrapał się w głowę. Może to deformacja? Może inny typ basiliskosa? Albo coś zupełnie innego?

- Cholera, że też Albert musiał dać się zastrzelić. On by miał już jakieś wyjaśnienie albo przynajmniej teorię - wymruczał do siebie po cichu.

Brakowało mu pomocy małego przygarbionego naukowca. Starał sobie przypomnieć dokumentację, którą przeglądał kilka dni temu. Chyba w starożytnej Grecji był basiliskos z takim pyskiem. Major postanowił, że wieczorem jeszcze raz to sprawdzi.

Niestety, pobieżne badanie zwłok przez wojskowego chirurga to było wszystko, co Haydrich mógł im załatwić w tak krótkim czasie. Warszawskie biuro medycyny sądowej już

dawno leżało w gruzach, a nikt nie chciał się zgodzić na transport ciał do Krakowa czy Poznania, nie udało się więc przeprowadzić dokładnej sekcji zwłok żadnej z kobiet. Również porucznik Novak zbył Paulsena machnięciem ręki, dając do zrozumienia, że ma teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż krojenie trupów.

Jak stwierdził pułkownik Haydrich: „Cóż zrobić, wojna”.

- To nic, znamy teraz jego czuły punkt - powiedział cicho major sam do siebie przez zaciśnięte usta. Przypomniała mu się martwa kobieta w domu na Powiślu, gdzie zginął Kloch. To nie jedzenia szukał na powierzchni, tylko kobiety, choć Bóg jeden wie po co. Major był jednak pewien, że to odkryje.

Problem, który go teraz trapił, to fakt, że żaden basiliskos tak się nie zachowywał. No, a przynajmniej nic o tym nie było wiadomo. Wśród znalezionych zwłok znajdowali już wcześniej ciała kobiet, ale jaszczur po prostu rozrywał je jak inne ofiary. Co te cztery nieszczęsnice mogły mieć wspólnego z tym potworem? A może coś je łączyło ze sobą?

Zasępił się. Oczywiście wszystkie cztery były młode i na swój sposób piękne. Paulsen jednak wątpił, żeby stwór, czymkolwiek był, stosował ludzkie kryteria estetyki. I dlaczego, do cholery, wszystkie zostały zabite w taki właśnie sposób? Czemu to miało służyć? Zaczęły ogarniać go wątpliwości. Czyżby jednak mylili się z Klochem co do tego zwierzęcia? Może warto poeksperymentować, żeby się przekonać, z czym mają do czynienia. Ze złością kopnął kawałek gruzu.

Jego rozmyślenia przerwał narastający warkot silników. Wszyscy oficerowie i żołnierze poderwali głowy do góry. Nad Warszawą nadlatywała właśnie formacja alianckich ciężkich bombowców. Major ze zdziwieniem zauważył, że nikt z towarzyszących im żołnierzy nie ucieka do schronu. Wszyscy nadal wykonywali swoje czynności jak gdyby nigdy nic. Zirykowany rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, skąd ta nagła gra nerwów. Przydzielony mu do pomocy kapitan Wehrmachtu Bullow dostrzegł jego zdenerwowanie.

- Spokojnie. To nie nalot, tylko zrzut. Anglicy wspomagają Polaków, jak mogą, ale i tak większość ładunku przejmujemy my. - Jego zmęczoną twarz naznaczoną blizną po oparzeniu wykrzywił uśmiech - Te czterosilnikowe maszyny to liberatory amerykańskiej produkcji. Widzi pan, jak wysoko lecą? Szykują się do zrzutu. Nigdy niczego tutaj nie atakują...

Jakby chcąc zaprzeczyć słowom kapitana, jeden z bombowców wyłamał się z formacji i zaczął szybko obniżać lot. Huk jego silników po prostu ogłuszał.

- Pali się, dostał! - zaczęło dobiegać zewsząd.

Żołnierze zaczęli pokazywać sobie uszkodzony samolot.

Również Paulsen z zaciekawieniem zaczął się przyglądać wrogiej maszynie. Wyglądało na to, że uszkodzenia są poważne. Dymiły się oba silniki na lewym skrzydle. Reszta formacji liberatorów, nie zwracając uwagi na uszkodzonego towarzysza, rozpoczęła zrzut. Na niebie pojawiło się mnóstwo spadochronów. Uszkodzony bombowiec coraz bardziej obniżał lot, ciągnąc za sobą smugę dymu.

Obok niego stanął Worenman. Podróżnik przyłożył dłoń do daszka czapki, by lepiej widzieć samolot przelatujący nisko nad Śródmieściem. Z jego ust zwisał ledwie tłący się papieros.

Nagle karabiny maszynowe uszkodzonego liberatora ożyły, otwierając ogień do niemieckiej kolumny piechoty szykującej się właśnie do kolejnego szturm na polską barykadę. Wyraźnie widać było błyski z wylotów podwójnych karabinów zamontowanych w ognie i na dziobie. W niebo strzelił dym z trafionej ciężarówki.

- Zawzięci ci angole - mruknął Paulsen z uznaniem. - Walczą, choć powinni ratować się na spadochronach.

- To nie Anglicy, to Burowie - ocenił chłodno Worenman, zaciągając się dymem. - Poznają emblemat złotego orła z szarfą namalowany na kadłubie samolotu. Dziwne, przybyli z tak daleka, by zginąć tu w nie swojej walce... - dodał trochę melancholijnie, śledząc wzrokiem lot samolotu.

Mimo pesymizmu Worenmana wyglądało na to, że pilot da radę wyprowadzić maszynę z lotu nurkującego. Bombowiec, mimo ciężkich uszkodzeń, zaczął się nieznacznie unosić. W tym momencie odezwała się artyleria przeciwlotnicza z okolic mostu Poniatowskiego. Jeden z pocisków trafił idealnie w ogon nisko lecącego liberatora, który z przeciągłym rykiem dwóch pozostałych silników zwałił się na ziemię gdzieś w północnej części Starego Miasta. Na horyzoncie pojawiła się potężna eksplozja. Żołnierze zaczęli wiwatować.

Worenman rzucił na ziemię niedopałek i przydepnął go obcasem. Odwrócił się do Bullowa, który wciąż patrzył na pożar wywołany eksplozją bombowca.

- Proszę mi powiedzieć, kapitanie, ale tak bez wciskania propagandy, jak tu jest?

Bullow spojrział na niego zdziwiony.

- Bez propagandy? No cóż... - Westchnął ciężko. - Piekło. Prawdziwe piekło. Walczę na froncie od trzydziestego dziewiątego. Tutaj jest najgorzej. Mamy Rosjan za pasem, angoli nad głową i wściekłych Polaków dookoła.

- Jak to najgorzej? Przecież ci tutaj to zbieranina obdartusów bez broni ciężkiej, sprzętu pancernego i artylerii.

Kapitan Wehrmachtu splunął przed siebie.

- To wszystko przez tych debili z SS... - Zawiesił głos, przypomniał sobie, z kim rozmawia. - To znaczy chciałem powiedzieć, ludzi Dieterwalda i Kamińskiego. Nie biorą jeńców, więc Polacy na wszelki wypadek nie chcą się poddawać nikomu. Wam przede wszystkim radzę się zaopatrzyć w to. - Znacząco postukał po hełmie, który miał na głowie. - Polacy, z powodu ciągłych braków amunicji, są szkoleni do strzelania w głowę, a nie w korpus. Jak mawia ich propaganda: „Każdy pocisk, jeden Niemiec”, czy jakoś tak.

Paulsen pokiwał głową ze zrozumieniem, przypominając sobie śmierć Klocha. Więc to tak. W myślach westchnął z ulgi, bo już zaczął podejrzewać, że polował na nich jakiś polski albo, co gorsza, sowiecki snajper.

Bullow kiwnięcie głową majora wziął za zachętę do dalszego mówienia.

- Polacy walczą jak wściekłe bestie zagonione do narożnika. Nikt nikomu nie daje pardonu i sam go nie oczekuje. Ja sam musiałem zastrzelić młodą kobietę, która chciała rzucić w nas granatem. To już nie wojna. To... - zawiesił głos szukając odpowiedniego słowa - zagłada. Ich i nasza, bo oni nam tego nie darują... - Nagle się ocknął. Rozejrzał się dookoła zaniepokojony, jakby powiedział więcej, niżby chciał. Speszony zasalutował obu esesmanom. - Panowie wybaczą, ale służba... - Pośpiesznie oddalił się.

Paulsen odprowadził go wzrokiem, a gdy kapitan znikł za ciężarówką, powrócił myślami do czekającego ich polowania.

- Niezły burdel nam się trafił, nie ma co. - Worenman postanowił przerwać krępującą ciszę wywołaną defetyzmem Bullowa.

Major spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

- Jak wyniki badań zwyczajów łowieckich basiliskosa? Dowiedziałeś się czegoś?

Podróżnik przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, patrząc pod swoje nogi.

- Jest problem. Nic się nie zgadza. Nie ma żadnego schematu. Każdy atak jest w pewnym sensie unikalny, jakby ten zwierz dostosowywał swoją taktykę do celu, który atakuje.

Paulsen popatrzył na niego zdziwiony.

- Nie rozumiem. Przecież już wcześniej mówiłeś, że każdy drapieżnik dostosowuje się do swojej ofiary. Co w tym dziwnego?

- I tak się dzieje, ale w sensie ogólnym. Każde zwierzę dostosowuje taktykę łowiecką do gatunku, na który poluje - cierpliwie wyjaśniał. - Ten basiliskos z kolei... On jakby dopasowuje taktykę do konkretnych ludzi. Nie tylko studiuje ludzkie zwyczaje jak krokodyl, on je, niech to cholera, najwyraźniej analizuje. Widzi kogoś, na przykład tego tam żołnierza - wskazał ręką niczego nieświadomego sierżanta niosącego skrzynię z amunicją do karabinu maszynowego, - przez chwilę go poobserwuje, po czym przewiduje jego reakcje obronne. Kurwa, czymkolwiek ten basiliskos jest, proszę pamiętać, że w przyrodzie tylko jedno zwierzę jeszcze to potrafi. My.

Ponownie zapadła krępująca cisza.

- Co sugerujesz?

- Jeszcze nic, ale kwestia pozostaje otwarta. Zastanawia mnie coś jeszcze. Pamiętasz, co mówił Kloch o tym egzemplarzu ze Schlezwiku? Twierdził, że karmiono go na siłę wieprzowiną, bo wołowiny nawet nie chciał tknąć. Zaraz potem zdechł. Rozmawiałem kiedyś z wodzem jednego z plemion kanibali w środkowej Afryce. Twierdził, że wieprzowina przypomina w smaku ludzkie mięso, choć nie jest tak delikatna i słodka. - Worenman ściszył głos. - A co, jeśli tamten basiliskos nie zdechł ze starości, ale zatrul się jedzeniem? Co, jeśli te zwierzęta jedzą wyłącznie ludzkie mięso?

Paulsen obrzucił go szybkim spojrzeniem.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? - Również ściszył głos, rozglądając się niespokojnie. - Gatunek żerujący wyłącznie na ludziach? Po co, dlaczego i, kurwa, jak?

- Wiem, jak to brzmi, ale niestety ma sens. Czy basiliskos, na którego polowaliście z Klochem w Erytrei, atakował zwierzęta, czy tylko rzucał się na ludzi?

Major wbił zamyślony wzrok w ścianę naprzeciwko.

- Teraz, kiedy o tym wspomniłeś, to nie przypominam sobie niczego takiego. Ale na pewno nie był tak żarłoczny jak ten warszawski...

Worenman puścił mimo uszu ostatnią uwagę Paulsena.

- Jest jeszcze sprawa tych kobiet. Jak myślisz, co on z nimi robi? Powiem szczerze, że to już wykracza poza moje zdolności. Żaden zwierz nie zabija w ten sposób...

- A w jaki sposób zabija każdy z gatunków? - wszedł mu w słowo Paulsen. - W taki, jaki jest dla niego najdogodniejszy lub służy określonemu celowi. Zazwyczaj basiliskos zabija jak dzikie zwierzę ogarnięte furją. Jednak te kobiety zawsze zabija spokojnie i z pełną premedytacją. Pomyśl o tym przez chwilę. Potrzebuję szybko jakiejś teorii, nawet najdziwniejszej.

Podróżnik oparł się o szoferkę ciężarówki i zamyślił.

- Wiemy, że nie składa w nich żadnych jajek czy innego rodzaju nasienia. Ten czeski chirurg by to wykrył. To oznaczać może jedynie potrzebę pożywienia. Może on, nie wiem, zlizuje coś z ich gardeł, jakiś enzym występujący w tym miejscu ciała czy coś w tym stylu. Cholera, nie znam się na anatomii ludzkiego ciała.

Paulsen popatrzył na niego z uznaniem. Krótki czas i od razu sensowna teoria.

- Ja też się nie znam na budowie ludzkiego ciała. Niestety, ale to Kloch był w tej dziedzinie ekspertem. Podoba mi się jednak ten pomysł. Przyjmijmy na razie, że w skład pożywienia tego basiliskosa wchodzi nieznany nam czynnik „X”, który znajduje się w krtani młodych kobiet. - Pozostaje jeszcze kwestia szarego odcienia włosów tych kobiet - przyhamował jego entuzjazm. - Czy te basiliskosy mają jakiś jad? No wiesz, jak na przykład węże... - Jakby

wystraszył się własnego pomysłu. - Może mają więcej wspólnego z węzami niż krokodylami...
- dokończył, patrząc niepewnie na Paulsena.

Major zignorował dziwny ton kapitana.

- Tylko niektóre basiliskosy posiadają jad, i to w dodatku dość silny. Jeśli jednak by tak było w przypadku naszego gada, to wtedy wszystkie ofiary byłyby szare. A tak nie jest. Zresztą i bez jadu jego ugryzienie jest zabójcze. Ilość trupiego jadu na jego zębach powaliłaby pewnie słonia. Nie, tu musi chodzić o coś innego, i to związane z naszym czynnikiem „X”. Co do twojego pytania o węże... - Westchnął. - Według legend anglosaskich basiliskos jest uważany za króla węży. Kloch był jednak pewien, że Anglosasi po prostu pomylili basiliskosa z wurmem i stąd to błędne założenie. Inne nacje o czymś takim nawet nie wspominają.

Kapitan nie miał za szczęśliwej miny.

- Co robimy?

- Myślę, że mimo wszystko warto będzie trochę poeksperymentować - powiedział bardziej do siebie niż do Worenmana, zajęty już własnymi planami.

Z pewnością Paulsen czułby się jeszcze bardziej zaniepokojony, gdyby kapelan służący przy 19 dywizji pancерnej miał odwagę powiedzieć mu o pewnym małym drobiazgu. Mianowicie gromnice, które postawił przy trumnie Grety Weiss, nie chciały się palić.

24 sierpnia, pogranicze Woli i Śródmieścia

Kapral SS pchał przed siebie młodą wystraszoną dziewczynę w podartym ubraniu. Brutalnością maskował złość na majora Paulsena, że nie pozwolił mu się zabawić z jeńcem. Piękna długonoga blondynka z pełnymi piersiami to bardzo rzadki widok w Westfalii, z której pochodził. Tym bardziej był wściekły na majora i rozładowywał frustrację, szturchając i popychając dziewczynę.

Była sanitariuszka batalionu „Ruczaj” Magda Leśniewska od chwili wzięcia do niewoli żyła w ciągłym strachu. Lubieżne spojrzenia żołnierzy niemieckich towarzyszyły jej od momentu, gdy wczoraj wieczorem wyniesiono ją omdlałą z walącej się kamienicy na Mokotowie. To, że nie uratowano żadnego innego żołnierza z polskiego oddziału, nie wróżyło jej dobrze na przyszłość. Jeszcze w nocy strażnik rzucił się na nią, usiłując ją zgwałcić. Podarł jej bluzkę i sukienkę. Prawie mu się udało, ale na odgłos krzyków niespodziewanie pojawił się jakiś oficer w mundurze SS i na jej oczach skopał niedoszłego gwałciciela. Od tej pory nikt Magdy nie próbował choćby nawet dotknąć. Jedyne idący za nią kapral raz starał się złapać ją za piersi, ale na krótki okrzyk tego samego oficera natychmiast przestał.

Rozmyślenia Magdy nad własnym losem przerwała krótka wymiana zdań między dwoma oficerami SS. Na znak tego niższego kapral pchnął ją w kierunku wjazdu w kanał. Zatliła się w niej cicha nadzieja.

Wymiana jeńców? Może nasi schwytali kogoś ważnego? - przemknęło jej przez myśl.

Zajrzała do środka. W nozdrza uderzył ją smród ścieków. W półmroku dojrzała dwóch niemieckich żołnierzy w hełmach, którzy coś robili przy ścianie kanału.

Na ponaglący kopniak kaprala Magda zaczęła schodzić na dół i zobaczyła inną grupę w mundurach Wehrmachtu, które wyglądały na zimowe. Czując stęchły zapach kanałów, nie dziwiła się, że niektórzy z tych żołnierzy wyjmowali maski przeciwgazowe. Dwóch pchało przed sobą wózek z butlami i rurami. Gdy zeszła jeszcze niżej, wszystko pochłonął mrok.

Jej nadzieja zgasła, gdy schwytało ją za ręce dwóch żołnierzy Wehrmachtu w maskach przeciwgazowych i pchnęło na ścianę. Jeden przytrzymał ją przypartą do ściany, drugi złapał za rękę i zaczął przywiązywać do świeżo zamontowanych obręczy. Magda krzyknęła przestraszona, lecz żaden z żołnierzy nie zareagował, tylko po kolei przywiązywali jej ręce

i nogi do żelaznych kół. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Próbowwała uciec, ale jeden z żołnierzy siłą przytrzymał ją przy ścianie. Żaden z Niemców nie odezwał się do niej. Nawet nie próbowali spojrzeć jej w twarz. Taka obojętność była dla niej bardziej przerażająca niż wczorajsza próba gwałtu. Krzyknęła głośno w udręce. Jej głos odbił się echem w kanałach. Jedyną reakcją był cios w twarz. Nie było to jednak silne uderzenie, pełne złości czy agresji. Po prostu żołnierz uderzył ją od niechcienia, jakby opędzał się od natrętnej muchy. Pełna upokorzenia i strachu zawisała na obręczach, rozciągnięta na cuchnącej ścianie. Poczwała, jak łyzy zaczęły toczyć się po jej zabrudzonej twarzy.

Żołnierze, gdy tylko ją przywiązali, przestali zwracać na nią uwagę i zajęli się rozwijaniem rur i przewodów. Do kanału szedł jeden z oficerów SS oraz kapral SS, który ją tu przyprowadził.

Kapitan Worenman rozejrzał się dookoła. Żaden z żołnierzy nie poświęcił rozpiętej na ścianie Magdzie nawet sekundy uwagi. Worenman tylko przelotnie jej się przyjrzał z ledwie skrywanym żalem.

- Parszywa sprawa - wymruczał przez zaciśnięte zęby.

Trudno było ocenić, co miał konkretnie na myśli. Udział w tym wszystkim dziewczyny, swój czy Paulsena.

Złoszcząc się sam na siebie, odwrócił głowę od szlochającej sanitariuszki i przyjrzał się pracy żołnierzy. Zaciskając pięści, postanowił zmusić się do skupienia na czekającej go robocie.

Z kamienną twarzą sprawdził, czy żołnierze zakończyli już instalowanie butli z eterem, i rozejrzał się dookoła. Miejsce na pułapkę zostało wybrane idealnie. Krzyżowały się tu dwa korytarze biegnące ze Starego Miasta na Wolę oraz jedna ślepa odnoga biegnąca kilkadziesiąt metrów w kierunku północnym. Właśnie w tej odnodze, dwadzieścia metrów od pułapki, zaczął rozmieszczać się jego sześciuosobowy zespół.

Podszedł do swojego zaimprovizowanego stanowiska, gdzie, jak przeczuwał, przyjdzie mu spędzić kilka długich godzin w oczekiwaniu na zwierzynę. Dookoła panował półmrok, który z trudem rozjaśniał potężny reflektor ustawiony przy końcu odnogi. Dwóch żołnierzy w milczeniu rozstawiło karabin maszynowy MG-42 na przyniesionej skrzyni. Inny ustawiał po ścianą butle z gazem usypiającym. Zwalisty sierżant z blizną na twarzy sprawdzał zawory

i szczelność połączeń rur. Młody podchorąży podłączał kabel do polowego aparatu telefonicznego. Wszyscy mieli na sobie stroje do walki chemicznej i maski przeciwgazowe pod ręką. W przypadku, gdyby eter nie zadziałał, grupa majora miała wpuścić do kanału iperyt.

Ze zdziwieniem Worenman spostrzegł, że nigdzie nie ma kaprała SS, który mu towarzyszył. Uznał jednak, że kapral postanowił wrócić na powierzchnię.

- Łączność działa? - zapytał podchorążego Abła.

Ten skinął potwierdzająco głową i podał słuchawkę. Zanim jednak cokolwiek zdążył powiedzieć przez telefon, powietrze przeszył mrożący krew w żyłach krzyk.

*

Kapral Zelt cichutko wymknął się kapitanowi i podszedł do wiszącej na obręczach dziewczyny. Przez chwilę kontemlował w półmroku jej sylwetkę. Sanitariuszka nie zauważyła go jeszcze, jedynie cicho kwiliła.

Nie może się zmarnować taka dorodna gęś, pomyślał Zelt, wpatrując się w nagie piersi Magdy wystające spod skrawków bluzki.

Szybko podszedł do niej. Na dźwięk jego kroków podniosła głowę. Chciała coś powiedzieć, ale szybko przykrył jej usta dłonią.

- Ciii - szepnął z konspiracyjnym uśmieszkiem.

Wzdrygnęła się i szarpnęła gwałtownie. Kapral przycisnął ją do ściany. Prawą ręką nadal knebłował jej usta, lewą tymczasem złapał za krocze pod spódniczką. W oczach Magdy zapłonęła furia. Jeszcze raz szarpnęła się w pętach i próbowała ugryźć kaprała w rękę. Jej opór rozbudził nim żądzę. Lewa dłoń zaczęła wędrować ku nagim piersiom. Zaczął je głaskać i ścisnąć. Był tym tak pochłonięty, że nie zauważył zmiany na jej twarzy, oto bowiem Magda Leśniewska z rosnącym przerażeniem wpatrywała się już nie w gwałciciela, ale w coś, co stało tuż za nim. Jej parsknięcia wziął za dalszy ciąg „gry wstępnej”.

Nagle poczuł ogromny ból w prawym ramieniu i spojrzał tam w przestkach. Tuż przy swojej twarzy zobaczył duży łeb jaszczura trzymający w lśniących białych zębiskach jego łokieć. Szczęki gada zacisnęły się szybko, odgryzając rękę w przedramieniu. Krew z kikuta trysnęła na gada i dziewczynę. Zelt wrzasnął jak potępieniec i przewrócił się na plecy, gubiąc hełm. Magda zbladła i zaniemówiła ze grozy.

Jaszczur wolno podszedł do wijącego się na ziemi esesmana, położył mu łapę na brzuchu i zbliżył pysk do twarzy. Oczy kaprała niemal wyszły z orbit. Gad objął szczękami głowę i powoli zaczął je zamykać. Zelt wrzeszczał z ogromnego bólu, ale jaszczur nie odpuszczał. Konsekwentnie miażdżył głowę kogoś, kogo uznał za swojego konkurenta. Czaszka pękła wreszcie z chrzęstem, a przez ciało esesmana przebiegły drgawki.

Gad uniósł zakrwawiony pysk i zaryczał tryumfalnie. Błyszczące na czerwono ślepie wbił w wiszącą na obręczach Magdę, która zaczęła z cicha pojękiwać. Potwór zbliżył się do niej, wysunął jęzor zza pokrwawionych zębów i dotknął jej kolana. Wzdrygnęła się i zeszywniała. Ozór tymczasem, podobnie jak wcześniej ręka esesmana, zaczął przesuwać się ku górze. Minął wilgotny wzgórek, prześlizgnął się po brzuchu, pozostawiając mokry ślad. Następnie dotarł do piersi, przemknął pomiędzy nimi, znacząc jedną z nich krwawą linią, i cofnął się. Gad wspiął się przednimi łapami na ścianę, tak aby jego pysk znalazł się przy twarzy Magdy. Zadrżała, czując gorący oddech potwora na ustach i nosie. Gadzi jęzor zaczął błędzić po jej twarzy, dotykając ust, nosa i policzków. Sanitariuszka obróciła twarz ze wstrętem. Jaszczur wygiął łeb tak, aby nadal patrzył jej prosto w oczy. Jego ozór ponownie dotknął jej ust. Magdę ogarnęła fala mdłości. Otworzyła usta, aby zwymiotować. Gad tylko na to czekał. Jęzor mocno wbił się w jej usta i podążył ku gardłu. Dziewczyna szarpnęła się w więzach. Potwór mocniej na nią naparł. Poczowała, że zaczyna się dusić, jednocześnie jej gardło promieniowało niesamowitym bólem. Choć Magdzie wydawało się to niemożliwe, ozór potwora jeszcze bardziej się wsunął w głąb jej gardła. Na twarzy poczuła delikatny nacisk kłów. Szarpnęła się w konwulsjach. Choć jej wzrok przykuwały ślepie potwora nieustannie wpatrujące się w nią, do jej świadomości dotarł dziwny słodkawy zapach. Jednocześnie wszystko zaczęła spowijać biała mgła. Mimo przerażenia i bólu zaczęła się robić senna. Ból jakby zelżał. Gdy jęzor jaszczura sięgnął tchawicy, zaczęła dygotać. Biała mgła powoli zmieniała się w ciemność. Zakrztusiła się, gdy jęzor ranił tchawicę, poszerzając ją i parząc. Potem zawisła martwa na obręczach, na wieki obojętna na wszystko, co rozgrywało się wokół.

*

Worenman słysząc przeraźliwy, męski krzyk, od razu zorientował się w sytuacji.

- Zastrany gwałcieł - rzucił krótkie epitafium dla umierającego kaprała i ponaglił żołnierzy. W myślach przeliczał czas, który im pozostał. Jeśli mieli rację, basiliskos szybko załatwi kaprała i poznęca się nad dziewczyną. Jakies dwie, trzy minuty.

- Sytuacja? - rzucił do żołnierzy.

- Łączność działa - dobiegło zza jego pleców.

- Zabezpieczenie gotowe. - Starszy szeregowy Plaus, już w masce przeciwgazowej, siedział za karabinem maszynowym. Obok niego, też w masce, przykucnął inny szeregowy, trzymając w rękawicach pas amunicji.

- Gaz jeszcze niegotowy - zameldował sierżant Rochen.

Worenman odwrócił się wściekły do trzech żołnierzy przykręcających butle z eterem. Ich sylwetki zamajaczyły w słabym świetle latarki. Cholerny gad zaskoczył ich wszystkich. W kanale rozległ się krótki ryk.

- Ile czasu?

- Minuta, zaraz kończymy - usprawiedliwił się cicho stary sierżant. - W tej ciemnicy gówno widać.

Kapitan uspokoił się. Minuta wystarczy. To, czy Polka umrze, czy nie, było mu zupełnie obojętne. Poczł przyjemny dreszcz polowania, jak w czasie swoich wypraw do południowej Afryki.

- Peter, zaczęło się. Już tu jest - rzucił do słuchawki.

Nie założył jeszcze maski przeciwgazowej. Musiał słyszeć, co się dzieje kilkanaście metrów dalej w kanale. Najpierw do jego uszu dotarł jęk dziewczyny, potem jakiś mlask i odgłos szamotaniny. Zadźwięczały obręcze, na których zwisała Polka, ale jej samej już nie słyszał. Odgłos szamotaniny stopniowo narastał, podobnie jak to upiorne mlaskanie. Kapitan poczuł chłód na karku i kurczowo zacisnął palce na słuchawce. Obok niego przykucnął sierżant Rochen już w masce, trzymając rękę na zaworze gazu. Pozostali żołnierze również założyli maski i stanęli z karabinami przy stanowisku Plausa. Rochen skinął głową, że wszystko gotowe.

- Odkręcać - powiedział cicho jednocześnie do sierżanta i do słuchawki. Natychmiast nałożył maskę przeciwgazową.

Sierżant energicznie przekręcił zawór i gaz z sykiem popłynął rurami. Dźwięki szamotaniny dziewczyny z basiliskosem ustały. Przez chwilę nic się nie działo. Po jakiejś

minucie wszyscy zauważyli białą mgłę gęstniejącą w mroku tunelu. Na wpół ślepi i głusi w maskach przeciwgazowych czekali. Worenman poczuł, że ogarnia go euforia i przyjemne podniecenie. Znowu poczuł się jak w czasie polowań na sawannie.

Sztuczna mgła powoli zaczęła się do nich zbliżać. Kapitan oświetlił ją latarką, oceniając jej rozmiary. Kiedy była już w odległości pięciu metrów od pozycji Plausa, Worenman poklepał Rochena w prawe ramię. Sierżant energicznie zakręcił gaz. Chmura zbliżyła się jeszcze o dalsze dwa metry i zatrzymała się.

Czekali. Gaz opadał powoli, jednocześnie przysuwając się do nich o kolejny metr.

Po dwóch minutach obłok eteru opadł na wysokość jakiegoś metra. Z kanału przed nimi nie dochodził żaden dźwięk, ale nie byli tego pewni. Nikt nie odważył się zdjąć maski. Ciężko dysząc, Worenman skinął na dwóch szeregowców i wskazał na korytarz przed nimi. Żołnierze spojrzeli po sobie. Jeden włączył latarkę i wyjął pistolet. Drugi przeładował trzymanego w rękawicach szmajsera. Tak uzbrojeni, z pewnym wahaniem ruszyli przed siebie. Wolno minęli pozycję Plausa i po kilku krokach zagłębili się w białej mgle sięgającej do pasa.

Po chwili widać było już tylko nikły promień latarki. Skręcili za róg. Pozostali żołnierze wyteżyli słuch. Miarowe kroki urwały się nagle i zastąpił je odgłos czegoś upadającego na podłogę.

- Wszystko w porządku? - Mimo maski przeciwgazowej głos Worenmana słyszeć było wyraźnie. Żadnego odzewu. Ścisnął w rękę słuchawkę. Major wciąż był na linii.

Plaus był naprawdę szybki. Bez zastanowienia pociągnął za spust, gdy tylko zobaczył, że coś wyłania się ze sztucznej mgły tuż przed nim. Jazgot karabinu maszynowego wypełnił korytarz. Gad był jednak szybszy i sprytniejszy. Wybiegając z obłoku, rzucił niesionego w pysku trupa jednego z szeregowców przed siebie, a sam skręcił ostro w bok. W efekcie kule ugrzęzły w zwłokach szeregowca, chybiając gada o dobre pół metra.

Plaus mocno szarpnął karabinem maszynowym, żeby nadążyć za biegnącym potworem, cały czas trzymając palec na spuście. Ciśnięty z dużą siłą trup uderzył w skrzynię, o którą się żołnierz opierał, i wytrącił go z równowagi. Zanim Plaus zdążył ponownie skorygować ogień, na jego gardle zacisnęły się szczęki. Długi ogon uderzył szeregowca trzymającego taśmę z amunicją, posyłając go na zaskoczonego podchorążego Abła.

- Eter nie działa! - z rozpaczą wrzasnął Worenman do słuchawki.

Odpowiedziała mu cisza, bo padając, Abel rozbił aparat telefoniczny. Worenman strzelił z pistoletu do jaszczura dwa razy, ale w nikłym blasku latarek nie trafił. Na moment kanał rozświetliła seria ze szmajsera sierżanta Rochena. Rozległ się ryk rozwścieczonego gada, a jego pazury zazgrzytały rozdzierająco na kamiennej podłodze. W kanale rozbrzmiały stłumione krzyki walczących ludzi. Stroje do walki chemicznej spowolniły Niemców, krępując ruchy. Z kolei nieszczęsne maski przeciwgazowe spowodowały, że byli na wpół głusi i ślepi. Jaszczur wykorzystał to wszystko z morderczą precyzją.

*

Na powierzchni major Paulsen, słysząc w słuchawce serię z karabinu Plausa, od razu zorientował się, że wszystko idzie źle. Zaklął pod nosem. Nie da się gada wziąć żywcem. Trudno, jego ścierwo też dużo im powie.

- Wypuście iperyt - rozkazał otaczającym go żołnierzom i nałożył maskę przeciwgazową. Wściekłym wzrokiem spojrzał na strużki białego dymu unoszące się z włazu kanalizacji. Cisza w słuchawce upewniała go, że Worenmanowi i tak już nie pomoże. Żołnierze zaczęli odsuwać pokrywę włazu, żeby wpuścić do środka gaz bojowy.

*

W dole wciąż trwała szaleńcza walka. Worenman, wystrzeliwszy bez efektu cały magazynek, cisnął w gada bezużyteczny pistolet. Luger odbił się od grzbietu jaszczura, który w tym czasie kończył rozrywać kłami ciało Plausa. Rozłoszczony uderzeniem jaszczur skoczył w stronę kapitana, wydając z siebie ponury ryk.

Widząc przed sobą rozdziawioną paszczę, Worenman nie tracił czasu na poszukiwanie innej broni. Złapał leżącą na ziemi deskę z rozbitej skrzyni i wetknął ją na sztorc w paszczę gada, który czując, że nie może jej zamknąć, szarpnął się do tyłu. Ten ruch zaskoczył Worenmana, nie zdążył jeszcze bowiem puścić deski i poleciał do przodu, padając twarzą w płytki ściek. Jaszczur tymczasem nie próbował nawet szarpać się z blokującą mu paszczę deską. Po prostu odchylił łeb mocno do tyłu, po czym z impetem walnął dolną szczęką o podłogę. Uderzenie zwielokrotniło siłę szczęk zwierzęcia. Deska pękła, a kły, którymi Worenman jeszcze nie tak dawno się zachwycał, zatrzasnęły się na jego nadgarstkach. Trysnęła krew z kikutów rąk.

Kompletnie otepiały Worenman podparł się na łokciach i przyklęknął. W osłupieniu patrzył na okaleczone ręce. Szybki upływ krwi spowodował, że w głowie zaczęło mu się kręcić, a wzrok zmętniał. Nie zwracał już uwagi na jaszczura, który wypluwał z pyska resztki deski i szykował się do kolejnego ataku.

W sumie kapitan Worenman miał mimo wszystko szczęście. Zanim na jego ciele ponownie zacisnęły się potężne szczęki, tunel wypełnił się jazgotem broni maszynowej. Podchorąży Abel zdołał wreszcie załadować szmajsera i wystrzelił długą serię w kierunku gada. Jedna z kul trafiła klęczącego Worenmana prosto w podstawę czaszki i kapitan zwałił się martwy tuż przed szarżującą bestię.

Jaszczur jakby przeczuwając, że oficer przestał być już zagrożeniem, przeskoczył nad jego trupem, odbił się łapami od ściany kanału i wpadł prosto na usiłującego ponownie ustawić karabin maszynowy Rochena. Z zabójczą szybkością szczęki zacisnęły się na gardle sierżanta, który pod wpływem impetu szarżującej bestii zwałił się w brudny, zakrwawiony ściek.

*

Kwadrans później Paulsen stał w kanale i niczego nie rozumiał. Ta masakra nie miała sensu. Skoro eter nie zadziałał, to gad mógł po prostu uciec. Zamiast tego zdecydował się zostać i wyróżnić całą grupę Worenmana.

- Wygląda na to, że basiliskos nie lubi, jak się na niego poluje - powiedział do siebie cicho, trzymając w ręku zakrwawiony, pocięty hełm, należący jeszcze niedawno do kaprała Zelta.

W przygnębieniu oglądał ślady walki. Dziewczyna, Worenman, Abel, pozostali żołnierze - wszyscy byli martwi. Mimo poparzeń skóry iperytem, dało się dostrzec, że Polka była cała poszarzała. Basiliskos dostał od niej to, co chciał. Worenman i żołnierze zostali rozszarpani kłami i pazurami. Tułów kapitana cały był pocięty szponami, a dłonie zostały odgryzione. Podchorążego Abla, paradoksalnie, sami załatwili iperytem. W zamieszaniu najwyraźniej uszkodził sobie maskę przeciwgazową.

Kanał rozświetlały dwa wielkie przenośne reflektory. Przy rozgałęzieniu kręciło się kilku esesmanów uzbrojonych w ciężkie miotacze ognia Flammenwerfer 41 i karabiny maszynowe Sturmgewehr-44. Chwilę wcześniej kapitan Wehrmachtu Bulow w dosadnych słowach wyrzecztał mu prosto w twarz, że on na takie kurestwo, jakie zrobiono

z dziewczyną czy z jego ludźmi, się nie pisał. Na zakończenie tyrady zasalutował Paulsenowi po wojskowemu i zabrał swój oddział.

Po basiliskosie nie było śladu. Nawet się nie zrzygał po iperycie.

Paulsen z frustracją rzucił na ziemię pogięty hełm i kopnął go. Przez moment bezwiednie śledził wzrokiem, jak hełm, odbijając się od ścian, znika w mroku kanałów. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że gdzieś w ciemnościach przed sobą dostrzegł dwa małe czerwone światełka jarzące się przez sekundę. Jakby mrok też go obserwował. Major westchnął i zaczął dokładnie przeglądać pobojowisko. Poczul się nagle bardzo zmęczony i stary. Na powierzchni wciąż płonęło miasto.

24 sierpnia, Okęcie

W zaciszu swojego gabinetu SS-Standartenführer Haydrich w skupieniu studiował otrzymany właśnie szyfrogram z Wewelsburga. Już sam fakt, iż był on zaadresowany nie do Paulsena, ale właśnie do niego, był interesujący. Z ciekawością chłonał kolejne linijki tekstu.

Autor szyfrogramu, bliżej nieznany Haydrichowi szef służby bezpieczeństwa Wewelsburga, SS-Standartenführer Maksymilian Wintz, wskazywał na konieczność utrzymania misji majora Paulsena w całkowitej tajemnicy. Z tego powodu nakazuje się „likwidowanie, w miarę możliwości, wszystkich świadków badań, niebędących niemieckimi członkami SS”.

- No cóż. - Pułkownik uśmiechnął się paskudnie, biorąc do ręki podanie o umieszczenie szeregowego RONA, Dymitria Kaganowicza, w zakładzie psychiatrycznym. - W takim razie to nie będzie już potrzebne. - Teatralnym gestem podał dokument.

Wrzucił zniszczone podanie do kosza i wrócił do czytania szyfrogramu. Pułkownik Wintz był najwyraźniej człowiekiem interesu i wiedział, jak dobić z nim targu:

Po zakończeniu misji majora Paulsena z rozkazu Gruppenführera Kaltenbrunnera zostanie pan, w uznaniu zasług dla SS, przeniesiony w trybie natychmiastowym do Buchs w Austrii.

Haydrichowi szczególnie podobał się zwrot „po zakończeniu misji”. Praktyczny Wintz nie napisał standardowej w takich sytuacjach formułki „po wypełnieniu misji”, co sugerowałoby uzależnienie nagrody dla Haydricha od osiągnięcia sukcesu przez grupę Paulsena.

Przeniesienie do Austrii na granicę ze Szwajcarią było w dzisiejszych czasach wymarzonym przydziałem. W dodatku dla człowieka pokroju Haydricha był to przydział ze wszech miar pożądany. Wyglądało na to, że wizyta Paulsena w Warszawie była prawdziwym dla pułkownika darem niebios.

Był jednak mały haczyk w tym wszystkim. Owo „w uznaniu zasług dla SS”. Małe przypomnienie, że nic nie jest za darmo.

- Teraz trzeba zapracować na to „uznanie” - mruknął podekscytowany i błyskawicznie zabrał się do roboty.

Piętnaście minut później były już gotowe nakazy aresztowania dwóch kaprali Luftwaffe za sianie defetyzmu w armii niemieckiej: Jürgena Gregora z obsługi naziemnej i Jana Hoffego z karnej kompanii dywizji „Herman Göring”.

Haydrich wyprostował się zadowolony.

- To była ta łatwa część, teraz będzie ciekawiej - mruknął, patrząc na leżące na biurku dokumenty. - Szkoda, że ten rozkaz nie przyszedł wczoraj. Teraz będzie znacznie trudniej utrzymać tajemnicę, szkoda też dobrej niemieckiej krwi. - Zmarszczył brwi, patrząc na podpisany przez siebie wczoraj rozkaz, nakazujący przydzielenie majorowi Paulsenowi pomocy przez jednostkę pionierów z 19 dywizji grenadierów pancernych. - No, ale czego się nie robi dla Vaterlandu.

25 sierpnia, Śródmieście

Pułkownik Antoni Chruściel przechadzał się nerwowo po swoim biurze w gmachu banku na ulicy Jasnej. Słyszając pukanie do drzwi, zatrzymał się. Znacząco spojrzął na siedzącego pod ścianą starszego jegomościa w okularach i wytartym garniturze.

- Wejść! - krzyknął.

Drzwi otworzyły się z pewnym wahaniem i stanął w nich porucznik Nowakowski. Pułkownik Chruściel „Monter” podszedł do niego pewnym krokiem, uścisnął mu rękę i wprowadził do środka. Zaraz za porucznikiem w drzwiach pojawił się kolejny żołnierz z dystynkcjami sierżanta na brytyjskim battledressie. Rozejrzał się niepewnie po pokoju, zasalutował i stanął pod ścianą. Pułkownik wskazał Nowakowskiemu krzesło i sam stanął przy stole z rozłożoną mapą Warszawy.

- Panie poruczniku, mam dla pana misję wielkiej wagi. - Widać było wyraźnie, że pułkownik jest zmęczony i przygnębiony. - Sprawa jest również poufna i proszę zachować wszystko dla siebie. - Zawiesił głos na moment, po czym rzucił prosto z mostu: - Niedługo utracimy Starówkę i trzeba będzie ewakuować setki żołnierzy oraz tysiące cywilów. Główne drogi przerzutu będą tu i tu. - Wskazał ręką na mapie. - Musimy też przygotować się na ewakuację przy użyciu kanałów, a do tego potrzebuję pańskiej pomocy.

- Ku chwale Ojczyzny, panie pułkowniku. - Nowakowski zerwał się z krzesła i wyrecytował formułkę. - Ale co ja mam z tym wspólnego? - dodał z wahaniem. - Nie znam się na kanałach.

Monter przysiadł na krzesło i płynnym ruchem przetarł blat stołu.

- Chodzi o tego jaszczura, którego pan już spotkał na Powiślu. Nie przeprowadzę ludzi kanałami, dopóki to coś tam jest. Dlatego chcę, żeby pan się nim zajął. Obecny tu sierżant Wołos będzie panu towarzyszył. - Wskazał na milczącego podoficera. - Resztę zespołu dobierze pan według własnego uznania. Jakież pytania?

Porucznik z ponurym jękiem zwałił się na krzesło.

- Tak, jedno. Za co? Czym się tak naraziłem?

Monter zaciągnął się papierosem.

- Proszę się uspokoić. To nic osobistego, po prostu nie mam nikogo innego. Pan już widział tego krokodyla w akcji. Wie pan, co on potrafi.

Porucznik zasępił się. Krokodyl? Jasne. Postanowił jednak na razie milczeć. Pułkownik zabębnił palcami po blacie stołu, żeby ukryć zdenerwowanie.

- Poza tym proszę się nie martwić, przydzielimy panu do tej misji najlepszych ludzi. Stojący tu sierżant Wołos z 4 kompanii Zgrupowania „Bartkiewicz” jest tego najlepszym przykładem. - Skinieniem ręki zachęcił podoficera, by się zbliżył. Nastąpiła wymiana uścisków dłoni, co mocno zdziwiło Wołosa.

- Gratuluję, major „Żmudzin” osobiście pana rekomendował do tej misji. Ma pan imponujące osiągnięcia, sierżancie. - Monter zajrzał do jednej z leżących przed nim teczek. - Rozpoczął pan służbę nietypowo, bo w Korpusie Ochrony Pogranicza. Potem udział w bitwie o Szack w trzydziestym dziewiątym i ucieczka z sowieckiej niewoli. Dalej Narwik i Bretania w czterdziestym i znów ucieczka, tym razem z niemieckiego obozu jenieckiego. Do Anglii dotarł pan na początku czterdziestego pierwszego roku. Od lutego czterdziestego trzeciego jest pan z nami w Warszawie. Wszystko się zgadza? - Wołos nie odezwał się, wnosząc z tonu Montera, że pytanie jest czysto retoryczne. - A to ciekawe. - Pułkownik polizał palec i przewrócił kartkę w dossier Wołosa. - Odmówił pan awansu na oficera w czterdziestym drugim i poprosił o przeniesienie z brygady spadochronowej do polskiej sekcji SOE^[26]. Dlaczego?

Przez twarz Wołosa przesunął się cień zażenowania.

- Lubię akcję, panie pułkowniku. Poza tym w Szkocji naszych oficerów było na pęczki i większość bez przydziału.

- No cóż - Monter skwitował tę szczerą odpowiedź serdecznym uśmiechem - rozumiem, choć nie popieram. Proszę się nad tym jeszcze raz zastanowić. Gdy wrócą panowie z misji, pański awans nadal będzie tu na pana czekał. Potrzebujemy takich jak pan.

Wołos przez moment zrobił się lekko czerwony na twarzy.

- Wierzę, że panom się uda wykonać zadanie - pułkownik znowu zwrócił się do porucznika. - Trasa kanałów ze Starówki na Nowy Świat nie będzie uznana za bezpieczną, dopóki ten cholerny gad tam tkwi.

Nowakowski spojrział ze zdumieniem na stojącego obok podoficera. Cichociemni? Musi być źle, skoro przydzielają mu kogoś takiego. No tak, ewakuacja. Postanowił zagrać *va banque*.

- Pozostaje jeszcze kwestia, jak odnaleźć tę bestię. Mam biegać z ludźmi po całym mieście? Niemcy mogą mieć coś przeciwko temu, panie pułkowniku.

Monter skinął na siedzącego w rogu pokoju niskiego łysawego jegomościa z wypchaną skórzaną teczką.

- To jest profesor Wiśniewski z Polskiej Akademii Umiejętności. Przed wojną był znanym ekspertem w dziedzinie zwyczajów gadów, w szczególności krokodyli nilowych.

Profesor z pewnym wahaniem podszedł do stołu. Przywitał się z Nowakowskim i Wołosem, po czym usiadł, przyciskając teczkę do piersi.

- Panie profesorze, proszę mi wyjaśnić, z jakim gadem według pana mamy tu do czynienia? - Porucznik był coraz bardziej zły na całą tę sytuację.

Profesor szybko spojrział na pułkownika, jakby szukał u niego wsparcia. Monter skinął lekko głową, więc odetchnął głęboko i zaczął szybko mówić:

- Z opisów, które otrzymałem, wnoszę, że to najprawdopodobniej chimera powstała z dwóch gatunków. Kształt pyska wskazuje na *Osteolaemus tetraspis* - krokodyla krótkopyskiego. Gatunek ten zamieszkuje Wybrzeże Kości Słoniowej i Kongo, nigdy jednak nie osiąga większej długości niż dwa metry. Stąd też podejrzewam, że chimera wykazuje cechy dominujące innego gatunku - *Crocodylus niloticus* - krokodyla nilowego, który osiąga właśnie długość sześć do siedmiu metrów. W jakiś sposób te dwa gatunki musiały się skrzyżować...

Porucznik przywołał w myślach obraz gada, który zabił kaprała Adamczyka. Nie wyglądało mu to na krokodyla.

- A co z grzebieniem na grzbiecie?

Profesor spojrział panicznie na pułkownika.

- Grzebień u krokodyla, no coś pan? - Szybko ugryzł się w język. - Proszę posłuchać, nikt nigdy nie krzyżował tych dwóch gatunków. Może w efekcie tego powstała jakaś anomalia w strukturze kostnej. Taki wybryk natury. W każdym gatunku coś takiego się zdarza.

Monter postanowił się wtrącić:

- Może skończmy ten wykład. Profesorze, jak to znaleźć i co najważniejsze, jak zabić.

Naukowiec wciągnął głośno powietrze.

- Jak każdy gad, jest zwierzęciem terytorialnym. Obszar jego łowów to koło, w którego centrum znajduje się leże. - Z nieznanego powodu Wiśniewski mocno zaakcentował te słowa, patrząc porucznikowi prosto w oczy. - Z opisu jego zachowań wnoszę, że centrum terytorium znajduje się na Starym Mieście w systemie ściekowym. Jest wielki, więc będzie używał tylko głównych przejść w kanałach. Ma wyjątkowo silne poczucie własnego terytorium, więc sądzę, że to on pana pierwszy znajdzie. Co do zabicia... Jak wszystkie krokodyły ma dość grubą skórę, pancerną czaszkę i silne czterokomorowe serce. Najlepiej więc trafić go w skroń. Ranny staje się jeszcze groźniejszy.

Pułkownik Monter wstał.

- Czeka pana jeszcze mnóstwo pracy, więc pana nie zatrzymuję. Proszę spotkać się z majorem Lisieckim i wybrać odpowiednich ludzi. Oto całość informacji zebrana przez pana profesora. Mam nadzieję, że się przyda.

Porucznik z wahaniem wziął dokumenty. Nie bardzo podobał mu się pośpiech, z którym został wciągnięty w tę misję. Obaj z Wołosem zaszalutowali pułkownikowi i ruszyli do wyjścia. W progu zatrzymał ich jeszcze głos Montera:

- Poruczniku, proszę mi wierzyć, to bardzo ważne.

Gdy wyszli już z budynku banku, pułkownik opadł na krzesło. Profesor spojrzał na niego spod okularów.

- Rozumie pan, że jeśli to jest to, co podejrzewam, to właśnie wysłał ich pan na pewną śmierć.

- Ma pan na myśli te swoje legendy, o których pan wczoraj wspominał?

Wiśniewski wyjął z teczki plik dokumentów i podał je pułkownikowi.

- Fakty, a nie legendy, panie pułkowniku. Poza tym wszystkie legendy od czegoś musiały wziąć swój początek.

Pułkownik Chruściel wziął do ręki papiery i zaczął je przeglądać. Na teczce drobnym drukiem napisane było: „Basiliskos - mit czy koszmarna rzeczywistość?”.

- Ba-si-lis-kos - przesylabizował. - Zawsze myślałem, że bazyliszek to nazwa pochodzenia polskiego.

Profesor pokręcił przecząco głową.

- Nic bardziej mylnego. To nazwa z czasów Bizancjum. Oznacza „małego króla” z powodu grzebienia na czaszce. Inni naukowcy uważają z kolei, że nazwa ta jest związana z zapowiedzią zjawienia się bazyliuszka przez uciekające przed nim zwierzęta, co może sprawiać wrażenie czegoś na kształt orszaku królewskiego. Takie tam średniowieczne bajki...

- Jest jeszcze sprawa obecności w Warszawie ekipy specjalnej SS z Berlina. Według naszej agentki - pułkownik uśmiechnął się na samo wspomnienie Izy, małej kelnerki z niemieckiej kantyny - noszą owalny emblemat z mieczem oplecionym wstęgą. Wie pan coś o nich?

Wiśniewski skinął głową.

- Dziedzictwo. Słyszałem o tej organizacji. Większość to szarlatani zabawiający się w pseudonaukę.

Monter przyjrzał się trzymanemu w ręku meldunkowi. Zmarszczył brwi.

- Ci wyglądają na fachowców.

- Zdarzają się też tam normalni naukowcy, choć o dość nieszablonowym myśleniu - przyznał profesor, mówiąc o Niemcach z prawdziwą niechęcią. - Ich obecność potwierdza moją teorię co do basiliskosa. Może oni to załatwią za nas?

Pułkownik uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Panie profesorze, nie mogę w tej materii liczyć na Niemców. Na to jest już za późno, a przypominam, że jesteśmy pod presją czasu. - Schował meldunek o niemieckim zespole do skórzanej teczki leżącej na biurku. - Poza tym im nie ufam. Po co im ten pański gad?

- Kto wie? Słyszałem, że przed wojną znaleźli już jakiegoś basiliskosa na pograniczu z Danią. Może potrzebują ich do badań nad bronią biologiczną? Proszę zrozumieć - profesor

zabębnił nerwowo palcami na blacie biurka - to właściwie mityczne zwierzę. Nikt nie zna jego możliwości.

Monter westchnął tajemniczo i wyciągnął z leżącej pod biurkiem teczki małą książeczkę.

- Kilka dni temu na Powiślu zastrzelono oficera SS. Znaleziono przy nim ten notatnik pełen bazgrołów. Nasi ludzie zabrali je, bo myśleli, że to może być coś ważnego. - Podał Wiśniewskiemu notatnik oraz papiery zabitego oficera. - Pan zna niemiecki, niech pan to przeczyta. Może się przydać.

Profesor z wahaniem wziął dokumenty i przeczytał nazwisko zabitego.

- Doktor Albert Kloch. - Z sykiem wciągnął powietrze. - O jasna cholera.

Monter spojrzał na niego zdziwiony.

- Słyszał pan o nim?

Wiśniewski nerwowo zaczął przeglądać notatnik.

- Czy słyszałem? Każdy, kto zajmował się mitycznymi stworami, go znał. To jest, a raczej był, jeden z największych ekspertów w dziedzinie zwierząt smokopodobnych. - Podrapał się w brodę. - Źle się stało, że zginął. Rozumiem teraz pański brak wiary w niemiecki zespół. Bez czołowego eksperta będą musieli się wynieść z Warszawy.

Monter pokręcił głową.

- Myli się pan, profesorze. Według naszej agentki ten esesmański zespół nadal tu jest. Od początku ich pobytu w Warszawie dowodzi nim major SS Palusen czy jakoś tak. - Pułkownik wstał. - Panie profesorze, proszę jeszcze przestudiować te niemieckie materiały, póki jest czas. Może tam być jakaś informacja, która pomoże grupie porucznika Nowakowskiego. Proszę jednak pamiętać o konieczności zachowania tajemnicy. Ostatnie, czego nam teraz potrzeba, to panika. - Wyciągając rękę do uściśnięcia, dał do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Profesor Wiśniewski schował notatnik Klocha do torby i również wstał. Uściśnął rękę pułkownika i wyszedł, mrucząc coś do siebie. Monter został sam.

- Bazyliszek, mity, legendy. - Z udręką pokręcił głową. - Słodki Jezu, jeszcze tego nam wszystkim brakowało. - Kurczowo ścisnął skronie. - Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece.

25 sierpnia, nad Warszawą

Podporucznik Władimir Abramowicz Iwanow zmrużył oczy i rozejrzał się uważnie. Pod nim kolejny dzień polskie miasto obracało się w gruzy. Mimo nadciągającego zmierzchu, walki nadal toczyły się na ulicach Warszawy.

Rosyjski pilot obserwator westchnął głęboko. Polska stolica w tej chwili boleśnie przypominała mu Stalingrad, w którym spędził najkoszmarniejsze dwa tygodnie swojego życia. Kupa gruzów, w której walczy się o każdy zaułek i dom.

Jeszcze raz rozejrzał się uważnie po niebie zasnutym dymami w poszukiwaniu oznak zagrożenia. Wiedział, że sierżant Anatolij Rognicki, jego pilot, robi dokładnie to samo. Latali ze sobą już prawie dwa lata i żaden z nich nie miał ochoty znowu zostać zestrzelonym i spędzić kilku dni w piekle walk ulicznych.

Tu, w górze, było dość spokojnie. Ciepłe sierpniowe słońce chyliło się ku zachodowi, grzejąc przyjemnie. Kabinę dwupłatowca zwiadowczego U-2 owiewał wiaterek. Prawie nie czuło się wojny. Porucznik wiedział, że to wyjątkowo zwodnicze uczucie. Chwila nieuwagi i wojna boleśnie przypominała o sobie ostrzałem artylerii lub seriami ścigających myśliwców.

Tym razem jednak było inaczej. Niemiecka artyleria przeciwlotnicza nie ostrzeliwała samotnego radzieckiego samolotu zwiadowczego. Nie nękały go również niemieckie samoloty. Porucznik zgryzł wargi ze złości. Jeśli idzie o Warszawę, zauważył jakieś niepisane porozumienie pomiędzy Niemcami a dowództwem radzieckim.

Wygląda na to, że my Hitlerowi nie przeszkadzamy w tłumieniu Powstania, a oni z wdzięczności nie strzelają do nas, pomyślał z niesmakiem Iwanow. Przeklęta polityka.

Walnął ze złością pięścią w osłonę kokpitu. Nawet karabin maszynowy czekał mu wymontowali z samolotu. Tak na wszelki wypadek, żeby nie uległ pokusie przeszkadzania Niemcom w mordowaniu Polaków. Psia ich mać.

Myślami powrócił do swojego zadania. Dowództwo 1 Frontu Białoruskiego nagle bardzo chciało wiedzieć, jak wygląda sytuacja w mieście i jak idzie powstańcom. Jakby wcześniej ich to interesowało, przemknęła mu przez głowę złośliwa myśl.

Jedynie w powietrzu Iwanow mógł sobie pozwolić na szczerość. Przynajmniej w stosunku o siebie. Jak tylko zaczęła się ruchawka w Warszawie, Moskwa natychmiast nakazała przerzucenie całości sił frontu na południe od miasta, na przyczółek sandomierski. Oznaczało to nie tylko pozostawienie powstańców samym sobie, ale też zmarnowana została szansa przełamania pasa obrony niemieckiej 9 armii i zdobycia mostów na Wiśle. O zdobyciu dużego i prestiżowego miasta już nie wspominając.

Nawet tak zazwyczaj spokojny oficer jak generał Wasilij Czujkow, dowódca 8 Armii Gwardyjskiej, szalał po sztabie frontu, wrzeszcząc, że to jawny sabotaż. Jemu się akurat nikt nie dziwił, bo to w końcu 8 Gwardyjska dostała rozkaz tworzenia przyczółka w szczerym polu pod Magnuszewem. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi, lecz nikt nie był w stanie powiedzieć tego głośno.

Teraz jednak coś drgnęło i nakazano porucznikowi Iwanowowi przeprowadzenie lotu zwiadowczego „w celu określenia możliwości wsparcia polskiej klasy robotniczej w walce z faszyzmem”. Mówiąc po ludzku, porucznik miał się zorientować, jak idzie powstańcom.

Kukuruźnik wykonał łagodny skręt nad Starym Miastem. Zgodnie z przechwyconymi meldunkami Polaków i Niemców, główny ciężar walk przerzucono właśnie na tę dzielnicę. Porucznik wychylił się z kabiny ze zdobycznym niemieckim aparatem fotograficznym i zaczął robić zdjęcia.

Polakom szło wręcz fatalnie. Cała dzielnica zasnuta była kłębamii dymów. Niemcy napierali mocno na powstańców, usiłując wypchnąć ich z tej dzielnicy. Porucznikowi w sztabie frontu objaśniono, co to oznacza. Jeśli Niemcom się uda zająć Stare Miasto, Powstanie zostanie rozbite i podzielone na mniejsze obszary, łatwiejsze do stłumienia. Poza tym nastąpi ostateczne odcięcie od Warszawy sił partyzanckich w Kampinosie. I stopień realizacji przez Niemców tego właśnie scenariusza miał sprawdzić lot zwiadowczy.

Iwanow zrobił dwa zdjęcia polskiej barykadzie na ulicy Brzozowej. Zasmucił go widok zmęczonych i słabo uzbrojonych żołnierzy powstańczych. W oddali zobaczył kolumnę niemieckiej piechoty maszerującą pod osłoną transporterów opancerzonych. Barykada nie wyglądała na szczególnie silny punkt oporu. Dookoła polskiej pozycji straszyły swoim widokiem wypalone i zburzone dziewiętnastowieczne kamienice.

- Długo to już nie potrwa - zwrócił się do pilota, usiłując przekrzyczeć warkot silnika. -
Dwa, trzy dni, góra pięć i szkopy ich tu rozwałą.

Rognicki skinął głową na znak, że przyjął do wiadomości słowa porucznika. Sam się jednak nie odezwał. Roczny pobyt na Syberii w czterdziestym roku nauczył go ostrożności, a przy okazji zabił w nim ufność w drugiego człowieka.

- Zrób jeszcze jeden przelot nad tamtą barykadą i lecimy na południe. - Porucznik wyciągnął z kabury służbową tetetkę. - Tym razem zejdź niżej.

Samolot posłusznie wszedł w zakręt i zaczął obniżać lot. Iwanow po raz ostatni popatrzył na swój pistolet, ucałował go jak najukochańszą córkę i zaczął pieczołowicie owijać w szmaty. Gdy mijali polskie pozycje, cisnął zawiniątko prosto na barykadę.

- W dupie mam tę całą politykę - wymruczał do siebie, widząc, jak jeden z Polaków podnosi pakunek. - To dobry pistolet. Załatwicie z niego kilku szwabów. Dla mnie. - Pomachał powstańcom z wysoka.

Przez moment samolot sunął z warkotem wzdłuż ulicy Brzozowej. Warszawiacy pokazywali sobie dwupłatowca i pozdrawiali pilotów. Porucznik odmachnął do wyrostków biegnących po ulicy za jego samolotem. Dzieciaki nagle zatrzymały się, po czym rozbiegły na wszystkie strony. Iwanow nie był pewien, ale wydawało mu się, że na ulicę wszedł jakiś zwierz. Samolot zaczął się szybko oddalać.

- Zawracaj - usiłował przekrzyczeć warkot silnika.

- Co jest? Niemcy? - odkrzyknął pilot, rozglądając się niespokojnie po niebie.

- Wydawało mi się, że zobaczyłem coś dziwnego. Zawracaj - powtórzył Iwanow.

Kukuruźnik wykonał ciasny skręt i poleciał znowu na północ. Rognicki ponownie obniżył lot i razem z porucznikiem zaczęli się rozglądać po ulicach Warszawy.

- Tam, widzisz? Na jedenastej. - Iwanow poruszył się niespokojnie. - Jasna cholera, co to jest?

Oczom pilotów ukazał się kilkumetrowej długości jaszczur wolno człapiący po pokrytej gruzem ulicy. Obaj Rosjanie nigdy wcześniej nie widzieli takiego zwierzęcia. Z wysoka gad wyglądał jak niewielka jaszczurka, porucznik jednak wprawnym okiem, ku własnemu przerażeniu, oszacował jego długość na jakieś sześć, siedem metrów. Wyglądało na to, że stworzył coś w pysku.

- Towarzysz porucznik widzi to samo co ja? - wydukał z siebie niepewnym głosem sierżant, przekrzykując buczenie silnika.

- Widzę, ale nie wierzę. - Iwanow jęknął. - Co to, na rany Chrystusa, jest? - oszołomiony powtórzył zasłyszany kiedyś u matki zwrot, obecnie całkowicie zakazany.

Z przerażeniem zauważył, że jaszczur trzyma w pysku ruszającą się jeszcze ludzką sylwetkę. Małą sylwetkę. Przypomniawszy sobie dzieciaków biegnących za samolotem. Drżącymi rękami ustawił migawkę w aparacie fotograficznym i odetchnął głęboko.

- Anatolij, przeleć nad tym czymś jeszcze raz. - Przygotował aparat. - Muszę go sfotografować.

Samolot po raz kolejny wykonał karkołomny skręt i zniżył lot między budynkami ulicy. Sierżant wyęczał wszystkie swoje umiejętności, usiłując utrzymać maszynę na kursie. Z przeciągłym warkotem silnika lecieli prosto na wielkiego jaszczura.

Ku zdziwieniu Iwanowa, zwierz nie okazywał żadnego strachu czy zaniepokojenia ich widokiem. Wręcz przeciwnie. Rozwarł pysk, puszcżając zakrwawiony ludzki strzęp na bruk, i wydał z siebie donośny ryk w kierunku samolotu. W geście zwierzęcia Iwanow wyczuł coś w rodzaju wyzwania.

W momencie, gdy kukuruźnik przemykał nad wściekłym jaszczurem, porucznik zrobił kilka zdjęć. Iwanow modlił się do nieistniejącego Boga, aby zdjęcia dobrze wyszły. Ten zwierz powodował, że ciarki przechodziły mu po plecach. Chciał mieć namacalny dowód, że to koszmarnie spotkanie nie było wytworem jego wyobraźni.

Samolot nagle poderwało do góry w lewo. Tuż przed nosem maszyny przeleciała seria z karabinu maszynowego. Porucznik uznał to za widomy znak, iż nadużyli niemieckiej gościnności. Pora się stąd zabierać.

- Anatolij - próbował przekrzyczeć wycie silnika - na dzisiaj koniec. Zabierz nas do domu.

Dwupłatowiec zaczął się unosić i pognał na wschód całą mocą swojego silnika. Przez chwilę ścigały go eksplozje niemieckich pocisków przeciwlotniczych, po czym znikł za horyzontem.

25 sierpnia, Mokotów

Zasrane uzupełnienia, durny wywiad, cholerni Polacy... - Przekleństwa kapitana Bullowa na moment zagłuszył pobliski jazgot karabinu maszynowego.

Kapral Weiss krótkimi seriami omiatał ulicę, przez którą biegli powstańcy. Trzech z nich padło skoszonych jego seriami, ale reszta nacierała nadal. W ruch poszły granaty. Dwie eksplozje zwały się w jeden wielki huk. Przez moment widok na ulicę zasłoniły kłęby kurzu i dymu. Wszędzie było słychać krzyki rannych, zarówno Niemców, jak i Polaków.

- Coś tu jest bardzo nie tak, panie kapitanie. - Porucznik Nauman konspiracyjnie pochylił się w kierunku przełożonego. Nie chciał, aby usłyszeli go żołnierze z plutonu.

Kapitan i bez tej podpowiedzi wiedział, że plan ataku wziął w łeb.

- Według wywiadu miała tu być luka w polskich pozycjach. - Porucznik przetarł zmęczone czoło. - Zamiast tego wsadzili nas w środek powstańczego natarcia na Dolny Mokotów.

Kapitan Bullow wyrzał szybko na zewnątrz. Ledwie zdążył schować głowę, kula strzaskała framugę okna, przy którym stał.

- Nie marudź. Na wojnie jak na wojnie, wszystko może się popieprzyć. Nie pierwszy to raz. Pamiętasz Smoleńsk? - próbował zignorować obawy podwładnego.

- Staram się zapomnieć o Smoleńsku. - Nauman uśmiechnął się blado. - Gdzie, do jasnej cholery, jest reszta kompanii? Powinni wspierać nas ogniem na naszych flankach. Sierzancie Broch, do mnie! - krzyknął głośno za siebie.

Po schodach zadudniły ciężkie kroki i zza rozbitych drzwi wynurzył się potężny sierżant obładowany plecakiem z radiem.

- Skontaktujcie się z pierwszym i trzecim plutonem. Niech ruszą dupska. Pluton porucznika Steinera ma osłonić naszą lewą flankę, a...

- Melduję posłusznie, że nie jestem w stanie - przerwał mu sierżant Broch. - Już próbowałem, ale radio nie działa. Kompletna cisza.

Obaj oficerowie spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

- Dziwne. Najpierw to - porucznik wskazał karabinem w stronę, skąd wcześniej atakowali powstańcy - potem zaginięcie reszty kompanii, a teraz cisza w eterze...

- Uwaga, znowu nadchodzą! - wrzasnął kapral Weiss, jednocześnie naciskając spust MG42. Karabin ożył z jazgotem.

Reszta żołnierzy przyłączyła się do niego, ponownie zalewając ulicę potokiem stali.

Bullow ocenił szybko sytuację.

- Sami tu się nie utrzymamy. To chyba jakieś większe natarcie Polaków. A tymczasem gdzieś obok bezsensownie stoją nasze dwa plutony i drużyna wsparcia. Czekają na rozkaz samego Führera, kurwa, czy co? Dobrze, zrobimy to tradycyjnie. - Poprowadził sierżanta do okna wychodzącego na ulicę Konduktorską. - Sierzancie, weźcie dwóch ludzi i biegnijcie do tych dwóch budynków zaraz za skrzyżowaniem. Znajdźcie obu poruczników i przekazcie im, że mają atakować wzdłuż tamtej ściany. Peter, z tamtej strony nie powinno być bandytów, ale na wszelki wypadek zejdź na dół i skombinuj im ogień osłonowy. My tu przytrzymamy Polaków.

Zasalutowali kapitanowi i zbiegli na dół. Sierżant energicznym krokiem wszedł do mieszkania na parterze i rozejrzał się. Z wyraźnym wysiłkiem zdjął z pleców bezużyteczne radio i położył je w przedpokoju. Przewiesił przez ramię mauzera i skinął ręką na dwóch żołnierzy znoszących do sąsiedniego pokoju małe skrzynki z amunicją do karabinów maszynowych i granatami.

- Wy dwaj, zostawcie to gówno i chodźcie za mną - rzucił opryskliwie.

Szeregowi popatrzyli na siebie zaniepokojeni. Choć w oddziale byli dopiero od dwóch dni, to wiedzieli, że taki ton sierżanta nie wróżył nic dobrego. Posłusznie odłożyli skrzynki pod ścianą i podeszli do Brocha, który spojrzał na nich krytycznym okiem. Żołnierze byli ze świeżych uzupełnień i nawet nie pamiętał ich nazwisk. Mieli wypełnić lukę po podchorążym Ablu i jego ludziach zabitych w jakiejś tajnej misji dla SS kilka dni temu. O co tam poszło, sierżant nie wiedział, ale wściekła mina kapitana Bullowa wystarczyła, aby nie zadawał zbędnych pytań.

- Jest problem - postanowił nie owijać w bawełnę. - Z tamtej strony - wskazał drugą stronę kamienicy, w której byli - nadciąga niezła zabawa. Bandyci atakują nas wszystkim, co mają pod ręką. Kłopot jest taki, że gdzieś w tym burdelu zamordowała reszta naszej wesołej

kompanii i zamiast nas wesprzeć, zbunkrowali się w tamtych dwóch domach przy Dolnejstrasse. - Wymówienie polskiej nazwy ulicy przyszło mu z trudem. - Łączność nie działa, więc idziemy po nich. Macie trzymać się mojej dupy. Pamiętajcie, że biegniemy do swoich, więc ostrożnie z palcami na spustach. I żadnego bohaterstwa. Nie zamierzam przez was dwóch, wisienki, dać sobie rozwalić łba za Vaterland. Zrozumiano?

Młodzi żołnierze pokiwali zgodnie głowami, zaciskając nerwowo palce na kolbach karabinów.

- Panie poruczniku. - Sierżant podszedł do drzwi i wychylił się ostrożnie.

Wszędzie panował spokój rażąco kontrastujący z kanonadą po drugiej stronie budynku. Z przedpokoju wychylił się porucznik Nauman.

- W porządku, sierżancie. Jesteśmy gotowi. Możecie ruszać.

Broch nie czekał dłużej, tylko zerwał się do biegu w kierunku ściany przeciwległego domu. Obaj szeregowcy ruszyli za nim, przez moment blokując się w drzwiach. Porucznik popatrzył na nich z niesmakiem.

- Przysyłają coraz głupszych. - Pokiwał głową ze złością. - Greg, ty i dwóch innych, na górę. Hans, Fritz, na pozycje, przygotować się. - Sam również podniósł bezpańskiego mauzera i stanął przy oknie.

Kapral Fritz Laskowski nonszalancko splunął pod nogi, po czym przyłożył kolbę karabinu maszynowego do policzka. Obok niego uklęknął szeregowy Kruger, żując pajdę chleba i rozglądając się czujnie przed siebie.

Porucznik ponownie skierował wzrok na gońców. Sierżant dotarł już do ściany i posuwał się wzdłuż niej, rozglądając się dookoła. Przysunął się do rogu domu i ostrożnie wyjrzał na drugą stronę. Pozostałe dwie ofiary losu niezgrabnie dobiegły do niego i niemal wypchnęły go za róg. Stek przekleństw sierżanta dobiegł aż do porucznika, który mimowolnie się uśmiechnął. Broch złapał za mundur jednego z żołnierzy i wypchnął go na ulicę, gniewnie wskazując przeciwległą stronę ulicy.

Z wyraźną trudnością cała trójka rozbiegła się. Sierżant ruszył truchtem środkiem ulicy, pozostali żołnierze biegli wzdłuż ścian. Nikt do nich nie strzelał, ale porucznik nakazał zachowanie czujności. Coś było nie tak.

Wbrew oczekiwaniom porucznika, wszyscy trzej gońcy dotarli do budynku, gdzie miał być pluton Steinera. Neuman chciał odwołać ludzi, gdy nagle wydarzyło się coś dziwnego. Z domu, w którym zniknął Broch ze swoimi ludźmi, dobiegły go dwa strzały. Zaraz potem na ulicę wybiegł jeden z szeregowców, a za nim sierżant Broch. Obaj bez broni gnali na złamanie karku, coś do nich wykrzykując. Jeszcze dziwniejsze było to, że za nimi wybiegło dwóch żołnierzy niemieckich i bez ostrzeżenia zaczęli strzelać do uciekających. Sierżant Broch, trafiony w plecy trzema kulami, potknął się i padł na kolana. Zdążył jeszcze wyciągnąć ręce przed siebie, gdy dosięgła go kolejna seria. Jego głowa dosłownie eksplodowała.

Ostatni uciekinier, szeregowy Gunter Schmidt z Saksonii, w cywilu pomocnik piekarza, gnał przed siebie jak koń wyścigowy, nie zważając na lecące obok kule. Porucznik widział wyraźnie przerażenie malujące się na jego twarzy. Niecodziennosc sytuacji zbiła Neumana z tropu. Obaj zabójcy sierżanta byli ubrani w kompletne niemieckie mundury, co wykluczało powstańców. Nie byli jednak z zaginionych oddziałów. Wyglądali jak... SS? Nie mógł się zdecydować, co robić. Sytuacja jednak rozwiązała się sama. Kapral Laskowski posłał krótką serię w żołnierzy ścigających Schmidta. Jeden z nich, trafiony kilkukrotnie w pierś, padł jak ścięte drzewo. Drugi miał więcej szczęścia. Pocisk trafił go w ramię, obracając wokół osi i rzucając na chodnik. Czołgając się do otwartej bramy, zostawił na chodniku krwawy ślad.

Porucznik nie miał jednak czasu się temu przyglądać, bo do drzwi dobiegł kompletnie wyczerpany Schmidt. Porucznik Neuman jednym susem dopadł ślaniającego się na nogach żołnierza.

- Do jasnej cholery, co tam się stało? - Potrząsnął wystraszonym szeregowcem.

- SS, panie poruczniku - wysapał żołnierz, potwierdzając obawy Neumana. - Wpadliśmy na nich na korytarzu. Było ich całe mrowie.

- To musi być jakaś pomyłka. Może wzięli was za Polaków? Naszych widziałeś?

Ślaniając się ze zmęczenia, szeregowiec oparł się o ścianę.

- Zaczęli do nas strzelać, gdy tylko się odezwaliśmy. - Pokręcił głową, ciężko dysząc. - Widziałem tylko SS. Po naszej kompanii ani śladu.

W tym momencie z domów naprzeciwko odezwały się serie z karabinów maszynowych. Kule załomotały o fasadę. Zewsząd rozległy się krzyki trafionych żołnierzy.

Jeśli istniała jakaś szansa, że doszło do nieporozumienia, to właśnie się rozwiązała. Porucznik odepchnął od siebie zmęczonego Schmidta i wpadł do mieszkania obok.

Na środku pokoju gościnnego leżał szeregowy Kruger z rozerwanym gardłem. Martwe oczy wpatrywały się tępo w sufit. Przy oknie stał kapral Laskowski i zawzięcie ostrzeliwał przeciwległy budynek. Najwyraźniej nie przeszkadzał mu fakt, że przeciwnikami są Niemcy z SS. Szeregowy Hans Ulwe miał więcej obiekcji. Szarpał kaprala za rękaw, wrzeszcząc, aby przestał. Do salonu z drugiego pokoju wpadł kapral Brandt.

- Panie poruczniku, co się dzieje?

Neuman pokiwał ze znużeniem głową.

- Niech mnie cholera, jeśli wiem, ale wygląda na to, że atakuje nas SS. Może to jakaś pomyłka, ale żeby ją wyjaśnić, najpierw trzeba przeżyć. - Zdjął czapkę i przetarł spocone czoło.
- Brandt, jeśli Polacy przestali już atakować, ściągnij jak najwięcej ludzi z tamtej strony budynku. Hans, nie szarp Fritza, tylko sprawdź, co z grupą Zeista w drugim mieszkaniu. Zablokuj jeszcze drzwi na zewnątrz. Weź do pomocy Schmidta, jeśli już doszedł do siebie. Ja muszę poinformować o wszystkim kapitana. - Klasnął w dłonie. - Do roboty, do jasnej cholery.

Odwrócił się na pięcie i wbiegł na klatkę schodową dokładnie w chwili, gdy we wrota trafił pocisk panczerfausta. Eksplozja rzuciła go nieprzytomnego na schody. Resztki bramy spadły na poszarpane zwłoki jeszcze przed chwilą będące szeregowym Schmidtem. Na zadymioną klatkę wpadł szeregowy Ulwe. Złapał rannego oficera za klapy munduru i wciągnął do mieszkania. Laskowski spojrzał na niego przelotnie, po czym wrócił do ostrzeliwania kamienicy, z której atakowali esesmani.

- Nauman dostał - Ulwe pochylił się nad porucznikiem - i to całkiem nieźle. Nie wiem, czy z tego wyjdzie. Zawiadom Starego o SS.

Laskowski w przerwach pomiędzy seriami splunął przed siebie.

- Sam zawiadom, ja jestem trochę zajęty.

Nie mając innego wyjścia, klnąc na czym świat stoi, Ulwe pognał przez klatkę schodową na górę.

W tym czasie kapral Laskowski zauważył w bramie wrogiego domu coś mocno niepokojącego. Z głośnym sykiem z naprzeciwka wyleciały dwa strumienie ognia. Zanim

zdążył strzelić w tamtą stronę, płomień z miotacza ognia trafił w ścianę kamienicy tuż obok jego pozycji. Fala gorąca dotarła do kaprała. Rzucił się z karabinem na podłogę, zanim drugi strzał miotacza trafił prosto w jego okno. Struga ognia przeleciała tuż nad nim i rozbiła się o ścianę pokoju. Inni nie mieli takiego szczęścia, z sąsiednich pokoi usłyszał wrzaski palących się ludzi. Z dzikim okrzykiem wstał i przewiesił karabin przez nadpaloną framugę okna. Nie chował się już, tylko prowadził dziki, niekontrolowany ostrzał bydłaków, którzy palili żywcem jego przyjaciół. Długa seria wprowadziła atakujących w konsternację. Dwóch esesmanów padło podziurawionych kulami, trzech innych, lżej rannych, odczołgiwało się w kierunku swoich pozycji. Reszta rozbiegła się.

Zajęty stawianiem wściekłego oporu, kapral Laskowski nie zwrócił uwagi na pożar, który zaczął szaleć za jego plecami. Ogień błyskawicznie rozprzestrzenił się na resztki mebli oraz skrzynie z granatami położone tam przez Schmidta i jego kolegę. Silna eksplozja wstrząsnęła kamienicą, wyrzucając przez okno beznoгие płonące zwłoki kaprała Laskowskiego na środek ulicy. Ogień objął cały parter. Na swoje szczęście porucznik Neuman wciąż był nieprzytomny, gdy ogarnęły go płomienie.

*

Kryjący się w piwnicy sanitariusz Zimmerman wraz z dwoma rannymi szeregowcami z niepokojem obserwował coraz gęstszy dym wydostający się spod drzwi prowadzących na górę. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu wyjścia z ognistej pułapki. Podbiegł do jedynych drzwi i uchylił je. Pęd zasysanego powietrza wyrwał mu kłamek z ręki. Chwilę później ognisty podmuch uderzył w niego, zamieniając w płonącą pochodnię. Pozostali żołnierze, chcąc się wydostać z podziemnej pułapki, rzucili się do wąskich okien znajdujących po stronie budynku atakowanej przez Polaków. Kapral Kurt bez problemu wydostał się na ulicę, ale szeregowy Berg zaklinował się.

- Pomóż, utknąłem. - Wyciągnął ręce w kierunku kolegi.

Kurt podniósł się, aby mu pomóc, gdy dosięgły go dwie polskie kule. Przez chwilę patrzył oskarżycielsko na Berga, po czym zwałił się martwy na zakrwawiony chodnik. Berg, czując na plecach coraz większy żar, szarpnął się i zawył z przerażenia. Chwilę później zaczął się palić.

*

Potężny wstrząs budynku przerwał na moment szeregowemu Ulwemu składanie raportu kapitanowi Bulłowowi. Obejrżeli się w kierunku, z którego dochodziła eksplozja. Szeregowy Kunst wypadł na klatkę schodową, po czym cofnął się wystraszony.

- Panie kapitanie, palimy się! - Jego głos zdradzał narastającą panikę.

- Na pozycję i morda w kubeł - przywołał go do porządku sierżant Max Zossen.

Kapitan z powrotem obrócił się do Ulwego.

- Jesteście pewni, że to SS? - powrócił do przerwanej w pół słowa raportu.

Kapral pokręcił głową.

- Tak twierdził Schmidt i Laskowski. Porucznik Nauman zdaje się też tak uważał. Co teraz robimy?

Bulłow zamyślił się. Wyglądało to na jakiś koszmarny sen. Z jednej strony Polacy, z drugiej SS.

- Chodźcie za mną. Muszę to zobaczyć na własne oczy - rzucił.

Szybko przebiegli przez pomieszczenia pełne walczących żołnierzy. Wpadli do ostatniego pokoju z oknami na drugą stronę. Rosły kapral poderwał się na widok oficera.

- Sytuacja? - rzucił Bulłow krótko, zanim podoficer zdążył się zameldować.

Kapral Richter wciągnął wolno powietrze i wypuścił je z sykiem.

- Palimy się. Co gorsza, jesteśmy właśnie atakowani przez polskich bandytów przebranych za SS od strony ulic Dolna i Kondorska - wyrecytował, niepoprawnie wymawiając nazwę ulicy.

Bulłow ostrożnie podkraść się do okna. Kilka pocisków przeleciało mu nad głową. Wychylił się i rozejrzał przez zasnutą dymem ulicę Konduktorską.

Na dole biegło w ich stronę kilku żołnierzy w mundurach wskazujących na przynależność do tajemniczego oddziału SS. Jego ludzie zawzięcie ich ostrzeliwali, ale dym utrudniał prowadzenie ognia. Przez moment wydawało mu się, że atakujący wykrzykują komendy po niemiecku. Wśród żołnierzy pojawił się nagle jakiś oficer. Kapitan wyteżył wzrok i zdębiał. Mimo dymu nie mogło być mowy o pomyłce.

- Kromberg - zasyczał na jego widok.

Wszystko stało się przerażająco jasne. Porucznik Kromberg, siepacz do zadań specjalnych pułkownika SS Ernesta Haydricha. Marionetka Naczelnego Szabrownika, Czołowego Spekulanta korpusu von dem Bacha i gnojka, który kilka dni temu przydzielił Bulłowowi i jego ludziom to poronione zadanie. Zadanie, z którego zresztą kapitan wycofał się po masakrze w kanałach, czym świadomie naraził się na gniew potężnego esesmana.

Bulłow schował się za ścianę i zamyślił. Wkurzył ich swoją postawą, to pewne, ale żeby aż tak? Rozejrzył się dookoła siebie. Popatrzył na otaczających go walczących żołnierzy. Czyżby dla ukarania jego niesubordynacji Haydrich chciał wymordować cały pluton niemieckich żołnierzy? Niemożliwe, nawet jak na tego bydlaka. A jednak esesmani tu byli i walczyli z nimi. Może to jednak pomyłka? Widząc oczekujące spojrzenia Richtera i Zossena, zgryźł ze zdenerwowania wargi. I wtedy go olśniło.

Major Paulsen z Berlina i jego misja. Tajemnica, dla której warto wyróżnić cały pluton niemieckich grenadierów. Całość makabrycznego planu dotarła do niego z przerażającą jasnością. Przydział na pozycję znajdującą się w miejscu planowanej polskiej ofensywy. Potajemne wycofanie reszty kompanii. Niedziałające radio. Wreszcie atak esesmanów. Nikt z nich nie może stąd wrócić żywy.

- To jest SS, kapralu - zwrócił się zrezygnowany do Richtera.

Twarz podoficera poszarzała.

- To jakaś pomyłka, prawda? Nie wiedzą, że strzelają do Niemców? Trzeba im jakoś dać znać...

Kapitan powoli, jak we śnie, odwrócił się do niego.

- Obawiam się, kapralu, że nie ma żadnej pomyłki.

Na twarzy Zossena pojawił się błysk zrozumienia.

- To ma coś wspólnego ze śmiercią podchorążego Abła i jego ludzi. I panem, panie kapitanie. - Wyciągnął oskarżycielsko palec w kierunku przełożonego. - To o was im chodzi...

Nie zdążył dokończyć, gdy w głowę trafiła go kula snajpera. Polskiego czy niemieckiego, nie miało to już znaczenia dla ludzi zamkniętych w płonącej kamienicy przy ulicy Dolnej. Bullow wraz z Richerem padli na podłogę.

- Co teraz, kapitanie? - Kapral uznał, że nie pora na dochodzenie win w obecnej sytuacji. Na to czas przyjdzie później. O ile będzie jakieś później.

- Musimy się stąd wydostać. - Bullow błyskawicznie doszedł do siebie.

Rzucili się w kierunku drzwi, ścigani serią z karabinu maszynowego.

W drugim pokoju wpadli na coraz bardziej przerażonego Kunsta, który na widok oficera przełknął ślinę.

- Melduję, że Polacy ponawiają atak. Nie damy rady dłużej się opierać. Walą miotaczami ognia po oknach. Jakie rozkazy?

Bullow w miarę spokojnie strzepnął kurz z munduru. Niewiele to dało, bo pod wpływem eksplozji pokoje wypełniały całe chmury pyłu. Miało się wrażenie, jakby stracił kontakt z rzeczywistością.

- Może spróbujemy się... poddać? - zasugerował nieśmiało Richter.

Kapitan spojrzał na niego ironicznie.

- Polakom czy SS? - Bullow zignorował oniemiałe spojrzenie Kunsta. - Mam dla was złą wiadomość. Nie możemy się poddać. Już nie. - Rozejrzał się błędnym wzrokiem dookoła. Mimo że dym stawał się coraz gęstszy, wszędzie w dalszym ciągu trwała walka. Jego żołnierze wciąż trwali na pozycjach. Ginęli, ale i sami zadawali śmierć.

*

Szeregowy Ulwe ryzykownie wychylił się przez okno i równą serią ze szmajsera skosił esesmana, który miotaczem ognia podpalał dolne piętro budynku. Jedna z kul trafiła w zbiornik z paliwem. Rozległa się podwójna eksplozja. Kula ognia objęła jeszcze dwóch esesmanów. Pozostali rozbiegli się w poszukiwaniu osłony. Zanim koledzy zdążyli Ulwemu pogratulować sukcesu, kula snajpera trafiła go prosto w prawe oko. Jego ciało przez moment zawisło na krawędzi okna, po czym spadło na bruk ulicy.

Z drugiej strony budynku kapral Weiss twardo szachował Polaków ogniem z karabinu maszynowego. Lufa jednak przegrzała się zbyt mocno od ciągłego strzelania i rozerwała się, oślepiając go i masakrując głowę. Wyjąc jak szaleniec, złapał się za twarz. Kapitan z przerażeniem zauważył, jak spomiędzy palców płynie strumieniem krew. Szeregowy Nosche doskoczył do niego i wyciągnął apteczkę polową. Sprawnie zaczął go bandażować, jednocześnie coś do niego cicho mówiąc.

- Jakie rozkazy, kapitanie? - ponowił pytanie Richter.

Bulłow jakby się ocknął.

- Obie strony budynku są zablokowane, poza tym dół się pali. Nie przebijemy się. Zostać tu też nie możemy. Pozostaje dach. Kapralu, zbierzcie ludzi i... - W tym momencie w jego pierś trafił pocisk. Kapitan umilkł w pół słowa jakby zdziwiony, po czym osunął się na podłogę. Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust zaczęła płynąć krew. Kula przebiła mu płuco. Richter złapał go za kołnierz i pociągnął do ściany. Widząc, jak Bulłow porusza ustami, przystawił ucho niemal do warg.

- Dach, uciekaj...

Kapral wstał i rozejrzał się mętnym wzrokiem. Już tylko kilku żołnierzy walczyło. Reszta leżała martwa lub ciężko ranna. Szybko ocenił sytuację. Należało ratować tylko tych, którzy mogli się jeszcze ruszać.

- Chłopaki, do mnie. Wyrrywamy przez dach! - ryknął.

Tylko czterech żołnierzy go posłuchało. Klatka schodowa była odcięta, więc jak szaleni zaczęli przebijać się saperkami przez sufit w miejscu, gdzie konstrukcja była osłabiona wcześniejszym wstrząsem. Desperacko walcząc o życie, wybili dziurę na tyle szeroką, że mogli dostać się na poddasze. Klnąc i modląc się na przemian, poganiani coraz gęstszym, duszącym dymem, wspięli się na zbawcze poddasze. Nie oglądając się za siebie, zaczęli przebijać się przez stare dachówki. Byli już w połowie drogi na dach sąsiedniej kamienicy, gdy dosięgły ich kule.

Kapral SS Ernest Hothar równymi seriami kosił ich z okien budynku po drugiej stronie ulicy. Jeden z żołnierzy dostał postrzał w brzuch w momencie, gdy przechodził przez dziurę w dachu. Jęknął rozdzierająco i spadł z powrotem do płonącego budynku. Dwaj inni, też trafieni kilkoma pociskami, przelecieli przez krawędź dachu i spadli z budynku po stronie ulicy

Ludowej prosto pod nogi atakujących akowców. Kolejny żołnierz trafiony w szyję oraz pierś zacharczał potwornie i przewrócił się na plecy. Impet pocisków spowodował, że wbił się w dach, gdzie po chwili zmarł z wykrwawienia. Richter, który dostał w nogę, wykonał półobrót i z krzykiem zleciał na chodnik prosto na martwego esesmana. Spadając, złamał obie nogi i kilka żeber. Widząc biegających dookoła esesmanów, znieruchomiał mimo potwornego bólu w piersiach.

W tym czasie rozgrywał się ostatni akt dramatu na piętrze. Ogień był już wszędzie. Jak przez mgłę kapitan Bullow obserwował ognistą bestię pożerającą zwłoki jego żołnierzy. Wokół rozlegały się pojedyncze wystrzały. To ciężej ranni skracali swoją mękę w obawie przez spaleniem żywcem. Inni, którzy jeszcze mogli chodzić, rzucali się z okien prosto pod kule Polaków lub esesmanów.

Kapitan spojrzał trochę przytomniej na wielki słup ognia huczący już tylko kilka metrów od niego. Żar powodował, że osmały mu się włosy. Dym coraz bardziej uniemożliwiał patrzenie. Zakasłał, plując krwią. Powoli wyjął z kabury służbowego lugera i przystawił go sobie do skroni.

- Heil Hitler - wycedził szyderczo i nacisnął spust.

Zamiast strzału rozległo się złowróżbne kliknięcie. Pistolet zaciął się. Bullow popatrzył z wyrzutem na broń i odrzucił ją, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Jest znacznie gorzej niż w Smoleńsku - powiedział do siebie całkiem wyraźnie.

Próbował podczołgać się do okna, ale nie miał już na to sił. Siedział więc oparty o okopconą ścianę, modląc się o szybką śmierć. Modlitwę przerwał, dopiero gdy mundur zajął się ogniem, zamieniając go w żywą pochodnię.

Szeregowy Nosche drżącymi rękami podniósł słaniającego się Weissa i doprowadził do rozbitego okna. Modląc się do wszystkich świętych, jacy przyszli im właśnie do głowy, skoczyli razem na chodnik. Któraś z modlitw musiała być skuteczna, bo padając, jedynie połamali sobie nogi. Na widok polskiego karabinu Nosche podniósł ręce i zaczął zawodzić żałośnie, pokazując jednocześnie na obandażowanego Weissa.

Mimo solennej obietnicy, złożonej sobie jeszcze nad ranem, że rozwali każdego szkopa, jaki się tylko napatoczy, kapral Janicki wziął obu Niemców do niewoli.

Po drugiej stronie kamienicy na ulicy Konduktorskiej leżący na chodniku Richter usłyszał zbliżające się do niego równe miarowe kroki. Bardziej wyczuł niż zobaczył, że ktoś się przy nim zatrzymał. Zrezygnowany podniósł głowę i spojrzał w twarz oficera SS. Oficerki zdawały się lśnić w blasku płomieni kamienicy.

- Nein... - Kapral zdążył jedynie wydusić z siebie to jedno słowo, zanim dwie kule trafiły go w głowę.

Kromberg przeładował pistolet i rozejrzał się w poszukiwaniu następnych celów. Nieopodal czołgał się inny ranny żołnierz z grupy Bullowa. Widać było, że szeregowiec ma poparzoną twarz, a ze strzępów munduru unosił się ledwie dostrzegalny dym. Mając połamane nogi, ranny czołgał się jak najdalej od płonącej kamienicy, pozostawiając za sobą na bruku szeroki krwawy ślad. Kromberg podszedł do niego szybkim krokiem i strzelił dwa razy w plecy. Żołnierz znieruchomiał.

Do esesmana podbiegł sierżant i zasalutował.

- Tak, Muller?

- Panie poruczniku, pułkownik Haydrich jest na linii. Oczekuje raportu sytuacyjnego.

Kromberg schował lugera do kabury i popatrzył z satysfakcją na płonąca kamienicę. Ogień strawił już dwa piętra i teraz szalał na poddaszu. Z drugiej strony budynku strzały również ucichły. Wyglądało na to, że Polacy także uporali się z żołnierzami Wehrmachtu.

- Zameldujcie, że zadanie wykonane. - Rozejrzał się dookoła. - Przekażcie również do dowództwa 19 dywizji grenadierów pancernych, że niestety nie zdążyliśmy z odsieczą i oddział kapitana Bullowa został zniszczony przez powstańców.

26 sierpnia, Stare Miasto

Porucznik Nowakowski miał ochotę kląć jak szewc. Od dwóch godzin on i trzech przydzielonych mu żołnierzy włączyli się po kanałach zanurzeni po kolana w cuchnącej wodzie, sporadycznie wychodząc na powierzchnię dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Dwa razy wracali na dół pod gradem niemieckich pocisków.

Wzrok porucznika zatrzymał się na barczystym sierżancie, który poruszał się cicho jak kot. Na ten widok wrócił myślami do wczorajszego spotkania z Monterem.

Skompletowanie zespołu zajęło im cały dzień.

„Ochotniczo” powołany do służby Wojciech Krawecki - siwiuteńki emerytowany pracownik Wodociągów i Kanalizacji. Mimo swoich sześćdziesięciu lat poruszał się zwinnie i bezszelestnie. No i kanały znał jak własną kieszeń.

Dalej weteran walk wrześnieowych kapral Tomasz Kiełc - niski, szczupły i małowówny. Paradoksalnie jedyny w grupie żołnierz zawodowy, co zresztą dało się wyczuć w jego stosunku do porucznika. Żadnego bratania się czy koleżeństwa. Zdawałoby się, że służbista w każdym calu oddany przede wszystkim swojemu oddziałowi, a dopiero później Bogu i Ojczyźnie. Od samego początku Kiełc sarkał na misję, dając do zrozumienia, że jest żołnierzem, a nie hyclem. Porucznik w skrytości ducha się z nim zgadzał, że walka z Niemcami to nie to samo co uganianie się po cuchnących kanałach za jakimiś krokodylami. Jednak po pierwszej godzinie błędzenia pod ziemią zrozumiał, o co tak naprawdę chodziło Kiełcowi. Kapral wyraźnie źle się czuł w kanałach. Czasami ciężko oddychał i zatrzymywał się, zanosząc kaszlem. Nowakowskiemu zaczęło robić się go żal. Widać było, że Kiełc ciężko walczy z napadami klaustrofobii.

No i wreszcie sierżant Andrzej Wołos - saper, snajper, instruktor walki wręcz, spadochroniarz, czyli cichociemny. Po prostu maszyna do zabijania na wszelkie sposoby, jakie tylko ludzkość wymyśliła. Choć maszyna trochę niestabilna emocjonalnie, jak zdążył zauważyć Nowakowski, zanim weszli do kanałów. Dwa razy zauważył, jak cichociemny w zamyśleniu zgrzyta zębami i machinalnie zaciska pięści. Ciekawe...

Uzbrojeni po zęby, wyposażeni w spory zapas amunicji, z wilgotnymi szmatami owiniętymi wokół twarzy, zeszli do podziemi na polowanie. Mieli wrócić z łbem potwora albo wcale. Los tysięcy ludzi walczących na Starówce od tego zależał.

Prowadzeni przez Kraweckiego po dwóch godzinach krążenia w ściekach zeszli na niższy poziom kanałów. Zrobiło się mroczniej i zimniej. Odgłosy walki prowadzonej na powierzchni ledwo docierały tak głęboko. Coraz częściej znajdowali rozszarpane szponami zwłoki Polaków i Niemców. Najwyraźniej wreszcie złapali właściwy trop.

Nagle Wołos zatrzymał się i gestem nakazał ciszę. Porucznik nerwowo rozejrzał się wokoło. Prześiąknięte wszechobecnym smrodem ubranie zaczynało doprowadzać go do tak wielkiej pasji, że miał problemy ze skupieniem się na tym, co robił Wołos. Ciemności kanałów rozjaśniały nikłe promienie latarek. Rozglądając się po cuchnącym, ciemnym i wilgotnym kanale, Nowakowski zdążył tylko pomyśleć, że to wyjątkowo parszywe miejsce na śmierć. Komandos wolno zaczął zdejmować z ramienia thompsona. Widząc to, pozostali zaczęli również przygotowywać broń. Przez chwilę trwali niczym posągi w muzeum.

- Sierzancie? - szepnął Nowakowski. Wydawało mu się, że szept niesie się głośno wzdłuż kanału.

Wołos nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, po czym ruszył naprzód. Wyraźnie się odprężył, ale nadal trzymał karabin w gotowości. Kraweckie aż sapnął z ulgi. Najwyraźniej fałszywy alarm. Ruszyli dalej.

Po kilkunastu metrach kanał kończył się dużą komorą, z której odchodziły liczne korytarze. Porucznik uznał, że najwyraźniej doszli do rozgałęzienia.

Komora była wypełniona do połowy wodą, na powierzchni której pływały ludzkie szczątki. Kraweckie bez namysłu zeskoczył do ohydnej brei i obejrzał zwłoki. Ze wstrętem odepchnął od siebie trupa, gdy zobaczył twarz z wygryzionymi przez szczury oczami. Stanął po pas w wodzie niezdecydowany i oświetlił latarką strop komnaty. Z górnych wylotów wolno spływały strumienie wody. Na przeciwległej ścianie wisiała wielka żelazna tablica. Mimo że cała była zaśnieżona, nadal można było na niej rozpoznać dwugłowego carskiego orła i datę 1893.

- Komora zbiorcza Starówki - wyjaśnił Krawecki, brodząc w szlamie. Machnął latarką w stronę wielkiego wylotu po prawej. - Ten kanał odprowadza ścieki do głównego kanału na Marymoncie, a dalej kolektorem żoliborskim przez bieleńską oczyszczalnię ścieków do Wisły.

Reszta oddziału nie zeszła do wody. Trzymając się ścian, wolno obchodzili komnatę dookoła. Kiełc z wyraźną ulgą opuścił wąski korytarz.

- I co teraz? - Kapral wyraźnie kierował pytanie do cichociemnego, a nie porucznika.

Wołos uśmiechnął się paskudnie na widok poszarpanych zwłok w niemieckim mundurze wypływających z mniejszego kanału.

- Tam. - Machnął thompsonem.

W tym momencie komnatę wypełnił potężny ryk.

Zadrgało światło, gdy żołnierze w panice zaczęli rozglądać się dookoła, jednocześnie machając latarkami.

- Jezu Chryste - wyrwało się Kraweckiemu. Zaczął desperacko brodzić w kierunku kanału, z którego przyszli.

- Spokój, do jasnej cholery - warknął porucznik i odbezpieczył stena. - On tu jest.

Coś na górze zaszurało i z pluskiem spadło do wody w komorze. Wszyscy czterej skierowali tam latarki.

- Jezusie Nazareński - wrzasnął spanikowany Krawecki.

Żołnierze nerwowo przeładowali broń i zaczęli się rozchodzić.

- Spokojnie, szeregowy, bez paniki, idźcie w moją stronę - zadudnił w kanale wyważony głos porucznika.

Grozę potęgowały ciemności oraz szum wody zagłuszający wszystkie odgłosy wydawane przez potwora. Promienie latarek nerwowo oświetlały ściany komory.

Nagle woda jakby eksplodowała. Coś wielkiego rzuciło się na Kraweckiego i wciągnęło go pod wodę tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować. Jedynie przez moment było widać światło z latarki opadającej na dno, ale szybko zgasło. Woda zabarwiła się na czerwono.

Porucznik przełknął ślinę.

- Jemu już nie pomożemy. Ognia!

Komnata rozświetliła się błyskami z luf pistoletów maszynowych. Pociski ze świstem cięły wodę. W zamkniętym pomieszczeniu huk był wręcz ogłuszający. Nowakowski przerwał ogień i latarką oświetlił wodę. Nic. Pozostali strzelcy również przerwali kanonadę. Wołos szybko zmienił magazynek w thompsonie i przeładował. Z upiornym bulgotem coś się wynurzyło i zaczęło wolno dryfować w kierunku Kiełca. Kapral przyjrzał się obiektowi i zbladł.

- Jasna cholera, to Krawecki. - Teraz i on nerwowo zaczął zmieniać magazynek w stenie. - A raczej jego połowa. Panie poruczniku, ubiliśmy to coś?

Nowakowski zaczął się cofać powoli w kierunku kanału znajdującego się za jego plecami.

- Nie wiem, a wy jak sądzicie, Wołos?

Cichociemny nie zdążył odpowiedzieć. Woda ponownie eksplodowała i zobaczył w nikłym świetle latarki tępy pysk jaszczura. Gad krótkimi skokami gnał w kierunku sierżanta. Komandos nie czekał. Jego thompson ponownie ożył, wypływając z siebie długą skoncentrowaną serię. Co najmniej połowa pocisków trafiła w cel, ale jaszczur nie zwolnił. Również krótka seria Nowakowskiego nie przyniosła efektu. Kiełc nie strzelił, gdyż bał się trafić sierżanta.

Jazgot karabinu urwał się niespodziewanie. Wołos nie tracił czasu na usunięcie zacięcia. Rzucił bezużyteczną broń w szarżującego potwora i wyrwał zza pasa dwa ręczne granaty. Błyskawicznie ocenił sytuację.

- Uciekajcie! - krzyknął do porucznika i kaprała.

Zębami wyrwał zawleczkę. Pysk jaszczura znalazł się tuż przy nim.

- *Fire in the hole*, skurwielu - wycedził przez zaciśnięte zęby, mierząc granatami w rozwartą paszczę stwora.

Jaszczur wybił się z wody i przednimi łapami wsparł się na krawędzi chodnika kanału, na której stał komandos. Jakby wyczuwając intencję człowieka, bestia zmieniła sposób ataku, z trzaskiem zamykając paszczę i przywierając do ściany zbiornika.

Wołos zawahał się. Nagle przed jego oczami pojawiła się postać młodej kobiety w mundurze niemieckich służb pomocniczych. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego zachęcająco i zmysłowo przejechała koniuszkiem języka po wargach. Jej dłonie przez moment pieściły piersi, po czym przesunęły się powoli po udach i zatrzymały się na pośladkach. Scena była tak niesamowita, a jednocześnie tak realna, że Wołosa zamurowało z wrażenia.

- Co jest? - oszołomiony opuścił na moment ręce z granatami.

Gad tylko na to czekał. Ogon błyskawicznie wystrzelił spod wody i pomknął w kierunku głowy Wołosa. Sierżant ocknął się z nierealnego snu, ale było już za późno na unik. Odruchowo zasłonił się rękami i przechylił do tyłu. Dzięki temu cios ogona zamiast zmiażdżyć czaszkę, ześliznął się po rękach i trafił go w pierś. Granaty potoczyły się z bezwładnych dłoni do brudnej wody. Sam sierżant, pod wpływem ciosu, poleciał w głąb tunelu kanalizacyjnego, przy wylocie którego stał. Połamany i nieprzytomny przeszedł plecami kilka metrów w płytkiej wodzie kanału i znieruchomiał.

Kapral z porucznikiem z obłędem w oczach rzucili się do ucieczki. Podwójna eksplozja wstrząsnęła komorą. Ze stropu posypały się cegły. Siła wybuchu osłabiona przez wodę rzuciła jaszczura na przeciwległy mur. Uderzenie o ścianę sześciometrowego cielska spowodowało dodatkowy wstrząs. Żelazna tablica z carskim orłem spadła na ogon jaszczura, odcinając kawałek.

Zwierz zaryczał wściekle. Przesunął rozdwojony jęzor po nozdrzach i poczuł krew. Swoją krew. Dwa wybite zęby i stłuczony nos. Syknął przeciągle. Bolał go poszarpany kulami grzbiet. Czuł, że coś jest nie tak z ogonem i lewą tylnią łapą. Jego wzrok zaczął płonąć. Z wściekłością ukąsił zwłoki Kraweckiego. Nie pomogło. Z nienawiścią rozejrzał się dookoła. Wróg, który zadał mu ten ból, nie ruszał się i nie stanowił w tej chwili zagrożenia. Jaszczur popatrzył w głąb drugiego tunelu, gdzie widać było jeszcze światełka latarek dwóch uciekinierów. Zaryczał rozdzierająco. Zemsta. Z furią ruszył w pościg za ludźmi, którzy ośmielili się na niego zapolować.

*

Porucznik wraz z kapralem, ciężko sapiąc, gnali mrocznymi, wąskimi kanałami. Nowakowski miał wrażenie, że od jakiegoś czasu nie biegną już tą trasą, którą przyszli. Bał się jednak zatrzymać, a co dopiero wracać.

Kurwa, i oni mieli na to coś zapolować? - tylko ta jedna myśl przebiła się w jego umyśle przez porażający strach.

Na moment zatrzymali się, oddychając spazmatycznie. W bladym świetle latarki porucznik zobaczył wykrzywioną przerażeniem, zmęczoną twarz Kiełca. Kaprał przełknął głośno ślinę i splunął w kierunku ciemności, z której wybiegli.

- Sierżant... - zaczął nieśmiało, dysząc spazmatycznie.

Nowakowski pokręcił przecząco głową. Wierzył, że Wołos wciąż żyje, ale nie byli w stanie mu pomóc. Przez moment uspokoił oddech i zaczął nasłuchiwać. Miał wrażenie, że horror, którego byli świadkami, podąża cały czas za nimi. Mrucząc pod nosem na przemian przekleństwa i modlitwy, zaczęli znowu biec. Po kilku metrach skręcili w prawo w szerszy kanał, gdzie w oddali widać było jakieś światło. Biegący za nim kaprał nagle z krzykiem upadł w płytką wodę.

- Moja noga! - wrzasnął bardziej wściekły niż przerażony. - Nie mogę biec.

Złapał się za zwichniętą kostkę. Porucznik dobiegł już był przy nim i oglądał nogę w świetle latarki.

- Kurwa mać - zaklął cicho.

W kanale za nimi coś zaszurało. Obaj zamarli.

- Dasz radę iść? - dobiegł kaprała szept Nowakowskiego.

Przecząco pokręcił głową, wpatrując się w czeluść kanału, z którego coraz wyraźniej rozlegało się człapanie.

- Proszę iść, panie poruczniku. Postaram się go tu zatrzymać. - Jego twarz nie wyrażała niczego.

Porucznik pomógł mu wstać i położył rękę na jego ramieniu.

- Żegnaj, Tomaszu. - Po raz pierwszy Nowakowski odezwał się do niego po imieniu.

- Ku chwale Ojczyzny, panie poruczniku. - Kiełc uśmiechnął się blado, nieświadomie powtarzając niedawno użyty przez porucznika zwrot.

Nowakowski pobiegł w kierunku odległego światła. Kapral położył dwa metry przed sobą latarkę tak, aby oświetlała kanał przed nim, a sam pozostał w ciemnościach. Starał się uspokoić.

Myśl tylko o swoim przeciwniku - zganił się w myślach, usiłując zwalczyć kolejny napad klaustrofobii. Wyteżył słuch. Stwór był coraz bliżej. Kiełc zacisnął dłonie na stenie. Z ciemności wynurzyło się ogromne cielsko. Jaszczur zatrzymał się niezdecydowany przed latarką świecącą mu prosto w pysk. Zmrużył ślepią i obwąchał ją nieufnie.

W tym momencie odezwał się pistolet maszynowy kaprala. Lawina pocisków zalała gada z bliskiej odległości. Kiełc przekonał się jednak, że kule odbijały się od kości czaszki jaszczura niczym od pancerza. Niemniej zaskoczony gad ryknął wściekle, gdy poczuł pierwsze trafienia. Jedna z ostatnich kul trafiła go w oko. Nastroszył grzebień na łbie i skoczył. Na wpół oślepiiony, źle wymierzył i zawadził grzbietem o strop kanału. Wylądował jednak tuż przy kapralu, który właśnie zmieniał magazynek. Niezdarnie podniósł się na tylnych łapach i zawył Kiełcowi prosto w twarz. Siła ryku zwielokrotniona echem wąskiego korytarza rozsadziła mu bębunki w uszach. Kiełc, walcząc z bólem i mdłościami, przeładował wreszcie broń, ale nie zdążył już strzelić. Jaszczur rzucił się na niego i rozszarpał szponami gardło. Kapral przewrócił się, pociągając za sobą gada. Jaszczur w furii darł na strzępy jego ciało, mszcząc się za częściowe oślepienie.

*

Latarka dawała coraz mniej światła, ale porucznik nie przestawał biec. Z tyłu dochodziły go wściekle porykiwania jaszczura. To, że nie słyszał już żadnych strzałów, pozbawiało go jakichkolwiek złudzeń co do losu kaprala. Z determinacją gnał dalej w kierunku zbawczego światła. A przynajmniej taką miał nadzieję. Żeby zdusić panikę i skoncentrować się na biegu, wsłuchiwał się jedynie w odgłos tupotu własnych stóp. Wpadł do małej komory rozświetlonej przez drobne promienie słońca sączące się przez uchylony właz. Nie zauważył nawet, że znalazł się w środku grupy jakichś żołnierzy. Z rozpędu runął na jednego z nich i razem upadli. Szarpnął leżącą pod nim postać i wrzasnął, wskazując korytarz, z którego wybiegł:

- Uciekajcie, on tu idzie...

Nagle dotarło do niego coś bardzo ważnego. Żołnierz, którego przewrócił, klął po niemiecku.

*

Widok umorusanej sylwetki wpadającej prosto na nich zaskoczył wszystkich Niemców. Słyszac strzały, ryki i kroki spodzielali się wszystkiego, tylko nie samotnego człowieka biegnącego na oślep. I to zaskoczenie na dobrą sprawę uratowało życie Nowakowskiemu. Nikt nie zdążył pociągnąć za spust.

Pechowcem, na którego wpadł porucznik, był sierżant SS Bert Muller. Na domiar złego Polak przewrócił go prosto w cuchnącą wodę kanału. Widok dumnego sierżanta umorusanego w gównie wywołał rechot jego żołnierzy. Jedynie oficerowie nie podzielali tej wesołości. Kapitan Wehrmachtu, Hans von Bronowski, słyszac histeryczny krzyk powstańca, szybko przetłumaczył jego słowa majorowi Paulsenowi. Esesman nie tracił czasu.

- Fritz, korytarz - padł krótki rozkaz.

Potężny szturmowiec podbiegł do odnogi kanału, z której przybiegł Polak, i wymierzył z miotacza.

- Uwaga, odpalam - dobiegło spod jego maski przeciwigazowej.

Półmrok kanału rozjaśnił się, gdy strumień ognia pomknął w głąb korytarza. Rozległ się przeciągły ryk, gdy ogień łapczywie pożerał powietrze.

- Starczy! - Major próbował przekrzyczeć ryk miotacza. - Oszczędzaj paliwo.

Szturmowiec, niezadowolony, że mu każą przerwać zabawę, wyłączył broń. Drobne krople płonącego paliwa kapały z lufy. Kochał ten swój miotacz. Jeszcze nigdy go nie zawiódł. Poza tym uwielbiał ogień. Czuł obsesyjną fascynację tą ognistą bestią.

- Korytarz pusty, panie majorze.

- Idź i sprawdź to. Sierżancie Muller, proszę iść z nim.

Szturmowiec włączył latarkę przypiętą do bluzy munduru, skinął w stronę majora i wolno wszedł w mrok kanału. Za nim jak cień szedł sierżant ciągle klnący z powodu mokrego i cuchnącego munduru. Reszta oddziału zajęła pozycje obronne wokół oficerów.

Jeden z żołnierzy podszedł do Polaka i odebrał mu broń. Przez chwilę wahał się, co ma zrobić ze stnem jeńca. Nie bardzo chciało mu się dźwigać dodatkowy ciężar, więc rozładował go i wyrzucił w głąb kanału. To samo chciał zrobić z visem Nowakowskiego, ale broń dobrze leżała mu w dłoni. Po krótkim zastanowieniu schował pistolet w kieszeni kurtki.

- No dobrze - major odwrócił się do powstańca - zobaczmy, co tu mamy. Kapitanie - zwrócił się do oficera Wehrmachtu - niech go pan zapyta, kim jest, co tu robi i co widział.

Von Bronowski szybko przetłumaczył słowa Paulsena. Jeniec spojrzał na niego dziwnie.

- Hans?

Kapitan oniemiał.

- Andrzej? To naprawdę ty?

Tylko niecodziennosc sytuacji i otoczenia spowodowała, że kuzyni nie wpadli sobie w ramiona. Oraz fakt, że nosili na mundurach emblematy wrogich armii.

- Co tu się dzieje? Przed czym uciekałeś?

Major Paulsen szybko odsunął kapitana i stanął przed Nowakowskim.

- Pan zna niemiecki? - Niemal oskarżycielsko skierował w jego stronę palec. - Panowie się znają? To jakieś kpiny? Przecież pan jest Polakiem, a on pruskim arystokratą.

Nowakowski pytająco spojrzał na Bronowskiego. Kapitan chrząknął znacząco.

- Pozwoli pan, majorze, że przedstawię. To jest mój kuzyn z rodziny mojej matki, graf Nowakowski. Kuzynie, to jest major Paulsen. - Kapitan zignorował mordercze spojrzenie esesmana. - To on dowodzi tym cyrkiem. Ja w tym gównie robię tylko za tłumacza. To jest porucznik Jürgen Kromberg. - Kciukiem wskazał stojącego pod ścianą oficera.

Żaden z przedstawionych nie wyciągnął ręki na powitanie. Major poruszył się zniecierpliwiony. Zaszra arystokracja.

- Wersal skończony. Co pan... graf tu robi? Co pana ścigało?

Polak popatrzył pod swoje nogi.

- A co major SS z asystą uzbrojoną po zęby w ciężki, nowoczesny sprzęt - wskazał ręką na trzymane przez esesmanów karabiny maszynowe Sturmgewehr-44 i miotacze ognia - oraz z kapitanem Wehrmachtu jako tłumaczem robi w warszawskiej kanalizacji? Mam wrażenie, że jesteśmy tu z tego samego powodu. Ogromny gad w podziemiach atakujący naszych i waszych, jak mniemam.

Na twarzy majora pojawił się uśmiezek.

- Jest pan niezłe poinformowany, ale nie wierzę w bajeczkę, że w pojedynkę poszedł pan na niego zapolować. Gdzie jest reszta pańskiego oddziału... grafie?

- Wystarczy „poruczniku”. Od wielu lat w Polsce nie używa się tytułów szlacheckich. - Znużony oparł się o brudną ścianę. - Wszyscy moi ludzie nie żyją. Czy dobrze rozumiem, że jestem w niewoli?

Uśmiech majora stał się odrobinę szerszy.

- Nie ma już Polski, a pan jest zwykłym uzbrojonym bandytą - odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu, kierując te słowa głównie do szykującego się już do protestu kapitana - ale mam dziś dobry dzień. Nie powieszę pana, jeśli pomoże pan w mojej misji. Co więcej, puszczę pana wolno po zakończeniu polowania - rzucił wyzywająco, widząc niezadowolenie malujące się na twarzy Kromberga.

Nowakowski zamyślił się. Kurwa, nie bardzo mu się uśmiechało powtórne spotkanie z bestią z piekła rodem, ale nie miał nic do gadania. Poza tym wyglądało na to, że Niemcy mieli jeszcze większy problem z gadem niż AK. Może jednak misję zleconą przez Montera uda się zakończyć pomyślnie? Nie chciał jednak zdradzić się przed tym Niemcem. Coś mu mówiło, że temu esesmanowi nie można ufać.

- Szantaż? A w jakiej roli mam brać udział w pańskim safari? Przecież broni mi nie oddacie.

Major był już zmęczony tą rozmową. Szturchnął powstańca w brzuch lufą Stg44.

- Powiedzmy, że przewodnika i konsultanta. Na razie...

Nowakowski miał już na końcu języka jakąś ripostę, ale w tym momencie kanałami wstrząsnął przeraźliwy krzyk. Dobiegał z korytarza, do którego wcześniej weszli obaj esesmani.

*

Szeregowy Fritz wolno szedł kanałem. Latarka bujała się w rytm jego kroków, rzucając smugi światła na ściany osmalone ogniem. Woda w kanale jeszcze lekko parowała po strzale z miotacza. Maską przeciwgazową powodowała, że cały się pocił, ale wołał jej nie ściągać. Dawno nauczył się, iż z miotaczami trzeba uważać w ciasnych pomieszczeniach. Wszystkim więc z godnością tłumaczył, że na wszelki wypadek wołał mieć osłoniętą twarz. Prawda była jednak taka, że fanatycznie bronił się przed złamaniem regulaminu piechoty w zakresie używania miotaczy ognia w pomieszczeniach zamkniętych. Choć w całym oddziale mówiono o nim złośliwie, że trzyma się regulaminów wojskowych jak ślepy ściany, Fritz święcie wierzył, że te wszystkie przepisy tworzyli mądrzejsi od niego, i to nie bez powodu. Poza tym, jak stwierdził pogodnie po godzinie włączenia się po kanałach, nosząc maskę przeciwgazową, w przeciwieństwie do pozostałych członków oddziału nie zatruł się cuchnącymi wyziewami.

- Daleko mamy iść, sierzancie? - rzucił do idącego za nim żołnierza.

Muller splunął na podłogę.

- A jaki zasięg ma to twoje pałace gówna?

Fritz uśmiechnął się pod maską, mimo że wielka butla z paliwem robiła się coraz cięższa. W myślach dziękował Bogu, że nie postąpił jak Hother i nie wziął na tę misję mniejszego miotacza, Flammenwerfer 41. A jeszcze przed samym zejściem do ścieków zastanawiał się nad zmianą broni. Nie sądził, że zajdzie konieczność użycia miotacza w wąskich kanałach. Na szczęście ostatecznie uznał, że lepiej się pomęczyć, a mieć więcej paliwa i większą siłę rażenia. Z satysfakcją stuknął w swój Kleinen Flammenwerfer.

- Trochę go przerobiłem. W terenie jakieś czterdzieści metrów, w kanałach ponad sześćdziesiąt - odparł z dumą. Jego głos wydobywający się spod maski przeciwgazowej był mocno przytłumiony.

Muller obejrzał się za siebie. Nadal widać było światła latarek reszty oddziału, ale głosy już tu nie dochodziły. Oświetlił długi korytarz przed nimi.

- Walnij jeszcze raz. - Odsunął się, robiąc szturmowcowi miejsce.

Fritz stanął pewnie na obu nogach, wymierzył i nacisnął spust. Z lufy miotacza buchnął z sykiem długi strumień ognia.

- Starczy. - Muller klepnął go w plecy i przyjrzał się osmalonym ścianom. - Idziemy jeszcze z pięćdziesiąt metrów i wracamy. - Rozległ się zgrzyt, gdy zawadził przypadkiem lufą karabinu maszynowego o ścianę. - Mamy zrobić zwiad, a nie zwiedzać polskie ścieki. I tak jestem już cały mokry i cuchnę jak bawarska knajpa po festynie.

- Ja jestem z Bawarii - sapnął Fritz z wyrzutem.

- No to wiesz, o czym mówię - skwitował sierżant.

Kłócili się tak jeszcze chwilę, gdy przed nimi zamajaczyły jakieś zwłoki. Ciało wydawało się trochę nadpalone i jakby... rozdarte. Kilka metrów za trupem kanał kończył się rozgałęzieniem.

Szturmowiec przeszedł nad parującym jeszcze ciałem i doszedł do rozgałęzienia. Sierżant pochylił się nad trupem i oświetlił go latarką.

- Twoja maszynka jest naprawdę wredna, Fritz, ale ten facet był już martwy. - Ostrożnie obrócił zwłoki, które jeszcze niedawno były kapralem Kiełcem. - Coś go nieźle poharatało. Myślisz, że to ten krokodyl, o którym opowiada major?

Szturmowiec nie odpowiadał, tylko rozglądał się to w jedną, to w drugą stronę kanału. Nie wiedział, w którą stronę mają teraz iść. Latarka oświetlała tylko pierwszych dziesięć metrów kanału, resztę zalegała nieprzyjemna ciemność. Wreszcie obrócił się w kierunku odnogi biegnącej w lewo i zaczął nasłuchiwać.

- Co się dzieje? - Sierżant skończył właśnie oględziny trupa, chowając do kieszeni sygnet i kieszonkowy zegarek.

- Coś jakby... sapanie. Dobiega stamtąd. - Fritz wskazał lufą miotacza ciemności na lewo od siebie. - Strzelać?

Muller nie zdążył nawet odpowiedzieć, gdy rozległ się dziwny syk i jasna chmura pojawiła się wokół szturmowca. Białe kropelki osiadły na jego mundurze. Zaskoczony Fritz odłożył miotacz, żeby przetrzeć szybką maski przeciwgazowej. Ze zdziwieniem zauważył, że z rękawic unosi się dym. Zaraz potem zaczął parować cały jego mundur oraz broń. Przerazenie ścisnęło mu gardło, gdy poczuł, że maska zaczyna się topić na twarzy.

- Wszystko w porządku? - Muller wykonał krok w jego stronę - Czujesz ten smród? Coś jakby siarka... - Zatrzymał się jak wryty.

Mundur Fritza coraz mocniej dymił. Jednocześnie szturmowiec usiłował ściągnąć z siebie maskę przeciwgazową, która szybko się odkształcała i stapiała ze skórą. Wąż doprowadzający powietrze z pochłaniacza z cichym sykiem rozerwał się i z maski dobiegł cichy skowyt. Kwas zaczął przeżerać już mundur i dochodził do ciała, ale Fritz nie zwracał na to uwagi. Coraz mocniej szarpał się z maską, która przyklejała się do twarzy, parząc niemiłosiernie. Gorąca guma zaczęła oblepiać nos oraz usta. Muller z zafascynowaniem patrzył, jak jego kolega po prostu się topi tuż obok niego, w tym cholernym kanale. Fritz, nadal szarpiąc się z maską, padł na kolana. Wydał z siebie niewyraźny charchot, po czym padł na wznak. Wyciągnął popalone ręce przed siebie w błagalnym geście i zaczął się czołgać w kierunku kolegi.

Sierżant nie zdążył nawet zrozumieć ogromu horroru, którego był świadkiem, gdy przerażenie sparaliżowało go na widok innego koszmaru. Zza rogu wyłonił się potężny jaszczur. Wolno minął znieruchomiałe już, skwierczące ciało Fritza, cały czas wpatrując się hipnotyzująco jedynym okiem w nową ofiarę. Muller zaszlochał. Upuścił broń i zaczął się wolno cofać. Gad, cicho posykując, szedł za nim krok w krok.

Nagle esesman potknął się o zwłoki Kiełca. Upadł na plecy i krzyknął przerażony. Mrok kanału potęgował grozę sytuacji. Nie zdążył się nawet podnieść, gdy zwierz znalazł się przy nim, przyglądając mu się z ciekawością. Bełkocząc coś bez sensu, sierżant wyciągnął w geście obronnym prawą rękę, jakby to miało powstrzymać nadchodzący koszmar. Jaszczur wolno wysunął język i gwałtownie rozwarł szczękę, pokazując garnitur lśniących zębów ostrych jak sztylety. Błyskawicznie złapał w zębiska wyciągniętą rękę esesmana aż do połowy ramienia. Delikatnie zaczął zaciskać szczękę. Ból spowodował, że sierżant obudził się z transu. Zaskowyczał przerażająco i szarpnął się. Gad nie zamierzał jednak puszczać swojej ofiary. Jego jedyne oko jarzyło się jak pochodnia. Zdawało się, że cierpienia człowieka sprawiają potworowi niewysłowioną przyjemność. Niemal oszalały z bólu sierżant zaczął wolną ręką bić gada po pysku. Uśmiech jaszczura stał się jakby szerszy. Mocniej zacisnął zęby. Wyraźnie słychać było trzask miażdżonej kości. Ściany wąskiego tunelu zwielokrotniły skowyt torturowanego żołnierza.

Poprzez czerwoną mgłę bólu do sierżanta zaczęły docierać nawoływania i tupot nóg. Najwyraźniej nadciągała pomoc. Do tego samego wniosku doszedł jaszczur, widząc trzy światełka latarek. Zdecydowanym szarpnięciem wciągnął jęczącego człowieka do rozgałęzienia tuneli i zaczął się oddalać z tupem.

Nadbiegający szeregowy Lutz zdążył jeszcze w świetle porzuconej latarki Mullera dostrzec znikający za rogiem kawałek gadziego ogona. Wściekły i przerażony wystrzelił serię w kierunku rozgałęzienia. Tunel wypełnił się jazgotem broni maszynowej.

Jedna z kul odbita od ściany trafiła prosto w zbiornik z paliwem miotacza ognia. Rozległa się potężna eksplozja. Biegnący za Lutzem kapral Bremmer zobaczył jeszcze ogromną kulę ognia, która rozszerzając się, pożerała wszystko na swojej drodze. Zanim zdążył zareagować, pochłonęła ich obu i pognęła dalej korytarzem.

- Jazda stąd! - wrzasnął Kromberg, wybiegając z kanału. Ignorując zdziwione spojrzenia, rzucił się za róg tunelu.

Z przeciągłym rykiem z korytarza wypadła fala ognia. Na szczęście wytraciła już impet i tylko lekko poparzyła dwóch żołnierzy. Kapitan Bronowski podbiegł do nich i pomógł stłumić płomienie. W korytarzu, z którego nadpłynęła gorąca kula, rozległo się przeciągłe wycie palącego się żywcem człowieka. Bronowski z przerażeniem zauważył, że w jego stronę idzie płonący słup, będący chwilę wcześniej kapralem Bremmerem. Podoficer, mimo że ogień wypalił mu oczy, szedł prosto w kierunku kapitana, cały czas strasznie zawodząc. W pewnym momencie rozłożył ręce, jakby chciał objąć Bronowskiego w ognistym uścisku, i padł na kolana. Trzęsącą się ręką kapitan wyjął z kabury pistolet i strzelił w głowę ludzkiej pochodni.

Paulsen rozejrzał się dookoła zdumionym spojrzeniem.

- Co to, kurwa, było?

Nie zważając na protesty żołnierzy, szybkim krokiem wbiegł w czeluście wypalonego korytarza, mijając łukiem dopalające się zwłoki Bremmera.

- Jest bezpiecznie - wycharczał zdenerwowany do biegnącego za nim szeregowego Grossmana. - Po takim wybuchu wątpię, żeby tu coś przeżyło, a jak widzicie, ściany nie runęły.

Nie chciał się tłumaczyć przed żołnierzem, że gnała go do przodu chęć ujrzenia martwego ścierwa tego przeklętego gada. Nie dopuszczał do siebie myśli, że stwór mógł przeżyć eksplozję. Jednocześnie w głębi duszy odczuwał jakby żal, że nie uda się go schwytać żywego.

Z niecierpliwości omal nie wdepnął w dopalające się szczątki szeregowego Lutza. Zdyszany dobiegł do epicentrum wybuchu i zaczął się nerwowo rozglądać. Nigdzie nie było

niczego, co choćby w przybliżeniu mogłoby wyglądać jak ścierwo sześciometrowego gada. Głośno tupiąc, dobiegła do niego reszta oddziału. Major miał ochotę wrzeszczeć z wściekłości. Stracił niemal połowę kolejnej już grupy - i wciąż nic.

- Chryste Panie, majorze, co tu się stało? - Kapitan Bronowski wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

- Lutz coś zobaczył i zaczął strzelać - zamiast Paulsena odezwał się Kromberg. - Któraś z kul musiała trafić w miotacz ognia. Tylko tyle zdążyłem zauważyć, zanim zwałem. Ale skąd ten wcześniejszy wrzask i kto krzyczał, nie wiem.

Paulsen przeliczył trupy leżące na podłodze. Były trzy, nie licząc leżących przy wylocie zwłok Bremmera. Jednak coś tu się nie zgadzało. Obejrzał dokładnie zwłoki, ale tylko przy dwóch znalazł okopcone nieśmiertelniki. Co więcej, jeden z nich wydawał się jakby nadtopiony kwasem.

- Gdzie jest Muller? Czy ktoś widział jego zwłoki?

Sierżant Hother minął poczerwiałe ciało Fritza i doszedł do rozwidlenia. Najpierw oświetlił pooraną pociskami przez Lutza ścianę kanału, potem obie odnogi.

- Tu nic nie ma - zameldował.

Major z furią dobiegł do niego i spojrzał w mrok.

Jasna cholera, totalna klęska. I to już druga w tym tygodniu. Zostało mu do dyspozycji tylko dwóch żołnierzy, Kromberg i Bronowski. No tak, jest jeszcze ten jego polski kuzyn. Nie mógł jednak teraz wracać. W Berlinie uznają, że się nie nadaje i przyślą inną ekipę.

Równie ponure myśli krążyły po głowie Kromberga. W skrytości ducha zaczynał już przeklinać swoją chciwość. Haydrich obiecał milion reichsmarek w żydowskim złocie za udział w tej wyprawie dla niego i jego zespołu. Wysyłając go na tę misję, pułkownik poklepał go po ramieniu, zapowiadając niezły ubaw i przygodę życia. Tymczasem Kromberg tkwił, dosłownie i w przenośni, po kolana w polskim gównie i już miał dosyć przygód. Zaczynał się zastanawiać, czy czasem stary lis nie chciał się go pozbyć. To, że stracił już ponad połowę oddziału, nie martwiło go zbytnio. Każdy zabity oznaczał mniej złota do podziału. Miał tylko nadzieję, że zostało ich wystarczająco dużo, aby dokończyć misję i to złoto zobaczyć.

- Wracamy? - Jedynie Bronowski powiedział na głos to, co myślała reszta.

Paulsen zagryzł wargi i potrząsnął przecząco głową.

- Nie możemy, nie zbiorę tak szybko następnej ekipy. Poza tym jesteśmy wreszcie na jego tropie. Obawiam się, że jeśli teraz zawrócimy, później możemy nie mieć już drugiej szansy.

Bronowski zmarszczył brwi.

- Ale dlaczego właśnie teraz, w czasie działań wojennych? Nie można poczekać z tym do zakończenia rebelii? - Kapitan starał się nie patrzeć w tym momencie na kuzyna.

Major SS pokręcił przecząco głową.

- Sowieci nadchodzą. Nie mogę ryzykować, że ten stwór wpadnie w ich ręce.

W tym momencie wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Kromberg zaczął coś pleść o niezwyciężonej Rzeszy Niemieckiej. Nowakowski usiłował przekrzyczeć esesmana, mówiąc mu, gdzie tę Rzeszę może sobie wsadzić. Bronowski usiłował powstrzymać ich przed rzuceniem się na siebie.

- Cisz! - huknął nagle Paulsen. - Chyba coś słyszę.

Wszyscy zamarli przerażeni. Major wyteńczył słuch. Z oddali, z lewego korytarza dobiegło go ciche skomlenie i szloch. Odgłosy jednak coraz bardziej zanikały, jakby ich źródło coraz szybciej się oddalało. Powoli do Paulsena zaczęła docierać prawda na temat losu sierżanta Mullera. Wolnym krokiem doszedł do Nowakowskiego.

- Myślę, poruczniku - zaakcentował to słowo - że nadszedł czas, abyśmy porozmawiali.

*

Grupa wolno posuwała się kanałami, nikt nie zachowywał jednak ciszy. Głośno tupiąc czy przeklinając, dodawali sobie odwagi. Major natomiast bez ustanku zasypywał Nowakowskiego pytaniami.

- Niech się pan zastanowi. - Sapnął z wysiłku, przeciskając się przez kolejny wąski odcinek kanału. - Może z dzieciństwa pamięta pan jakieś legendy?

Akowiec zaczynał mieć wrażenie, że to wszystko to jeden durny, cholernie realistyczny sen. Zaraz się obudzi na barykadzie Starówki w świetle dnia słonecznego. Przypomni sobie ten

koszmar i zacznie się z niego śmiać wraz z kolegami z oddziału. Żadnych kanałów, jaszczurów czy SS.

- Pan wybaczy, ale nie wiem, co legendy mają wspólnego z naszą sytuacją.

Major obejrzał się do tyłu, oświetlając twarz Polaka.

- Co panu wiadomo o... prajaszczurach lub dragonidach? - Paulsen nie bardzo wiedział, jak zacząć.

- Drago co? - Bronowski włączył się do rozmowy.

Esesman westchnął głęboko.

- Ogromnych jaszczurach, które wasi przodkowie mogliby uznać za smoki.

Rozmowy w oddziale nagle ucichły. Porucznik Kromberg zasępił się. No tak, jeszcze brakowało mu w tym syfie dowódcy wariata. W dodatku wyglądało na to, że przez tego szaleńca stracił już kilku żołnierzy. Może jednak trzeba było zawracać? Przed oczami pojawił mu się drwiący uśmiezek Haydricha.

- Hm, gdybyśmy byli w Krakowie, to byłoby co opowiadać. - Nowakowski skrzywił się. - Tu, w Warszawie, nie było żadnych „smoków”.

Major nie poddawał się.

- Dragonid to nie jest wielki latający, ziejący ogniem smok z legend celtyckich. To coś jak wielki - szukał odpowiedniego słowa - jaszczur. - Spróbował trochę inaczej: - Coś pomiędzy dinozaurami a dzisiejszymi krokodylami.

Bronowski przysunął się bliżej.

- I ta skamielina gdzieś tu buszuje w kanałach, pożerając wszystkich?

Porucznik wreszcie się przełamał.

- Jest pewna legenda o czymś takim w Warszawie. Bazyliszek, bodaj z szesnastego wieku.

- Ba-zy-li-szek. - Paulsen przez moment delectował się tym słowem. - No tak, to nawet logiczne.

Uśmiechnął się do siebie. Wątpliwości zaczęły znikać. Mieli rację. Szkoda tylko, że z Albertem nie sprawdzili wcześniej legend warszawskich. Z drugiej strony niedoceniali wiedzy szesnastowiecznych polskich uczonych. Zнали basiliskosa, po prostu spolszczyli jego nazwę.

- Co z tym gadem?

Nowakowskiemu przeszła przez głowę tylko jedna myśl. To wszystko to tylko jakieś nierealne wariactwo. Włóczę się po kanałach z grupą esesmanów, kuzynem Hansem, którego nie widziałem od przedwojnia, gonimy się z jakimś gadem ludojadem, a teraz mam opowiadać bajki o bazyliisku. Szturchnięcie bagnetem w plecy sprowadziło go z powrotem na ziemię, a raczej pod nią. Odwrócił się.

- Pan major grzecznie pytał o coś. - Twarz sierżanta SS wyrażała całą jego złość na zaistniałą sytuację.

- Tak, bazyliszek. O ile pamiętam, to taki stwór, który wylęga się z jaja zniesionego przez starego koguta. Potem mieszka w piwnicy czy lochach i pożera ludzi.

Major zatrzymał się i zaczął coś sprawdzać na mapie. Popatrzył na nazwę ulicy na ścianie i porównał z planem. Następnie zerknął jeszcze na kompas i zadowolony schował mapę. Widząc zdziwione spojrzenie Nowakowskiego, uśmiechnął się.

- Wasza mapa kanałów. Była w berlińskim archiwum kartograficznym, to kazałem zrobić kopię. Nasi zabrali ją z Warszawy w 1917 roku. Jeszcze są na niej podpisy Lindleya^[29].

Porucznik po raz pierwszy popatrzył na Niemca z podziwem. Pomyślał, że to mimo wszystko kuty na cztery łapy sukinkot.

- Ta wasza legenda wspomina może coś o tym, czy ten wasz bazyliszek miał jakieś nadnaturalne zdolności? - spytał Paulsen. - Coś, czego ówczesni ludzie nie byli w stanie wyjaśnić i mogli uznać za magię?

Tym razem Kromberg nie wytrzymał.

- Smok, magia? Jesteś pan pieprzony wariat, a ja jestem dureń, że z panem idę. - Odwrócił się do Bronowskiego. - Kupujesz pan ten cyrk? Smoki, które wykluwają się z kogucich jaj?

Nowakowski popatrzył na kuzyna, szukając u niego wsparcia. Kapitan zmrużył oczy i wycedził:

- A może zagramy w otwarte karty? Nie mówi nam pan wszystkiego, majorze. Pan widział już takie stwory, dlatego nie jest pan zaskoczony jego istnieniem. To z jego powodu pan tu jest. - Wskazał przewieszony przez plecy majora sztucer myśliwski z niesamowicie grubą lufą.

Major unikał wzroku oficera Wehrmachtu.

- Widziałem. Jednego, dawno temu, w Erytrei, ale raczej nie był taki jak ten wasz bazyliżek. Straciliśmy wtedy wielu ludzi, zanim go zabiliśmy. Czytałem jednak raporty mojego instytutu na temat innych takich basiliskosów jak ten warszawski. Mają różne zdolności, więc się pytam, czy wasza legenda mówi coś o jego paranormalnych właściwościach. Znaczy się nadnaturalnych - dodał, widząc niezrozumienie na twarzy wszystkich obecnych.

- Znaczy się, poza tym, że istniał i wyklął się z jaja koguta? - Kromberg chciał się upewnić, czy dobrze usłyszał.

Naukowiec przystanął i oparł się zmęczony o ścianę. Smród kanałów zaczynał go wykańczać.

- Proszę mi wierzyć, poruczniku, one istnieją. Tak jak wszystkie gady wykluwają się z jaj, własnych jaj, nic mi nie wiadomo o żadnych kogutach. Są złe i uwielbiają smak ludzkiego mięsa. Oprócz tego są bardzo inteligentne i diabelnie odporne. Niektóre potrafią się szybko regenerować, jedne plują kwasem siarkowym, inne jadem. Istnieją też osobniki, które nic z tych rzeczy nie robią, ale są dużo silniejsze niż wszystkie pozostałe razem wzięte.

Nowakowski wyprostował się, zawadzając głową o sufit kanału.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ta legenda pochodzi gdzieś z końca szesnastego wieku. Czymkolwiek to było, dawno zdechło. Zgadzam się, że to, co ścigamy, jest wielkie i przerażające, ale to nie jest stwór z legend.

W pobliżu na powierzchni coś mocno huknęło. Przynajmniej na górze życie nadal toczyło się normalnym torem, gdzie Polacy i Niemcy toczyli zażarty bój na śmierć i życie. Korzystając z chwili przerwy, Paulsen zapalił papierosa.

- Basiliskos nie jest takim samym zwierzęciem jak krokodyl czy inne gady. Może zapadać w sen na wiele stuleci. Coś w rodzaju letargu. - Z ulgą zaciągnął się dymem. - Mój erytrejski okaz miał ponad sto lat. Inna nasza ekipa w Schlezwigu znalazła okaz liczący pięćset lat. Żywy. - Uśmiechnął się wrednie do wszystkich. - To co z tym bazyliiszkiem?

Kromberg popatrzył w osłupieniu na Bronowskiego, Bronowski na kuzyna, Nowakowski na Paulsena. Reszta grupy przezornie udała, że niczego nie słyszała.

- Legendy mówią tylko, iż miał tak złe spojrzenie, że każdy, na kogo spojrzał, padał trupem. Zamieniał się w kamień czy coś w tym stylu. - Akowiec wzruszył ramionami. - Przez to ponoć zginął. Ktoś postawił przed nim lustro i gad sam się zabił.

Major poczuł, że wreszcie złapał dobry trop. Starożytna Grecja, gorgony. Jak to było w archiwach SS o tych bestiach? Jad, którym gad mógł pluć w oczy ofiary. Po dostaniu się do krwiobiegu powodował pewnie szarzenie ciała. Ciekawe jednak, czemu w tym wypadku dotyczyło to tylko kobiet, a w dodatku trucizna wsączana była przez usta. Może to młody osobnik i nie rozwinął jeszcze w pełni swoich możliwości? Pokiwał głową w zamyśleniu. Wiele rzeczy wymagało jeszcze wyjaśnienia.

- Słyszałem o tym typie. Pluje wyjątkowo toksycznym jadem w oczy ofiar. Stąd wierzenia, że zabija na odległość. Znany jeszcze w starożytnej Grecji, zachował się w mitach jako gorgona. - Rzucił niedopałek w błoto i zatarł ręce. - To jeden z najwredniejszych basiliskosów. - Paulsen miał wątpliwości, ale wolał nie wzbudzać paniki. - To tyle legendy.

W kanale zapadła krępująca cisza. Major postanowił kontynuować:

- Nasz problem jednak nie jest tego rodzaju. Sprawdziłem stan zwłok ofiar tutejszego gada. On po prostu rozszarpuje ludzi na strzępy. Żadnego „zabijania wzrokiem”, trucizny czy innych sztuczek. Po prostu zwykła, brutalna siła. Nie powinno być trudno. Panowie, naszym obowiązkiem jest go znaleźć i zabić. - Na wszelki wypadek postanowił nie ujawniać wszystkich kart.

Żołnierze spuścili głowy, również obaj niemieccy oficerowie mieli mieszane uczucia. Jedynie Nowakowski w skrytości ducha entuzjastycznie podszedł to zamiaru Paulsena. Smok, krokodyl czy bazyliiszek, to bez różnicy. Miał w końcu swoje rozkazy od pułkownika Montera. Dręczyły go jednak też pewne wątpliwości. O ile do niemieckiego naukowca miał ograniczone zaufanie, to za grosz nie ufał Krombergowi. Coś w tym poruczniku mówiło mu, że to bardzo

niebezpieczny człowiek. Spojrzenia, które rzucał mu jego kuzyn, zdawały się potwierdzać przypuszczenia co do tego esesmana.

- Jeszcze jedno, poruczniku. - Major dźgnął Nowakowskiego w pierś lufą lugera. - Każdy gad ma swoje legowisko. Nasz jaszczur jest chyba ranny i potrzebuje odpoczynku. Czy pańskie legendy mówią może, gdzie ten bazyliszek się pojawił?

Powstaniec uśmiechnął się blade.

- Wygląda na to, że tym razem mamy jeden cel, dlatego wam pomogę. Według legend pojawił się w piwnicy kamienicy przy ulicy Krzywe Koło, obok Starego Rynku, centrum Starówki... - W tym momencie Nowakowski umilkł wstrząśnięty.

Przypomniał sobie dziwne słowa profesora Wiśniewskiego. Zaraz, zaraz, jak on powiedział? „Obszar jego łowów to KOŁO, w którego CENTRUM znajduje się leże”. Ponura myśl sprawiła, że Nowakowski złapał się za głowę. Oni wiedzieli, na co ich posyłają. Czemu jednak Wiśniewski nie powiedział tego wprost? No tak, pewnie Monter mu zakazał, niech go cholera jasna.

Major nie zwrócił uwagi na rozterki Polaka, tylko znowu wyciągnął mapę. Mimo ciasnoty w kanale, wszyscy czterej oficerowie pochylili się nad nią.

*

Na górze znów zaczęła się kanonada. Systematyczny huk wskazywał, że ten rejon właśnie ostrzeliwuje niemiecka artyleria. Dookoła, pod wpływem wstrząsów, sypał się pył ze ścian i sufitów. Dla szeregowego Grossmana oznaczało to, że są w środku polskiego terytorium. Obejrzał się za siebie. Reszta grupy nadal przedzierała się przez ostatnie zwężenie. Esesman uważnie oświetlił korytarz latarką. Według mapy powinni być już na miejscu. W oddali zauważył niewielką stertę gruzu. Ostrożnie, jak najciszej podszedł do niej. Po lewej stronie dostrzegł podłużną szczelinę w ścianie kanału, mocno poszerzoną w dole. Przeładował broń i rozejrzał się uważnie. Nieopodal leżał bezgłowy trup w niemieckim mundurze, który śmierdział niemiłosiernie.

Za jego plecami pojawił się Kromberg.

- Jasna cholera, wygląda na to, że znaleźliśmy leże. - Porucznik nie sprawiał jednak wrażenia zadowolonego z tego faktu. - No, szeregowy, włączcie do środka.

Grossman popatrzył przez moment na Kromberga jak na wariata. Co gorsza, wariata z bronią w rękę. Wymruczał coś niepoehlebnego o matkach wszystkich oficerów i ostrożnie przeszedł przez szczelinę.

Przedzierając się, poczuł pod palcami coś lepkiego. Przyjrzał się swojej dłoni. Świeża krew. Nie jest dobrze, przeszło mu przez głowę. Nic jednak nie powiedział, tylko wytarł rękę w bluzę munduru. Z trudem przecisnął się do niewielkiej komory, której ściany były wymurowane kamieniami.

- Chyba pusto - wyszeptał cicho.

Chciał się z powrotem dostać do kanału, ale wyjście zablokował Kromberg przeciskający się do środka.

- I jak, poruczniku? - dobiegło z tunelu pytanie Paulsena.

Obaj esesmani jeszcze raz uważnie oświetlili pomieszczenie. Kromberg przez moment kontemlował widok starego bezgłowego szkieletu, po czym jego wzrok padł na kawałek połyskującego w ciemnościach metalu. Wolnym krokiem podszedł do ściany i podniósł z podłogi starą szablę. Rękojeść rozpadła się pod jego palcami. Popatrzył krytycznie na zardzewiałe ostrze. Broń nie wyglądała na szczególnie cenną, więc delikatnie odłożył ją z powrotem na ziemię i wrócił do przeszukiwania komnaty.

Grossman jako pierwszy dostrzegł otwór w rogu komnaty i bez słowa wskazał oficerowi znalezisko promieniem latarki. Kromberg podszedł do otworu. W tym czasie przez szczelinę w ścianie zaczął się przeciskać Paulsen, a za nim Polak.

- Pomieszczenie jest puste, ale jest tu zejście na niższy poziom. - Kromberg na wszelki wypadek mówił szeptem. - Przy wejściu jest świeża krew.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy leże gada. - Nowakowski nachylił się nad otworem. - Nie jest głęboko, da się zejść.

Paulsen postanowił skończyć z dyplomacją. Schował lugera i zdjął z pleców sztucer.

- W takim razie proponuję, żeby pan pierwszy tam zszedł. Na wypadek, gdyby basilisk już wrócił i czekał na nas...

Nowakowski uśmiechnął się do niego zimno.

- Zrzucamy maskę naukowca, esesmanie? Proszę mi wyjaśnić jedną rzecz, zanim tam zejść. Tak mi coś chodzi po głowie, że nie przysłali tu pana po to, by zabił pan tego gada. W czasie walki w końcu trafiłaby go jakaś bomba lotnicza lub pocisk artyleryjski. Ewentualnie wasi ludzie poszatkowaliby go seriami. Mnie rozkazano zabić potwora. Pan chce go schwytać żywego. Po co?

Paulsen wyciągnął z kieszeni dużą strzykawkę, przyjrzał się jej krytycznie, po czym załadował ją do sztucera.

- To niesamowite zwierzę. Możemy się od niego wiele nauczyć. Proszę nie myśleć, że to coś osobistego. Dla mnie to przede wszystkim okazja zrehabilitowania się za porażkę w Erytrei. Z kolei ten drugi basiliskos, o którym wspominałem, ten duński, niestety zdążył nam zdechnąć, zanim go w pełni zbadaliśmy.

- Pan oszalał, majorze. Nie pisałem się na to. - Przez szczelinę przedzierał się Bronowski. - Stanowczo protestuję... - Umilkł wstrząśnięty, widząc wycelowane w niego dwa karabiny.

Paulsen podszedł do niego z zimnym uśmiechem.

- Cieszę się, że pan sam się zgłasza na ochotnika na zwiad. - Zabrał mu z kabury pistolet i pchnął go do przodu.

Nowakowski chciał się rzucić na niego, ale dźgnięcie lufy w plecy uświadomiło mu, że niewiele by wskórał. Krombergowi z kolei najwyraźniej spodobała się ta zmiana sytuacji. Bronowski przełknął ślinę z wysiłkiem.

- Jak śmiecie? Jestem oficerem niemieckiej armii i niemieckim arystokratą. - Odpowiedziały mu uśmieшки esesmanów, spróbował więc z innej strony. - Nie wiemy, co tam może być. Przynajmniej dajcie mi broń.

Kromberg bez słowa pchnął go w kierunku otworu w podłodze. Nie widząc innego wyjścia, kapitan z przekleństwem na ustach zsunął się w dół. Ostrożnie oświetlił drogę przed sobą. Jego przerażenie zaczęło powoli ustępować zdumieniu.

Drugi poziom nie był już piwnicą. Był w korytarzu pieczary. Widocznie Polacy w dawnych czasach przy powiększaniu piwnic przebili się do pradawnego labiryntu jaskiń. Zatrzymał się niezdecydowany. Korytarz na północ podnosił się lekko i kończył rumowiskiem

kamieni po jakichś dwudziestu metrach. Dużo bardziej obiecująca była trasa korytarzem w kierunku południowym, który wił się stopniowo coraz bardziej w dół i rozszerzał w pieczarę.

- I jak, panie Bronowski? - W obecnej sytuacji Kromberg postanowił pozwolić sobie na odrobinę poufałości.

Kapitan zmełł w ustach przekleństwo.

- Droga wolna. - Oświetlił jeszcze raz korytarz północny.

Z największą ostrożnością reszta grupy zsunęła się na dół. Ostatni zszedł Paulsen i z niemal nabożnym lękiem rozejrzał się po jaskini.

- Cudowne, po prostu niezwykle.

Kromberg nie podzielał jego zachwyty.

- Jaki jest plan, majorze? Nadal chce pan dopaść tego gada czy zwiedzać warszawskie jaskinie?

Paulsen dał się ponieść chwili.

- Idziemy na dół. To musi być jego pradawne legowisko, do którego tubylcy pewnie przez przypadek dotarli przed wiekami. - Na chwilę wrócił do rzeczywistości. - Polak idzie pierwszy, dajcie mu latarkę, za nim szeregowy Grossman i sierżant Hother z miotaczem. Pan, panie Kromberg, zamyka pochód. Pełna gotowość.

Grupa zaczęła się niemrawo posuwać do przodu. Nowakowski, widząc przed sobą ślady zakrzepłej krwi, zaczął w myślach przeklinać swojego pecha. Nie tak sobie wyobrażał wykonanie zadania Montera.

Na moment wstrzymał oddech, gdy promień latarki trafił na zwłoki młodej kobiety. Chłód panujący w jaskini zapobiegł rozkładowi. Dziewczyna wyglądała, jakby była pogrążona we śnie. Ze zdziwieniem Nowakowski zauważył, że ciało zmarłej nie nosiło żadnych śladów po kłach i pazurach. Co jednak najbardziej go zasmuciło, to fakt, iż zwłoki miały na sobie opaskę powstańczą i torbę kurierską.

Nad zwłokami pochylił się Paulsen.

- Nie widać żadnych ran z wyjątkiem okolic ust i gardła. - Przewrócił ciało na drugą stronę. - Ciekawe. Żadnych śladów kłów czy pazurów wskazujących na to, że ją tu przyniósł. Musiała sama tu wejść. - Milczeniem pominął fakt, iż mimo stężenia pośmiertnego zwłoki były nienaturalnie szare. - Chyba była pierwszą ofiarą... - umilkł, widząc leżącą nieopodal ludzką czaszkę -...w naszych czasach - dokończył ściszym głosem. Oświetlił korytarz przed nimi. - Panowie, jesteśmy na dobrym tropie. Naprzód.

Informacja o dobrym tropie nie podziałała zbyt krzepiąco na resztę grupy. Jedyne Hother sprawdził działanie iskrownika w miotaczu ognia i mruknął w miarę entuzjastycznie:

- I bardzo dobrze. Mam dość tego gówna.

*

Bronowski silnie pchnięty w plecy ruszył w dół korytarza. Dookoła panowała przerażająca cisza, zakłócana jedynie krokami grupy. Minęli dwa rozwidlenia, ale Paulsen zdecydował się iść głównym korytarzem. Oświetlając przed sobą drogę i rozglądając się trwożnie dookoła, doszli do ogromnej pieczary.

Pierwszy zatrzymał się sierżant Hother.

- O jasna cholera - zaklął, widząc, że promień jego latarki ginie w mroku jaskini.

Nastrój udziału w czymś niesamowitym udzielił się również Krombergowi.

- Możecie w to uwierzyć? Nie widać końca tej pieczary. - Zatrzymał się na moment. - A to słyszycie? Gdzieś tu płynie woda.

Przez moment stali jakby wrośnięci w ziemię, podziwiając mrok gigantycznej jaskini. Pierwszy ruszył się Paulsen. Zaczął wolno iść wzdłuż lewej ściany. Nagle zatrzymał się zaskoczony i zaczął się czemuś przyglądać.

- To niewiarygodne. - Oświetlił fragment ściany. - Widzicie te rysunki skalne?

Wszyscy zbliżyli się do niego. Ścianę pokrywały pobludłe malowidła przedstawiające jakieś postacie. Paulsen pogładził jeden z rysunków.

- Epokowe odkrycie - rozmarzył się. - To autentyczne starożytne malowidła pradawnego plemienia. Zwróćcie uwagę, z jaką starannością je zrobiono. Najpierw wyrównano

ścianę kawałkami kamieni, a potem ją czymś pobielono. - Poskrobał skałę i polizał próbkę białego pyłu. Splunął głośno. - Coś jakby wapno. Ciekawe.

Pozostali oficerowie zbliżyli się do niego z zaciekawieni.

- Są podobne do germańskich z Nadrenii, a jednocześnie jakieś inne... - Paulsen zawahał się na moment. - Dziwne. - Dotknął jeden z rysunków.

Nowakowski postanowił się odezwać:

- Może są to jakieś słowiańskie pozostałości? - Wskazał na namalowanego konnego wojownika w skórach.

Major pokręcił przecząco głową.

- Bzdura, proszę spojrzeć tutaj - wskazał promieniem latarki fragment malowidła - tu jest przedstawiona jakaś antyczna bitwa. Wrogami tego plemienia są bez wątpienia rzymscy legionieści. Mimo pewnych uproszczeń, nadal można poznać rzymski ekwipunek. Słowianie przybyli w te rejony dopiero po upadku Cesarstwa Zachodniego, choć ci tutaj to raczej też nie Germanie. Oni nie gustowali w takich malowidłach, raczej rzadko je wykonywali. Ponadto trochę inne są wzory hełmów. - Odstawił pod ścianę sztucer i włączył latarkę. - Już wiem, to są Sarmaci. Może to malowidło miało upamiętnić wielkie zwycięstwo? - Przesunął promień latarki w lewo. - Tu z kolei prowadzą jeńców korytarzami na jakąś ceremonię... - Umilkł na widok malowidła przedstawiającego ogromnego potwora pożerającego jeńców przywiązanych do pali. Jedna z sylwetek przywiązanych do pala ofiarnego była wyraźnie kobieca.

Rysunkowi przyjrzał się również Kromberg.

- Pan major zdaje się mówić, ile lat ma to malowidło? Dwa tysiące?

Paulsen zwilżył językiem usta.

- To nie jest możliwe. Żaden basiliskos nie może być tak stary...

- I ten nie jest wyjątkiem - dobiegł ich zduszony głos Bronowskiego.

Niemal potykając się o siebie, dobiegli do kapitana i stanęli jak wryci. W świetle latarek widać było ogromny szkielet gada. Sama czaszka miała co najmniej dwa metry wysokości. Za nią widać było resztki obręczy okalającej kręgi szyjne stwora.

- Co to, kurwa, jest?! - Pod wpływem szoku Grossman nie krępował już języka przy oficerach. - Ten wasz basilisk może się rozrosnąć do takich rozmiarów?

Major wolno przełknął ślinę i nerwowo przetarł spocony kark.

- Basiliskosy nie są aż tak wielkie, największy znany miał osiem metrów długości. To musi być coś innego... - Rozejrzał się dookoła zaniepokojony i trochę wystraszony.

Podszedł do szkieletu, którego koniec nikł gdzieś w ciemnościach. Z przerażeniem poznał, iż ogromna czaszka ma ten sam kształt co łeb warszawskiego jaszczura. Tępy, krótki pysk, wielkie sztyletowe kły wypełniające całą szczękę. Czyżby to, na co polowali, to było zaledwie wczesne stadium rozwojowe tego tu? Major bał się nawet wypowiedzieć swoje przypuszczenia na głos. Już i tak wszyscy byli zdjęci grozą całej tej sytuacji.

Nigdzie nie było widać czy słycać bestii, której szukali, więc postanowił przyjrzeć się znalezisku dokładniej. Szczególne zainteresowanie wzbudziła obręcz na szyi gigantycznego szkieletu. Ze zdumieniem zorientował się, że była zrobiona z brązu i miejscami pokryta srebrem. Nigdzie nie dostrzegł w niej dziur czy resztek łańcucha. Nie było niczego, co by sugerowało, że były to okowy trzymające stwora na uwięzi w tej jaskini. Przetarł ręką zaśniedziałą kawałek obręczy, usuwając osad, i dostrzegł na niej fragmenty jakiegoś pisma, którego nie był w stanie nawet rozpoznać. Coraz bardziej wyglądało na to, że obręcz była ozdobą, a nie kajdanami. Jakieś pradawne bóstwo?

Najmroczniejsze było jednak przed nimi. Pierwszy dostrzegł to Nowakowski. W bladym świetle latarki zobaczył wypiętrzenie w podłożu jaskini. Bez słowa, szybkim krokiem zbliżył się do czegoś, co okazało się kilkumetrową górą kości i na wpół przegniłych ludzkich ciał. Na niektórych szkieletach widać było szczątki staromodnych ubrań. Gdzieś dało się zauważyć porzewiałe szable, rapiery i prymitywne miecze. Jeden szkielet miał na sobie fragment półpancerza. Jeszcze gorsze wrażenie robił widok świeżych zwłok leżących na tej kupie. Zarówno małe, jak i duże, w mundurach i bez nich. Coś około osiemdziesiąt ciał porwanych ludzi w ostatnim tygodniu z ogarniętej walką Warszawy.

- Jezu Chryste... - Stojący za majorem Hother nagle przypomniał sobie swoje chrześcijańskie korzenie.

Również Kromberg podszedł do szczątków. Widok tego horroru nie zrobił na nim większego wrażenia. Sam nie tak dawno przeprowadzał egzekucje całych setek cywili na

Pradze i przyglądał się układaniu takich stosów. Uważnie przyjrzał się niektórym szczątkom. Z wściekłością zobaczył, że większość trupów była ubrana w różne mundury niemieckie. Fakt, iż kilka zwłok miało na ramieniu biało-czerwone opaski, nie poprawił mu nastroju. Nowakowski przykucnął przy górze szczątków.

- Świeże. Widocznie nadal ma tu swoje leże. Dlatego ciągle gromadzi tu... pożywienie - powiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli, a czego się obawiali.

Wzrok Kromberga zatrzymał się na moment przy ogromnym stalagmicie wyrastającym z podłoża nieopodal góry kości. Na wysokości może metra zwisały z niego resztki starego łańcucha. Sam stalagmit był mocno porysowany, jakby ktoś szarpał tym łańcuchem, usiłując przepiłować słup. Albo uwolnić się z kajdan. Ślady były jednak stare, jakby zrobiono je całe wieki temu.

Bez słowa podszedł do niego Paulsen. Major obejrzał stalagmit i zasepił się. Pod nim leżały, jakżeby inaczej, ciała dwóch młodych kobiet. Jedna z nich miała na sobie mundur niemieckiego personelu pomocniczego. Nawet gołym okiem było widać, że zwłoki nie były poszarpane kłami czy pazurami, za to skóra miała nienaturalnie szary odcień. Gad najwyraźniej zaciągnął je tutaj żywe. Po co? Jeszcze raz spojrzął na porysowany stalagmit. Wspomnienie katastrofy sprzed kilku dni, kiedy to zginął Worenman, uświadomiło mu, na co patrzy. Prymitywny pal ofiarny. Zawstydzony odwrócił wzrok. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzegł jakiś kształt za górą kości. Zaciekawiony zrobił kilka kroków. Na ziemi leżały zwłoki sierżanta Mullera. Pochylił się nad ciałem.

Gdy trup cicho jęknął, esesman gwałtownie wyprostował się.

- A niech to. Do mnie, znalazłem jednego żywego. - Oświetlił latarką teren wokół siebie.

Paulsen pochylił się nad rannym.

- Sierżancie, co to było? Co widzieliście?

Muller zajęczał cicho i zamachał kikutem prawej ręki. W tym momencie z ciemności przed nimi rozległ się potężny ryk zwielokrotniony ścianami pieczary. Kromberg skierował w tę stronę latarkę, ale zdążył uchwycić tylko jakiś szybko poruszający się kształt. Ryk się powtórzył, ale trochę z boku i znacznie bliżej.

- Wycofujemy się. Natychmiast. - Paulsen nie tracił zimnej krwi, choć właśnie uświadomił sobie, że sztucer ze środkiem usypiającym pozostawił przy malowidłach ściennych.

Grossman nerwowo wskazał na ruszającego się Mullera.

- A co z nim? Przecież go tak nie zostawimy. To w końcu Muller. Nasz...

Kromberg wystrzelił z lugera prosto w pierś leżącego podoficera. Jego twarz w świetle latarek wyglądała jak biała maska.

- Przygotować broń. Wycofujemy się grupą. Polak i graf - Kromberg z niechęcią oddał Bronowskiemu dymiący jeszcze pistolet - chronią boki. - Mimo że miał najniższą rangę z oficerów, bez wahania przejął dowodzenie. - Sierzancie, oddajcie Polakowi jego pistolet. - Zdjął z pleców karabin szturmowy i przeładował go.

Oświetlając teren dookoła siebie, zaczęli się wycofywać. Ciszę przerywały głośne oddechy ludzi i sporadyczny cichy syk potwora. Przerażeniem napawała ich natrętna myśl, że wokół krąży coś wielkiego, rozgniewanego i bardzo głodnego. Wiedzieli, że nie będzie litości. Wszechobecna groza była spragniona ich mięsa. Napięcie wywołane niepewnością i strachem stawało się nie do zniesienia.

Nagle gdzieś na prawo od nich rozległ się potężny ryk zwielokrotniony przez ściany jaskini.

Hother w panice nacisnął spust miotacza. Rozległ się przeciągły syk i strumień ognia rozświetlił na moment jaskinię. Sierżant jednak nie trafił w jaszczura, bo ten w momencie strzału podkładał się z drugiej strony do Kromberga. Błysk światła zaskoczył jednak gada. Zrezygnował z podchodów i odskoczył w ciemność, ścigany serią z pistoletów maszynowych Grossmana i Kromberga.

Paulsen, korzystając z blasku strumienia ognia, przyjrzał się napastnikowi. Poruszał się równie szybko jak basiliskos i bardzo go przypominał budową ciała. Różnił się jedynie kształtem pyska i miał większy grzebień na głowie niż inne znane osobniki. Korzystając z tego, że gad szybko umknął w mrok ścigany seriami z pistoletów maszynowych i ogniem miotacza, major rozejrzał się szybko po jaskini.

Była gigantyczna. W oddali zobaczył jeszcze dwie inne góry kości i czaszek, załśnił też mały strumyczek płynący wzdłuż ściany. Najbardziej przerażające wrażenie robił jednak cień ogromnego szkieletu pradawnego jaszczura. Ile ten szkielet miał metrów długości? Dwadzieścia? Trzydzieści? Co to było za stworzenie?

- Nie rozchodzić się, ludzie! - wrzasnęła, widząc, jak Hother szykuje się do ucieczki w stronę wyjścia. - Weszliśmy razem i razem wychodzimy.

Doszli już do wylotu korytarza, kiedy nastąpił atak. Jaszczur z ogromną szybkością i zwinnością przemknął obok, odbił się o ścianę i wpadł między nich. Zaskoczenie było kompletne. Kilka pocisków przemknęło obok gada, który z impetem uderzył pyskiem w szeregowego Grossmana. Kręgosłup żołnierza trzasnął jak sucha zapalka, a on sam zwałił się na ziemię w drgawkach, zanim ktokolwiek zorientował się w sytuacji.

Nowakowski został silnie pchnięty w kierunku wyjścia jaskini, podobnie jak Paulsen i sierżant Hother. Polak przeturlał się kilka metrów i znieruchomiał z połamanymi zębami. W głąb pieczary zostali wepchnięci Kromberg i Broniewski. Esesman, trafiony ogonem, runął na ziemię ze złamaną nogą. Jaszczur stanął na martwym Grossmanem i zaryczał niezdecydowany. Ocalałym okiem patrzył to na jedną, to na drugą grupę. Nie był już tak sprawny jak przed starciem z Polakami kilka godzin temu. Obolały grzbiet i przetrącona łapa spowalniały go, a brak jednego oka utrudniał ocenę odległości.

Paulsen wycelował w gada z lugera, ale bał się trafić Kromberga. Porucznik nie miał takich oporów. Wypuścił serię z pistoletu maszynowego prosto w jaszczura. Większość pocisków nie trafiła w cel. Kilka poleciało w głąb tunelu, jeden trafił Hothera w ramię. Rozwścieczony jaszczur rzucił się w kierunku Kromberga. Po drodze uderzył szponami w Broniewskiego, rozcinając mu brzuch. Oficer Wehrmachtu w drgawkach padł na ziemię i znieruchomiał. Stwór wyskoczył ciężko w powietrze i spadł prosto na plecy esesmana. Przygniótł go łapami do podłogi i złapał zębami za miednicę. Z ust Kromberga wydobył się skowyt, który zakończył trzask pękających kości. Gad z furią zanurzył kły w prawym barku. Upewniwszy się, że człowiek mu już nie ucieknie, odwrócił się w stronę pozostałych intruzów.

W momencie, gdy jaszczur skoczył na Kromberga, reszta żołnierzy, krzycząc ze zgrozy, ruszyła biegiem w kierunku wyjścia. Pierwszy pędził Paulsen, zaraz za nim, mimo połamanych zębów, gnał Nowakowski. Na końcu, ciężko sapiąc z powodu dźwiganego

miotacza ognia, biegł Hother. W oddali słychać było wściekły warkot jaszczura i odgłos jego tupania.

Przerażenie dodało Paulsenowi sił. Tych kilkadziesiąt metrów pod górę korytarza przebiegł błyskawicznie. Energicznie złapał się za krawędź otworu w sklepieniu i podciągnął, nie zważając na ból w boku. Skacząc między nich, gad musiał najwyraźniej zranić go szponami. Zaraz za nim zaczął się wspinać Nowakowski. Podciągnął się do połowy i zastygł z grymasem bólu na twarzy. Żebra coraz bardziej mu dokuczały. Major odruchowo złapał go za pasek spodni i podciągnął. Gdy tylko go przepchnął na posadzkę piwnicy, w otworze pojawiły się dłonie Hothera.

Sierżant nie tracił czasu na zdejmowanie miotacza, tym bardziej że przestrelony bark i tak uniemożliwiał mu wspinanie. Major złapał go za lewą rękę, Nowakowski za prawą. Razem zaczęli wyciągać sierżanta, gdy nagle rozległ się suchy trzask. Kły stwora zacisnęły się na butli z paliwem miotacza ognia. Przez chwilę obaj mocowali się z bestią, podczas gdy sierżant był jak potępieniec. Jaszczur szarpnął gwałtownie i Paulsen, aby nie stracić równowagi, puścił Hothera. Sierżant z wrzaskiem znikł w otworze, pociągając ze sobą Polaka.

Nowakowski, uderzając o podłogę korytarza, poczuł niesamowity ból w klatce piersiowej. Ignorując wściekłe syczenie gada i krzyki niemieckiego sierżanta, usiłował wstać. Ból w piersiach jednak narastał. Zakaszłał i poczuł w ustach krew. Doszedł do wniosku, że pęknięte już wcześniej żebra przebiły oba płuca. Oszołomiony przysiadł i oparł się plecami o ścianę korytarza. Rozejrzał się dookoła. Jego latarka została na górze, a rozbita latarka sierżanta dawała niewiele światła. Widział tylko kontury szarpiącego się stwora z wciąż żywym Hotherem.

Niemiec był nieludzko, powiększając tylko grozę sytuacji. W mroku korytarza porucznik widział wyraźnie jarzące się czerwienią jedyne oko jaszczura. Rozległ się obrzydliwy bulgot, po którym sierżant ucichł. Ciszę przerwał odgłos mlaskania. Nowakowskiemu zrobiło się słabo. Podejrzewał, że stwór teraz dobierze się do niego. W otworze w suficie pojawiła się głowa Paulsena, który ostrożnie oświetlił dół. Widząc potwora podchodzącego powoli do rannego Polaka, pospiesznie się wycofał. Nowakowski spokojnie wymierzył z pistoletu.

- Udław się, skurwielu - wycedził przez zaciśnięte zęby i naciskał spust lugera raz za razem.

Jeden z pocisków dosięgnął w końcu celu. Butla z paliwem do miotacza, zerwana z pleców Hothera i ciśnięta pod ścianę w czasie szamotaniny, eksplodowała z hukiem. Ogromna kula ognia ogarnęła wszystko w korytarzu. Nowakowski zginął w ułamku sekundy. Fala eksplozji zmiażdżyła go o ścianę, zanim poczuł ciepło ogarniających go płomieni. Płonące ciało jaszczura zostało rzucone w głąb czeluści tunelu. Eksplozja spowodowała też uszkodzenie podłogi piwnicy, w której był major.

Paulsen, osmalony strumieniem ognia wydostającym się z dziury w podłodze, rzucił się do szczeliny. W ostatnim momencie przedostał się do kanałów, zanim zawaliła się cała piwnica. Gdy opadł już kurz, przyjrzał się rumowisku.

Wejście do tajemniczej jaskini zostało zablokowane dokładnie tak jak przed wiekami. Esesman westchnął ciężko i przysiadł na kupie gruzu. Z szalika zrobił prowizoryczny opatrunek na poszarpany przez jaszczura bok. Zapalił papierosa i zamyślił się. Nie wiedział, gdzie jest, ale nie martwiło go to. Po tym, co przeżył, nic nie mogło go już zaskoczyć. Ruszył wolno kanałem w kierunku południowym.

Kilka metrów od niego, w podziemnym ciemnym korytarzu groty, coś zaczęło się ruszać. Ciężko ranny gad wyczołgał się spod zwałów gruzów. Eksplozja mocno go poparzyła, przednia łapa była złamana, tak samo ogon. Posykując cicho, przyjrzał się jedynym okiem zasypanemu korytarzowi. Znowu to samo. Z jego paszczy wydobył się przeraźliwy skrzek wyrażający cały ból, wściekłość i nienawiść.

A już było tak dobrze.

Po chwili bestia uspokoiła się. To nic, przetrwa i to. Ludzka głupota i nienawiść w końcu znowu ją uwolnią. Musi tylko poczekać jak przed wiekami. Tymczasem powinna dużo jeść, aby zregenerować swoje obrażenia. A potem ponownie długi sen. Jaszczur wolno poczłapał w głąb pieczary, gdzie leżały nagromadzone przez niego zwłoki. W mroku odezwało się ciche skomlenie wciąż żywego Kromberga. Gad wyszczerzył się z zadowoleniem. Ciepła krew...

26 sierpnia, Śródmieście

Monter popatrzył jeszcze raz na mapę Warszawy i zasępił się. Było źle, bardzo źle. Przegrywali, i to mocno. Od początku był sceptyczny co do możliwości wyzwolenia Warszawy rękami samego podziemia, ale to, co się działo, przerosło jego najgorsze koszmary. Zawodziło wszystko. Alianci zmniejszyli ilość zrzutów. Sosabowski nie nadchodził. Nawet Rosjanie zahamowali ofensywę i zakazali Anglikom wracającym z Warszawy lądować u siebie. Przytłaczał go również ciężar własnych błędów. Dowództwo AK zbyt optymistycznie obliczyło własne możliwości, przy jednoczesnym niedocenianiu niemieckiej determinacji.

Westchnął głęboko i zapalił zdobycznego papierosa. Wypuścił z ust obłok i przyglądał mu się przez chwilę. Lampa podwieszona pod sufitem piwnicy banku zakołysała się pod wpływem pobliskiej eksplozji. Niemcy znowu nasilali ostrzał artyleryjski oraz naloty na centrum miasta. W zamyśleniu bawił się trzymanym w ręku meldunkiem o zniszczeniu sztabu Armii Ludowej bombą lotniczą.

- Szkoda - westchnął, odkładając meldunek.

Mimo że major Kowalski był komunistą, można było się z nim dogadać. Nawet wbrew Moskwie przystąpił do Powstania, tłumacząc ze śmiechem, że najpierw jest warszawiakiem, a dopiero potem bolszewikiem. Monter podejrzewał, że jego następcy będą znacznie gorsi.

- Panie pułkowniku. - Porucznik Skot nieśmiało przerwał rozmyślenia dowódcy. - Major Bogusz stoi na zewnątrz i chce złożyć pilny meldunek. Ma ze sobą niemieckiego jeńca.

Monter zgasił papierosa, a niedopałek pieczołowicie schował do puszki po landrynkach.

- Zgłupiał czy co? Po co prowadzi mi jeńca do sztabu? Niech go odstawi razem z resztą do majora Niehcickiego. Tam trzymają jeńców.

Porucznik przełknął nerwowo ślinę.

- To jakiś wysoki rangą esesman - rzucił wyjaśniająco.

Pułkownik westchnął znużony.

- Kolejny prosi o zgodę na rozstrzelanie esesmanów Diederwalda? Dobrze, dajcie go tu.

Do piwnicy wszedł postawny żołnierz ubrany w niemiecką panterkę spadochroniarską i polską przedwojenną czapkę polową. Za nim wepchnięto do pokoju jakiegoś brudnego i cuchnącego niemieckiego oficera w poszarpanym mundurze.

- Panie pułkowniku. - Major Bogusz energicznie zasalutował przed dowódcą. - Schwytaliśmy majora SS. Chłopaki chcieli go od razu pod ścianę, ale ten zaczął domagać się spotkania z dowódcą dzielnicy lub miasta. Mówi, że to ważne. Znaleźliśmy go, jak włóczył się sam po kanałach.

Monter spojrział z niechęcią na jeńca.

- Co pan chciał mi przekazać? Mówiłem już pańskiemu dowódcy, że nie poddam miasta.

Ku oburzeniu Bogusza major Paulsen przysiadł na stołku.

- Panie... pułkowniku, bo taki jest pański stopień, prawda? Z zalem muszę przyznać, że nie obchodzi mnie to Powstanie. Jestem w Warszawie z innego powodu, skądinąd, jak mniemam, panu znanego. Mam dla pana wiadomość od porucznika Nowakowskiego.

Monter zerwał się gwałtownie i złapał Niemca za kłapy kurtki mundurowej.

- Nowakowski? Czy on żyje, gdzie jest? - krzyknął mu prosto w twarz.

Major Bogusz na taką reakcję dowódcy sprężył się do działania. W jego ręku pojawił się niemiecki bagnet, który przyłożył do karku jeńca.

- To nie będzie konieczne, majorze. - Paulsen skrzywił się z niechęcią. - Wasz oficer, niestety, nie żyje. Ale pańską misję wykonał. Mogę dostać papierosa?

Monter skinął na Bogusza. Ten z niechęcią wyciągnął z kieszeni papierosa i podał Niemcowi.

- Proszę od początku. Skąd pan zna porucznika Nowakowskiego. Czy to pewne, że... - ściszył głos - ten gad nie żyje? Jaki jest pański udział w tym wszystkim?

Major z ulgą zdjął z siebie cuchnący płaszcz, powąchał go i rzucił w kąt.

- To będzie długa opowieść...

Monter uśmiechnął się do niego przekornie.

- Nic nie szkodzi. Zapewniam pana, że nigdzie się pan stąd nie wybiera w najbliższym czasie.

*

Po godzinie major Bogusz wyprowadził jeńca z gabinetu Montera i zamknął w podziemiach razem z resztą Niemców schwytanych do niewoli. W jego zachowaniu wyczuwało się jednak coś na kształt szacunku do niemieckiego naukowca i jego dokonań. Pułkownik Chruściel z kolei wysłał grupę zwiadowczą do kanału pod Krzywym Kołem w celu sprawdzenia relacji Paulsena. Gdy tylko wrócili, potwierdzając informację o tajemniczej piwnicy zawalonej wewnętrzną eksplozją, Monter bez wahania zaczął wydawać rozkazy o ewakuacji mieszkańców Starówki kanałami na Nowy Świat. Ku jego radości zwiadowcy znaleźli również ciężko rannego sierżanta Wołosa, który uparł się najpierw złożyć meldunek, a dopiero później zemdlął z wycieńczenia.

6 października, Okęcie

Paulsen przetarł zmęczone oczy i spojrział przez okno. Już świtało, a on pracował całą noc. Przed nim leżał dopiero co ukończony raport z ostatnich wydarzeń. Mimo że korzystał z kanału komunikacyjnego SD, nie zdecydował się jednak zamieścić w tym wstępnym raporcie wszystkich informacji. Czas spędzony w polskiej niewoli pozwolił mu przemyśleć pewne sprawy.

Gady, którym w pradawnych czasach składano ofiary ludzkie. Wielkie szpony, czerwone ślepia. I te nadnaturalne mordy młodych kobiet, dokonane w sposób, którego nawet nie mógł sobie wyobrazić, a co dopiero zrozumieć. Tylko dwie możliwości przychodziły mu do głowy. Pierwsza, że natrafił na nowy, nieznany dotąd rodzaj basiliskosa. Znacznie większy i silniejszy. Coś w rodzaju *überbasiliskos*.

Bardziej jednak skłaniał się ku wersji, że stwór był czymś zupełnie innym niż basiliskos. Podobny, ale jakże inny. Podświadomie domyślał się, na jakie zwierzę natknęli się w podziemiach Warszawy. Podejrzewał, że ten gatunek był właśnie pierwowzorem wszystkich legend o smokach. Może i nie latał, ale był niesamowicie silny, wielki, drapieżny, okrutny i niemal nieśmiertelny. Co więcej, w przeciwieństwie do innych zwierząt ten stwór potrafił myśleć. Jego działanie było starannie zaplanowane, tak jak podejrzewał świętej pamięci Worenman. Nie kierował się samymi instynktami. Pozwolił Worenmanowi i jego żołnierzom przygotować pułapkę i dopiero wtedy ich zaatakował. Jakby chciał dać innym ludziom do zrozumienia, że potrafi ich pokonać nawet na ich warunkach.

Ponad miesiąc spędzony w powstańczej niewoli pozwolił Paulsenowi zapoznać się z polskimi legendami. Początkowo traktowano go jak nieszkodliwego wariata, ale w końcu sprowadzili mu do porozmawiania jakiegoś profesora kulturoznawcę, Wisz-coś-tam.

Po tym wszystkim, co usłyszał i zobaczył, zaczynał podejrzewać, że ten ogromny szkielet, który widział w jaskini, mógł być smokiem z legendy krakowskiej o królu Kraku. Wiślanie, którzy przybyli najwcześniej ze Słowian na te tereny, zetknęli się z plemieniem sarmackim oddającym hołd temu gadowi. Kto wie, może kilku z nich również zostało złożonych w ofierze, może to oni w końcu go zabili. To by tłumaczyło pamięć o tym wrogu, która przetrwała w folklorze przez tysiąclecia. Ewoluuując przez stulecia, legenda zmieniała

miejsce dramatycznych zmagania wraz z przeniesieniem się plemienia Wiślan na inne tereny, bardziej na południe. Osobnik, na którego wpadli, musiał być potomkiem tej sarmackiej bestii.

Major uśmiechnął się do siebie. Prawdziwym paradoksem było to, że Polacy nieświadomie zbudowali miasto nad legowiskiem tej przeklętej bestii. Miasto, które ostatecznie zostało stolicą Polski. Zbieg okoliczności? Żart historii?

Również rozmowa z jednym siwiuteńskim księdzem z kościoła św. Jana dała mu wiele do myślenia. Księżulo co prawda nic nie wiedział o ostatnich wydarzeniach, ale kiedyś natknął się w kancelarii kościelnej na zapiski o wydarzeniach z szesnastego wieku. Znalaziono wtedy dwie młode mieszczyki zamordowane w tajemniczy sposób. Ich ciała były nienaturalnie szare, co zgadzało się z obecnymi zdarzeniami. Kiedy w czasie uroczystości pogrzebowych okazało się, że w kościele nie palą się świece, wezwano uczonego zakonnika. Ten po oględzinach zwłok orzekł, że kobiety padły ofiarą jakiejś diabelskiej bestii, która porwała ich dusze. Tego nie sprawdzili.

Major zaczął gubić się w podejrzeniach i domysłach.

- Czym ty, u diabła, byłeś? - zadał sobie retoryczne pytanie.

Swoje wątpliwości postanowił na razie zachować w tajemnicy, dopóki nie zbada wszystkiego jeszcze raz na miejscu. Wtedy będzie wiedział, czy jego teoria jest tak szalona i bluźniercza, jak mu się to teraz wydaje.

Powstanie w końcu upadło, a Rosjanie zostali na drugim brzegu Wisły. Można było już bez przeszkód kontynuować badania. Czuł, że musi jeszcze raz zejść do tej jaskini, zbadać ją, a przede wszystkim upewnić się, że jaszczur naprawdę zginął. Dawno już porzucił myśl o jego schwytaniu. Potwór był zbyt potężny, zły i okrutny, aby można było nim kierować. Dlatego zdecydował się na razie wysłać do Wewelsburga standardowy raport o śmierci basiliskosa. Nie chciał, żeby góra przysłała tu kolejny zespół.

Z rozmyślań wyrwał go głośny tupot na korytarzu. Drzwi gabinetu otworzyły się szeroko, a do środka wkroczył generał von dem Bach-Zelewski w asyście porucznika SS.

- Majorze Paulsen, witamy z powrotem. - Generał nieproszony usiadł na krześle. - Słyszałem, że wrócił pan z niewoli już wczoraj, a jednak nie zameldował się pan u mnie, mimo wyraźnych instrukcji.

Paulsen docenił ironię tej sytuacji. On sam prawie dwa miesiące temu tak samo arogancko wparował do biura pułkownika Haydricha.

- Proszę wybaczyć, generale, ale musiałem skończyć raport dla Berlina.

Bach-Zelewski zmrużył oczy i pochylił się w jego stronę.

- Papierki mogą poczekać. Kiedy pan bawił się w obmacywanie polskich pielęgniarek, ja musiałem przejść przez potok gówna z Berlina i Wewelsburga w sprawie pańskiego zaginięcia. - Skrzyżował ramiona na piersi. - Jestem więc trochę ciekaw, jaka była pańska misja i czemu góra się tak tym przejęła. Spotkało mnie mnóstwo nieprzyjemności z pańskiego powodu i chcę wiedzieć, dlaczego.

Major zacisnął zęby i wycodził:

- Moja misja jest ściśle tajna i taka pozostanie. Pan nie ma nic do niej. Poza tym - Paulsen zmrużył oczy - wolę obmacywać pielęgniarki niż je rozstrzeliwać, sadysto.

Generał poderwał się z krzesła.

- Co pan powiedział? - Wściekłość wykrzywiła mu twarz. Jego adiutant natychmiast stanął obok majora. - Pan się zapomina. Nie wie pan, kim jestem.

Paulsen westchnął. Znowu musi sprowadzać kolejnego debila na ziemię.

- Jesteś tępym, sadystycznym gnojem, któremu zlecono jedną z najbrudniejszych robótek w czasie całej tej wojny. Nic poza tym. Wykonałeś czarną robotę, a teraz won.

Bach złapał za kaburę. Ślina skapnęła mu z ust na mundur.

- Ty zawszony... - Wściekłość niemal odebrała mu mowę - To jest bunt. Jak śmiesz? Pod sąd wojenny za to pójdziesz. Za mniejsze rzeczy rozstrzeliwałem.

Major ukradkiem spojrzął na lugera w dłoni adiutanta.

- Gdybym był pana przyjacielem, odradziłbym to panu. - Twarz Paulsena rozświetlił jadowity uśmiech. - Ale jeśli chce się pan przekonać, proszę bardzo. Zabawmy się. - Wreszcie puściły mu nerwy. Zerwał się z krzesła i zaczął wrzeszczeć: - Spędziłem trzydzieści sześć pieprzonych dni w polskiej niewoli. Trzydzieści sześć dni życia w zatęchłej piwnicy i przysłuchiwanie się opowieściom o twoich „sukcesach” i metodach walki. Trzydzieści sześć

dni strachu, że w końcu po którymś z bestialstw twoich psów Polacy mnie powieszają z zemsty za twój sadyzm. Chcesz wiedzieć, jaką miałem misję? Powiem ci - na moment ściszył głos - miałem złapać grasującego tu potwora. Ale najwyraźniej niepotrzebnie szukałem w kanałach. Może to ciebie należało zawieźć do Wewelsburga i zbadać. - Paulsenowi z wściekłości zaczęły drżeć dłonie. - Dzięki tobie, tępą świnio, to miasto stało się dla tej bestii doskonałą kryjówką pełną pożywienia. Wśród piekła, w które przemieniłeś Warszawę, czuł się jak u siebie. Mroczny, niezauważalny, okrutny, potężny, mógł bezkarnie mordować bez jakichkolwiek zahamowań czy konsekwencji. - Drżącą ręką podsunął Bachowi pod nos zwitek lipcowych meldunków. - Sto zwłok w tę czy w tamtą stronę, to u ciebie pusta statystyka. Dla nas to ważny wskaźnik jego siły, agresji czy zwyczajów. Twojej więc głupocie i sadyzmowi mogę zawdzięczać utratę całego mojego zespołu oraz fiasko misji. A teraz wynoś się.

Wściekłość na twarzy Bacha-Zelewskiego zaczęła powoli przygasać. Wolnym ruchem z powrotem zapiął kaburę i wygładził mundur. Zmierzył swojego oponenta chłodnym spojrzeniem.

- Sumienie się odezwało. - Uśmiechnął się złośliwie. - Myślisz, że jesteś inny, lepszy niż ja? Pamiętaj, że nosimy ten sam mundur i składaliśmy tę samą przysięgę Führerowi. Dobrze wiem, czym się zajmujecie w instytucie. Eksperymenty na ludziach, mordy rytualne, satanizm... - Podniósł się z krzesła. - A twoja misja w Warszawie? Co tym razem? Słyszałem o składaniu ofiar z kobiet jakiemuś krokodylowi. Nieźle jak na naukowca i humanistę. - Zmrużył na moment oczy. - Jeszcze pożałujesz swojej arogancji, majorze. Obiecuję ci to.

Major nie mógł sobie darować. Miesiąc w polskiej niewoli pozostawił wyraźne ślady w jego psychice.

- Ja już żałuję. Cuchniesz gorzej niż warszawskie kanały. Czy ta twoja małpa mogłaby przed wyjściem otworzyć okno? - Wskazał palcem młodziutkiego porucznika SS.

Generał Bach popatrzył na niego z chłodną nienawiścią. Skinął głową do adiutanta i wyszedł sztywnym krokiem. Major odprowadził ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli za drzwiami. Wzrok adiutanta wyrażał totalną żądzę mordy. Postanowił to jednak zignorować. Czekало go jeszcze mnóstwo ważnej pracy, a ta wizyta nie poprawiła mu nastroju.

Odczekał chwilę, aż kroki generała i jego fagasa ucichną w oddali. Zamknął teczkę z raportem i zaczął ją podpisywać. Zastanowił się, jaki kryptonim powinien nadać tej sprawie.

- Który to już z pragadów znaleziony przez ekipy naukowe Wewelsburga? - Przygryzł końcówkę pióra. - Licząc ekspedycję Jorgena do lasów łużyckich pod Budziszynem na początku czerwca, to chyba będzie trzydziesty szósty.

Kaligrafując, podpisał teczkę niewiele mówiącym kryptonimem „Obiekt Reptil 0036/Warschau”. Instytut z zasady ukrywał swoje badania pod nic nieznaczącymi zwrotami. Tak było znacznie bezpieczniej. Zadowolony przyjrzał się teczce jeszcze raz, po czym włożył ją do koperty i oddał sekretarce z poleceniem wysłania do Berlina.

Gdy wrócił do gabinetu, zamknął drzwi na klucz i wyjął prywatny notatnik. Zamyślił się. Starał się odtworzyć w pamięci wszystkie wydarzenia, które rozegrały się przez tych kilka sierpniowych dni. Zastrzelenie Klocha, śmierć Worenmana w kanałach, zagłada oddziału Kromberga w grocie, poświęcenie się tego Polaka. Wszystko pieczołowicie opisał w notatniku do ostatniego szczegółu, dokładnie tak jak było, nie pomijając nawet swoich podejrzeń i informacji uzyskanych od Polaków.

W podenerwowaniu przygryzł końcówkę pióra. Domyślał się już, czym był wymyślony przez niego i Worenmana czynnik „X”. Nie wiedział jeszcze, czemu powodował szarzenie zwłok, ale nie zamierzał tego sprawdzać. Co więcej, nie chciał, żeby ktokolwiek w instytucie się tym zajął. Czuł, że sprawa warszawskiego gada zdecydowanie przerasta możliwości SS. Instynkt podpowiadał mu, że to byłoby prośzeniem się o zagładę.

Po dwóch godzinach skończył pisać, schował notatnik do skrytki w walizce i zaczął przygotowywać się do obejrzenia miejsca, gdzie zasypało jaszczura. W tym celu wpadł z szybką wizytą do gabinetu Haydricha.

Pułkownik nie wydawał się zasmucony informacją o śmierci Kromberga i jego ludzi. Paulsen odniósł wręcz wrażenie, że przez jego twarz przemknął cień zadowolenia z tej wiadomości. Nie zastanawiał się jednak nad tym, całkowicie pochłonięty planami przyszłej wyprawy do ruin Starego Miasta. Szybko przedstawił kolejną listę zapotrzebowania na ludzi i sprzęt. Zaaferowany swoimi sprawami, nie zwrócił uwagi na dziwne zachowanie Haydricha. Tymczasem przez całe spotkanie pułkownik przyglądał mu się, jakby oceniał, ile jest warte życie niemieckiego naukowca, który przestał wierzyć w narodowy socjalizm, a zaczął się narażać pewnym wpływowym ludziom.

19 października 1944, Berlin, siedziba Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy

Szef kancelarii Reichssicherheitshauptamt pokręcił głową z niedowierzaniem. Na biurku miał dużą szarą kopertę przysланą dwa dni temu z Warszawy przez majora Paulsena, której nie zdążył jeszcze przejrzeć przed wysłaniem do Wewelsburga. Teraz sprawa się skomplikowała, bo dostał właśnie meldunek dotyczący tegoż majora.

Krótką lakoniczną notką ze sztabu generała von dem Bacha-Zelewskiego informowała, iż major Paulsen zginął w wyniku przypadkowej eksplozji niewypału, gdy prowadził prace wykopaliskowe w centrum zburzonego miasta. Podjęto oczywiście dochodzenie w tej sprawie, w efekcie którego uznano za winnych zaniedbań dwóch esesmanów przydzielonych majorowi do ochrony. Ukaranych natychmiast wysłano na front wschodni.

Zwłoki majora z honorami pochowano na wojskowym cmentarzu obok innych żołnierzy niemieckich poległych w walce z powstańcami. Według raportu nie dało się ich przetransportować do Berlina z uwagi na „rozległe obrażenia”. Rzeczy osobiste Paulsena, po rutynowej kontroli, odesłano jego siostrze w Hamburgu. Innymi słowy, zwykła historia, o jakich ostatnio mnóstwo codziennie się słyszy.

Nie zmieniało to jednak faktu, że w Wewelsburga zwyczajowo dostają piany na ustach, gdy ginie ktoś z ich zespołu naukowego. A w Warszawie zginęło trzech w ciągu niespełna dwóch miesięcy.

- A pies tym jajogłowym mordy lizał. - Machnął ręką, dołączając do teczki majora meldunek o jego tragicznej śmierci.

Przez moment przeglądał zagracone biurko w poszukiwaniu czystej kartki i zaczął pisać dla sekretarki polecenie skopiowania całości materiału przed wysłaniem do Wewelsburga. Uśmiechnął się na myśl o furii naukowców z SS, gdyby wiedzieli, że ich wszystkie poufne raporty potajemnie kopiowano. Był to jeszcze pomysł poprzedniego szefa SD Reinharda Heydricha. Również SS-Obergruppenführer Kaltenbrunner nie miał problemów z zaakceptowaniem tego proceduru. Sierżant przyjrzał się uważnie lekko rozmazanym literom na teście.

- Co to jest? - Poprawił na nosie okulary.

Nie mogąc odczytać nazwy teczki, zapisał sekretarce skróconą wersję.

„Obiekt R/W-0036”.

I tak wiedział, że nikt z RSHA nie będzie się w tym grzebał.

17 grudnia 1946 r., Warszawa, siedziba Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego

W piwnicach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy Alejach Ujazdowskich ani na moment nie ustawały krzyki torturowanych ludzi. Generał pułkownik NKWD Iwan Sierow zresztą lubił taką muzykę. Przypominało mu to jego najlepsze lata na Łubiance.

Z pogardą przyglądał się „przesłuchaniu” młodego partyzanta. Twarz Polaka była już cała pokryta zakrzepłą krwią, podobnie jak plecy. Skatowany człowiek zwisał bezwładnie na łańcuchu przymocowanym do sufitu.

Sierow ukradkiem przejechał językiem po wargach. Właściwie na tym stanowisku nie musiał już brać udziału w „pracy dochodzeniowo-śledczej”, jednak za bardzo uwielbiał zabawę w pana życia i śmierci, aby pozostawić ją podwładnym. Czasami tylko zastanawiał się nad tym, co tak naprawdę robi, gdy już za bardzo zmęczył się przesłuchiwaniami.

Uśmiechnął się przelotnie do własnych myśli. Nie lubił Polaków i ich nie rozumiał. Dla niego byli bandą niewdzięcznych burżujów, których władza radziecka uwolniła spod faszystowskiego buta. A oni na tę władzę sowiecką pluli i knuli przeciwko niej. Takich nie szkoda słać do piachu.

- Gadaj, skurwielu. - Ubek podsunął zakrwawioną pięść pod nos przesłuchiwanego. - Po co was Łupaszka wysłał do Warszawy? Gdzie jest reszta twojej grupy? Gdzie ukrywają się porucznicy Michalski i Wołos? Jakie mają zadania?

Drugi ubek zadał zniechęcająco przesłuchiwanemu silny cios w nerkę. Więzień skrzywił się z bólu, ale nic nie odpowiedział. Zamiast tego splunął zakrwawioną śliną pod nogi swojego dręczyciela.

- Nie przejmuj się - syknął po rosyjsku Sierow prosto w twarz przesłuchiwanemu. - I tak dorwiemy twoich kumpli. I ty nam w tym pomożesz. - Poklepał więźnia po policzku. - Jeszcze dwa dni i będziesz śpiewał. Zawsze śpiewacie, jak was się do tego odpowiednio zachęci. Ale po tym śpiewie już nigdy sobie nie potańczysz.

W tym momencie zgrzytnęły pancerne drzwi.

- Towarzyszu generale. - Do celi wpadła młodziutka sekretarka Sierowa. Zbladła na widok katowanego aresztanta i dwóch ubeków z zakrwawionymi rękami. - Szyfrogram do was.

Pilny, od pułkownika Gałurowa. - Przerażona Anuszką nie mogła oderwać oczu od makabrycznej sceny.

Sierow, słysząc nazwisko Gałurowa, poderwał się szybko.

- Na dzisiaj już koniec - rzucił za siebie do ubeków i wyprowadził sekretarkę z pokoju.

Dziewczyna dyszała ciężko. Generał westchnął cicho. Anuszką była słaba i nie nadawała się do pracy w NKWD, to oczywiste. No, ale przynajmniej była ładna i wyjątkowo uczynna. Nie miał „serca” odesłać jej z powrotem do kołchozu spod Odessy.

Zostawił sekretarkę przed drzwiami gabinetu i wszedł sam do środka. Przeczytał meldunek i jego twarz rozjaśnił uśmiech. Usiadł za pięknym dębowym biurkiem, które przywiózł sobie jeszcze z Berlina. Otworzył szufladę i wydobył z niej podniszczoną teczkę z dokumentami. Na szarym, lekko nadpalonym papierze widać było pieczętki kancelarii RSHA. Pod spodem znajdowała się duża żółta koperta z nadrukiem w cyrylicy: „Tajne. Specjalnego przeznaczenia”.

Podniósł słuchawkę.

- Anuszką? Natychmiast łącz z Moskwą. Nie, daj od razu samego marszałka Berię. Pilne.

Odłożył słuchawkę i zaczął jeszcze raz przeglądać papiery. Nie znał języka niemieckiego, więc przez moment delectował się samym faktem posiadania tych dokumentów, po czym przestudiował rosyjskie tłumaczenie. Na moment odłożył je na bok i wyjął z żółtej koperty czarno-białe zdjęcia. Nigdy by nie uwierzył w tę niemiecką bajeczkę, gdyby nie te fotografie zrobione przez zwiad 1 Frontu Białoruskiego w sierpniu 1944. Popatrzył krytycznym wzrokiem na jedno ze zdjęć. Przez moment podziwiał znajdującą się na fotografii sylwetkę monstrualnego jaszczura. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Towarzyszu marszałku, melduje się towarzysz generał pułkownik Iwan Sierow z Warszawy. - Bezwiednie wstał z krzesła i wyprężył się na baczność. - Mam wspaniałe wieści. Znaleźliśmy właśnie obiekt R/W-0036, i to w dobrym stanie. Tak, z tego co wiem, żyje, ale jest pogrążony w letargu. Rozumiem, teren już jest zabezpieczony. Oczywiście wszystko zostało przeprowadzone w wielkiej tajemnicy. Nikt z Polaków nie zauważył dodatkowej ekipy budowlanej na Starym Mieście. Nie przy tym bajzlu, który tu zostawili Niemcy. - Zarżał ze śmiechu.

Przez moment słuchał potoku słów po drugiej stronie linii telefonicznej. Przysiadł na krańcu biurka.

- Powtórzę pułkownikowi Gałurowowi, że ma czekać z dalszymi pracami na naukowców z Leningradu. Profesor Rubienin od dawna marzy o zbadaniu żywego basiliskosa. Teraz będzie miał okazję. W ciągu tygodnia zorganizuję transport obiektu koleją do Kazachstanu. - Nerwowo postukał palcami w blat stołu. - Z tego co wiem, laboratorium w Semipałatyńsku jest już gotowe. Proszę się nie martwić. O ile wiem, Rubienin i cały jego zespół palą się do pracy, aby zrehabilitować się za wpadkę dwadzieścia lat temu na Kaukazie. - Przez twarz generała przebiegł cień uśmiechu. - Oczywiście, towarzyszu marszałku, tajemnica przede wszystkim. Zatrudnionych więźniów niemieckich zlikwidujemy jeszcze tu, na miejscu. Tak jest, wykorzystamy do tego znaną grotę.

Zadowolony z siebie enkawudzista odłożył słuchawkę i rozmarzył się. Wyglądało na to, że radziecka ojczyzna właśnie zdobyła niesamowitą broń biologiczną, a on ma w tym udział. Z pewnością będą medale, a kto wie, może kolejna gwiazda bohatera Związku Radzieckiego? Usiadł za biurkiem i zaczął nucić jakąś rosyjską piosenkę.